

# HANNA CYGLER

DOBRE GENY



# HANNA CYGLER

DOBRE GENY



DOM WYDAWNICZY REBIS  
Poznań

## Spis treści

Strona tytułowa

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

Strona redakcyjna

# ROZDZIAŁ 1

Z zadowoleniem patrzyła na Motławę i sunący po niej statek wycieczkowy. Widok za oknem zwodził, sugerując, że to połowa lata, a nie pierwsze dni marca. Nastrój wywołany tą nieoczekiwaną wysoką temperaturą był podobny. To chyba za sprawą dużej dawki promieni słonecznych aż tyle osób wybrało się na przechadzkę po nabrzeżu, udając turystów, którzy jeszcze nie zdążyli zawitać do Gdańska. Tak, ten dzień był naprawdę udany.

Marta siedziała przy barze w hotelu „Hanza” usytuowanym nad samym kanałem i próbowała się pozbyć nadwyżki adrenaliny. Założyła nogę na nogę, a jej spódnica podniosła się tak wysoko, że ledwie osłaniała górę ud. Czarna szpilka kiwała się rytmicznie w tempie dostosowanym do myśli właścicielki. W miarę popijania old baileysa stawały się one coraz bardziej zrelaksowane. W końcu przestała się przyglądać budynkowi Filharmonii Bałtyckiej po drugiej stronie rzeki i przeniosła wzrok na swego towarzysza.

Mężczyzna, który stał obok ze szklaneczką whisky, wpatrywał się w twarz Marty z niekłamanym podziwem.

– Świetnie ci poszło.

W ostatniej godzinie usłyszała tę uwagę już ze cztery razy. Nawet gdyby sama o tym nie wiedziała, był to z pewnością moment, aby w to uwierzyć.

– Na pewno nie możesz zjeść z nami kolacji? – nie przestawał namawiać. – Będą się dopytywać o ciebie.

Spojrzała w jego stronę i natrafiła na spojrzenie ciemnoszarych, wymownych oczu.

Czy to możliwe, że nagle tak wyprzystojniał? I czy mógł urosnąć od poprzedniego dnia, czy to tylko wrażenie, jakie sprawiał na osobie siedzącej?

– Naprawdę nie mogę. Obiecałam siostrze, że się z nią spotkam. Już i tak jestem spóźniona. Impreza miała się zacząć o piątej. – Marta się uśmiechnęła, a jej szpilka

podniosła się, jeszcze bardziej odsłaniając uda.

No i co tam! Czuła się wspaniale. Równie dobrze mogła nawet poudawać Sharon Stone. Rozejrzała się dokoła zdumiona, że w barowym sąsiedztwie widzi aż tyle interesujących twarzy.

– Będziemy musieli to kiedyś nadrobić – odpowiedział mężczyzna, który choć z każdą sekundą przystojniejszy, wciąż jednak był niższy od niej i mimo wszystko żonaty.

Ciekawe, gdyby wypila jeszcze jednego drinka, może również ten stan mógłby się zmienić. Na przykład on stałby się trochę mniej żonaty, zachichotała zadowolona ze swojego dowcipu. Jej towarzysz uznał śmiech za komplement pod swoim adresem i pocałował ją w rękę.

Nie, dalej jest mocno żonaty i z trójką dzieci, stwierdziła Marta z nagłym znużeniem i zabrała dłoń swemu zastępcy. Z gracją zeskoczyła ze stołka barowego.

– Lecę już. Pozdrów pozostałych. I do zobaczenia w poniedziałek.

To ostatnie dodała na wypadek, gdyby jednak wydawało mu się, że ona jak zwykle będzie pracować przez kolejny weekend. Sięgnęła po torebkę i eleganckim krokiem przeszła przez hol do drzwi, za którymi czekała na nią taksówka. Kątem oka widziała szacujące ją spojrzenia siedzących przy piwie Niemców. Tego dnia czuła się niepokonana.

Wiedziała, że jej wewnętrzna energia stanowi bardzo silny magnes. Każdy pragnął znaleźć się w strefie jej oddziaływania.

– Do „Morskiego Oka” – poprosiła kierowcę, który od razu z dużym przyspieszeniem wjechał w Szeroką.

Po paru minutach jazdy zaczęła się trochę uspokajać, ale triumfalny nastrój, trwający od zakończenia perfekcyjnie zorganizowanej konferencji, wciąż się utrzymywał. Pomyślała, że może powinna kupić kwiaty, ale szybko zrezygnowała – spóźniłaby się jeszcze bardziej. Siostra była zbyt taktowna, by zwracać jej uwagę, ale Marta dobrze wiedziała, że sprawiłaby jej przykrość. Z pewnością inni goście przyniosą całe naręczka kwiatów.

Nie myliła się. Gdy tylko wysiadła z taksówki, natknęła się na podjeździe na

towarzystwo niemal uginające się pod ciężarem kwiatnych wiązanek.

– Tunia! Moja kochana. Udało ci się przyjechać. – Teresa z promiennym uśmiechem tuliła młodszą siostrę. – I wyglądasz cudownie.

Moja wspaniała siostra, królowa biznesu. Czy przypadkiem nie piłaś naszych ziółek?

Marta uśmiechnęła się w odpowiedzi. Miała nadzieję, że w końcu szwagrostwo przestaną ją traktować jako ich potencjalną klientkę. Świetnie zresztą prosperującego biznesu, stwierdziła, widząc w głównym holu willi prawdziwe tłumy. Ciekawe, czy wszyscy zainteresowani byli ziołową kuracją i wczasami zdrowotnymi, które miały być organizowane w „Morskim Oku”? Marta rozejrzała się dokoła. Nie przypuszczała nawet, że wnętrze budynku, który z zewnątrz wyglądał niepozornie, komponując się z sąsiednią niską zabudową, będzie aż tak przestronne. Być może był to efekt przenikania się różnych przestrzeni. Dużo zieleni i przechodzącego przez nią światła w jasnym pomieszczeniu. Organizatorzy mieli rację, by rozpocząć uroczystość jeszcze za dnia. Julia Cassini, która zaprojektowała willę, znała się na rzeczy. Nie było wątpliwości, że ludzie będą tu przyjeżdżać choćby dla tego ciekawego budynku.

– A gdzie jest Stefan? – Poszukała wzrokiem charakterystycznej sylwetki męża Teresy, ale nigdzie go nie mogła dostrzec.

– Poszedł do części rehabilitacyjnej. Koniecznie musisz ją zobaczyć.

To tam, za schodami.

Nie zdążyła nigdzie dojść.

– Cześć, Tuńka!

Objęcie brata bliźniaka było znacznie mocniejsze, ale równie serdeczne.

– Przyłynąłeś na czas! – ucieszyła się Marta.

Teresa panikowała od tygodnia, że statek Marcina może się opóźnić.

– No pewnie! Dla Teńki wszystko.

– Szkoda, że mama i Piotrek nie mogą być z nami – zauważył, podczas gdy ona przyglądała się zebranim gościom. Niestety była wśród nich jej bratowa Jola, która dostrzegłszy, że rozmawia z Marcinem, ruszyła w ich stronę. Nigdy nie udawało się zamienić z bratem choć paru słów na osobności. Jola pilnowała go jak zaborczy pies

pasterski.

– Marto, spóźniłaś się!

Próbowała nie słuchać nerwowej paplaniny bratowej, wystrojonej na otwarcie willi jak na bal. Odsłonięte ramiona i długa suknia z wielkim dekoltem zupełnie nie pasowały do charakteru tej uroczystości. Jolka, niestety, nie miała żadnego wyczucia. Niegdyś prawdziwa piękność, teraz nie była w stanie poradzić sobie ze zmienionym z upływem czasu ciałem. Z ubolewaniem można było stwierdzić, że robi z siebie coraz większe pośmiewisko.

Na szczęście od towarzystwa bratowej wybawił ją stary znajomy jeszcze z czasów pracy w Instytucie Badań nad Rynkiem. Przecisnął się przez tłum specjalnie, by się z nią przywitać.

– Bez przerwy słyszę o twoich sukcesach. Czytałem wywiad w gazecie. W dodatku wyglądasz coraz młodziej – komplementował ją.

– To dlatego, że pracuję z prędkością światła. Czas się dla mnie zatrzymał.

– Nic dziwnego, że zgarniasz wszystkie nagrody dla najbardziej dynamicznych, przedsiębiorczych. Taka kariera, no, no, no! – Pokręcił głową jakby z niedowierzaniem.

Z pewnością uważa, że niezasłużona, pomyślała jak zwykle nieufna Marta.

Za chwilę wokół niej zaroilo się od osób pragnących porozmawiać o interesach. Wszyscy zaczęli jednak od gratulacji. Nie chciała słuchać tych pustych pochlebstw. Wiedziała, że padają z ust osób na ogół mało życzliwych i nie są serdeczne. Minęły już czasy, kiedy zachłystywała się komplementami. Przekonała się, że niewiele znaczą. Sama doskonale wiedziała, kiedy była w czymś dobra. A nawet gdyby nie, to świetnie wychodziło jej udawanie. Spojrzała na stojącą przy wejściu siostrę i przez chwilę zmartwiła się, że skupia na sobie zbyt wiele uwagi. Teresa miała inny charakter i wydawało się, że kontaktowanie się z większą liczbą osób wyraźnie ją przerasta. Marta pochwyliła z tacy kieliszek campari z sokiem pomarańczowym i przeprosiwszy rozmówców, powróciła do siostry. Teresa nerwowo spojrzała na zegarek.

– To zwiedzanie chyba za długo trwa – zauważyła i wygładziła na spódnicy niewidoczne zagniecenia.

– Spokojnie, kochana. Stefan za chwilę wróci.

Siostra, której niedawno stuknęła pięćdziesiątka, nie mogła się rozstać z mężem ani na moment. Była w nim nadal bardzo zakochana.

– A twoja konferencja? Widziałam cię w telewizji. Ależ ty świetnie przemawiasz!

– Oj, Tenia, daj spokój! – Marta miała dosyć słuchania na temat konferencji, a także tych milionów euro, które udało jej się pozyskać dla agencji, dla miasta, dla kraju...

– Dzisiaj to twoje święto. Zobacz, ile ludzi. Wkrótce będą do was waliły tłumy. Nie chcecie się przeprowadzić do Gdańska?

– Nie wiemy jeszcze. – Dolna warga Teresy drżała z emocji. –

Wolałabym zostać u siebie. U nas się tak spokojnie żyje.

– Chyba przesadziłaś. Jeszcze parę lat temu trup się tu ścielił gęsto.

Teresa skrzywiła się. Pewnie nie chciała pamiętać o aferze w Powierowie, gdzie spłonęła fabryka jej męża, a on sam stał się ofiarą potyczek handlarzy narkotyków. A przecież to właśnie wtedy poznała Stefana i bardzo prędko zdecydowała się za niego wyjść za mąż.

– No, a kto wówczas mieszkałby w naszym domu? Chyba nie ty?

Marta roześmiała się serdecznie ubawiona. Ona na prowincji? Nie po to wyjechała do Gdańska na studia! A może Teresa uważała, że powinna tam wrócić, zaszyć się w głuszy, zrezygnować z intensywnej pracy, odnajdywać na nowo sens życia i takie inne bzdety? Jeśli nie zrobiła tego osiem lat temu, kiedy przeżywała prawdziwe problemy, to z pewnością nie teraz. Inne kobiety mogą się karmić podobnymi urojeniami, ale nie ona.

Chociaż... do tych innych zaliczała się też ich własna matka, która po śmierci pierwszego męża porzuciła karierę w Warszawie i przyjechała do K. leczyć dzieci i szerzyć oświatę zdrowotną.

– Namów do tego Jolunię.

Już widziała minę bratowej, która usłyszałaby tę propozycję. Teresa nie zareagowała na jej słowa, gdyż właśnie pojawił się Stefan wraz z samą architektką oraz jej mężem, prawnikiem.



– Gratulacje. Wspaniała inwestycja. – Marta pocałowała Stefana w policzek i przywitała się z jego towarzyszami.

– Skoro ty to mówisz... Cieszę się, że przyjechałaś. Dla Tereni rodzina jest najważniejsza.

– Dlatego szkoda, że mama nie dotarła.

– Nie rozumiem, dlaczego nadal nie możecie namówić jej na przyjazd.

Nie była w Polsce od naszego ślubu.

Teresa zamieniła z Martą znaczące spojrzenia. One wiedziały, ale starały się oszczędzić tej wiedzy Stefanowi.

– A sama willa jest oszałamiająca – zwróciła się do Julii Cassini.

– Dziękuję. Pracowałam cały czas pod prężeniem nieustannej krytyki.

– Wskazała wymownie na swego męża, który pochłonięty był rozmową z Teresą.

Marta przypomniała sobie pewien wieczór, kiedy doszły ją plotki na temat romansu siostry z tym młodszym o dziesięć lat mężczyzną. Teresa nigdy nie wspomniała jej o tym nawet słowem. Może to jednak była nieprawda, bo najwidoczniej nie żywili do siebie urazy po zerwaniu, żartując teraz z sobą bez najmniejszego skrępowania. Godne pozazdroszczenia. Marcie nigdy nie udawały się relacje z dawnymi ukochanymi. Może dlatego, że było ich tak niewielu.

– Olek by mi nie darował, gdybym spartaczyła Stefanowi jakikolwiek detal – powiedziała architektka. – Ale jeszcze gorsza była ta ich współpracowniczka. Nieustannie zgłaszała jakieś nie do końca trafne uwagi. Na szczęście zajęła się teraz wydawaniem książek. Dosyć trudna współpraca i pewnie bym z niej zrezygnowała, gdyby nie to, że bardzo się z nią i jej mężem zaprzyjaźniliśmy. Niestety tak to jest, jak się projektuje dla przyjaciół.

– A gdzie oni są? – spytała Marta, przeszukując wzrokiem salę. – Nigdzie ich nie widziałam.

Zbyt tego nie żałowała. Nie przepadała za Zosią Halman, która wydawała jej się zbyt entuzjastyczna, gadatliwa i uczuciowa na pokaz. Jej mąż sprawiał zdecydowanie lepsze wrażenie, ale nigdy nie miała okazji z nim porozmawiać.

– Mieli pecha. Chociaż czy to pech? Ich synowa zaczęła rodzić. Weszli tu na

chwile, a potem natychmiast pojechali z synem do szpitala.

– A wasze dzieci?

Julia Cassini uniosła oczy do nieba.

– Pod obcą opieką, na szczęście. Bliźniacy zjedliby wszystkie przekąski, zanim wpuszczono by gości. Utrapienie jedno. I pomyśleć, co będzie, jak dorosną...

– Może nie będzie tak źle. – Marta się zarumieniła.

– O rany! Palnęłam głupstwo. Pani też jest z bliźniaków.

– Ale nie z jednojajowych. Proszę spojrzeć na Marcina. Wysoki, jasnowłosy, z niebieskimi oczami. Wyglądam jak jego negatyw.

– Moi też się różnią wyglądem. Ale usposobienie mają, niestety, identyczne!

W tym momencie przerwał im kelner przynoszący na tacy kieliszki z szampanem. Nie czekając na przemowy i toasty, Marta zbliżyła musujący trunek do ust. Jeśli wypije wystarczająco dużo alkoholu, zaśnie spokojnie bez rozmyślania na temat pracy, tego, co zrobiła, i przede wszystkim tego, co powinna była zrobić. Wiedziała już, że zmieniała się w pracoholiczkę, ale zbytnio z tego powodu nie ubolewała. Praca, oprócz stresów z nią związanych, dawała jej taką dawkę adrenaliny, jakiej potrzebowała na co dzień. Dzięki niej zwlekała się z łóżka, wykonywała rutynowe czynności, przeżywała kolejne dni. Dochodziło do tego, że kontakty z ludźmi niezwiązane z działalnością zawodową przynosiły jej jedynie zmęczenie i nudę. Dyskretnie odsunęła się od grupy stojącej wokół siostry. Tematy ich rozmów również niewiele ją obchodziły.

Spojrzała na zegarek. Minęła już siódma. Jeszcze pół godziny i wymknie się niezauważenie z nowo otwartej willi, i pojedzie do Gdańska, do hotelu. Nie chciała, aby jej rodzeństwo poruszyło nagle temat noclegu. Z pewnością oburzyliby się, że zamierza nocować w „Hanzie”, a nie u nich.

Marta nie znosiła życia hotelowego, ale było ono znacznie lepsze niż przymus nocnego konwersowania z Jolunią lub też jazda ze Stefanem do domu rodzinnego. Rzuciwszy okiem na popijającego szampana szwagra, odegnała jednak tę wizję jako mało realną. Zapewne Boersowie spędzą tę noc w hotelu swojej nowej przyjaciółki. Świetnie! Wystarczyło więc niepostrzeżenie minąć brata.

Marta odwróciła się na pięcie i próbując stać się niewidzialną, przemykała chyłkiem do otoczonego roślinami cieplarnianymi wyjścia.

– Pani Marta? – usłyszała nagle zza pleców męski głos, ale parła do przodu, sądząc, że zniechęci prześladowcę.

– Marta Wenta?

Co za namolny gość!

– Taak. – Odwróciła się niechętnie i przez chwilę stała zdezorientowana, przyglądając się mężczyźnie około czterdziestki. Powinna go znać?

– Nie poznaje mnie pani? – W jego spojrzeniu pojawił się błysk zawodu.

– Nie bardzo. Przepraszam najmocniej.

– Eryk. Eryk Borzewski. Kiedyś spędzałem u państwa wakacje. Moja matka...

– Była powinowatą mojego ojca – skończyła za niego Marta. – Teraz już pamiętam. Przepraszam pana bardzo, ale na starość siada mi pamięć. To przecież było...

– Prawie trzydzieści lat temu – teraz on skończył za nią. – Uczyła mnie wtedy pani angielskiego. Nic się pani nie zmieniła.

Po Marcie ten komplement spłynął jak woda. Nawet się nie uśmiechnęła. Niestety, nie mogła mu się odwdzińczyć podobną uwagą.

Tamten dziesięciolatek był zupełnie kimś innym niż stojący teraz przed nią mężczyzna. Wysoki, zgrabny, bez tak częstego wśród mężczyzn w jego wieku brzucha, zadbany. Eryk Borzewski... Chyba ktoś jej o nim ostatnio wspominał.

– Rozmawiałem przed chwilą z pani bratem.

Eryk Borzewski zasłaniał Marcie drogę ewakuacyjną między palmami.

Wypadało zamienić z nim choć kilka zdawkowych słów.

– Ależ proszę, mówmy sobie na ty. Przecież znam cię od urodzenia.

Teraz wyraźnie przypominała sobie tłustego niemowlaka, którego podrzucono pod opiekę rezolutnej sześciolatce. Chcieli sprawdzić, jak domowa Zosia samosia poradzi sobie z takim obowiązkiem. Nie przypuszczali nawet, że Marta będzie zachwycona nową rolą opiekunki. Nie miała przecież młodszego rodzeństwa. Nieustannie musiała słuchać rozkazów innych. A ten mały Eryczek był taki słodki! Ciemne włosy zwijały

mu się w loki, a oczy pełne zachwytu śledziły każdy ruch nowej „mamusi”.

Przyjeżdżał do nich latem co roku, aż do ukończenia dziesięciu lat.

– Dziękuję. Tak rzeczywiście jest lepiej, przecież jesteśmy dalekimi krewnymi. Marcin mówił, że mieszkasz i pracujesz w Warszawie. Robisz niesamowitą karierę.

Skrzywiła się, słysząc po raz kolejny słowo „kariera”. Miała go serdecznie dosyć, tym bardziej że często niosło negatywny podtekst. „Robi karierę po trupach”, „zrobi wszystko dla kariery”. Tego rodzaju stereotypy kłębiły się w umysłach tak wielu ludzi. Mało kto wpadłby na pomysł, że awans Marta zawdzięcza ciężkiej pracy i stale podnoszonym kwalifikacjom.

Łatwiej było nazwać ją karierowiczką i spać spokojnie w przekonaniu, że jest się o wiele czystszym moralnie.

Marta już otworzyła usta, aby skomentować uwagę Eryka, gdy nagle zza jego ramienia dostrzegła, że do willi wchodzi spóźnieni goście.

Szczupły, szpakowaty mężczyzna w granatowym garniturze i starsza pani w czarnej garsonce ze sznurem pereł wokół szyi. A to niespodzianka!

– Przepraszam – rzuciła bez jakiegokolwiek wyjaśnienia Borzewskiemu i w tempie nadawanym przez wysokie szpilki przemieściła się w kierunku drzwi.

– Mama!

Kobieta z elegancko upiętymi do góry białymi jak śnieg włosami spojrzała na nią niemal bez emocji.

– Marto! Nogi sobie połamiesz w takich butach – powiedziała i nastawiła policzek do pocałunków.

– Ale nas zaskoczyliście – powtarzała najmłodsza Wentówna, przytulając się do matki, ale już za chwilę ramiona starszej pani ścisnęły o wiele serdeczniej siostrę i brata Marty.

– Tereńka kochana! Jak ślicznie wyglądasz. I mój mały chłopiec nawet zdążył przyplynać. Tak bardzo się cieszę.

– Dobry wieczór, Marto. – Brat Piotr przywitał ją równie chłodno jak matka. Przytulił ją do siebie tylko na moment i nawet nie ucałował.

Marta stanęła obok zbierającej uściski i pocałunki pary, czując się jak porzucone

dziecko. Zauważyła, że zbliżył się do niej Eryk Borzewski.

– Zawsze zazdrościłem wam tej licznej rodziny. Takiej niepowtarzalnej atmosfery w domu. Ciepłej, serdecznej.

Marta spojrzała na niego z ukosa, sprawdzając, czy z niej nie kpi. Nie, Eryk mówił szczerze.

– Pozostałeś jedynakiem.

– Niestety, tak. – Spojrzały na nią oczy, które kiedyś nawet nie mrugnęły ze strachu, gdy mała Marta, dźwigając niemowlę, potknęła się i omal nie spadła z nim ze schodów.

– Witam mamę – do komitetu powitalnego dołączył szwagier Stefan. – Tak się cieszymy z Terenią, że mama zdecydowała się w końcu do nas przyjechać.

– Witam pana. – Ton głosu matki stał się lodowaty. – Ale nie do was przyjechałam, tylko do mojego syna.

– Ale u nich ciasno. Nie lepiej u siebie, w domu rodzinnym? – Naiwny Stefan nie dawał za wygraną.

– To nie jest mój dom rodzinny. – Krótka replika zamknęła mu usta.

Stefan, mężczyzna zbliżający się do sześćdziesiątki, zaczerwienił się na tak mało uprzejmą uwagę. Zapadła niezręczna cisza, to znaczy niezręczna dla wszystkich z wyjątkiem matki. Jej twarz była dostojna i nieruchoma.

Marta postanowiła szybko zmienić temat.

– Mamo, czy poznałabyś naszego małego Eryczka Borzewskiego w tym panu? – Niezbyt elegancko wypchnęła go przed starszą panią.

– Eryczek! Mój ty Boże! – wzruszyła się matka Marty. – Kiedy wróciłeś do Polski?

– W zasadzie parę lat temu – odpowiedział, całując z galanterią jej dłoń. – Stwierdziłem, że teraz da się tutaj mieszkać i robić interesy.

– No właśnie – ucieszyła się starsza pani. – Teraz już można. Ostatnie wybory jasno to pokazały. Wreszcie powstanie nowe państwo. I ukarze tych wszystkich komunistów, ubeków i inną swolocz. Wreszcie się doczekaliśmy – spojrzała po oniemiałych zebranych, jakby oczekując liczego aplauzu – państwa prawa!

Oklaski się nie rozległy, jedynie Piotr kiwał głową z pełną aprobatą.

Starsza pani zachnęła się lekko, obróciła i, posunęła dostojnie w kierunku stołu z zakąskami.

Jej córka podążała za nią, rozumiejąc już jasno, że zebrani na uroczystości otwarcia willed od tej chwili stali się wyłącznie członkami komitetu powitalnego. Matka nagle obróciła się i syknęła dość donośnym głosem: – Marto, ile razy ci mówiłam, że kobiety po czterdziestce powinny nosić spódnice za kolano.

## ROZDZIAŁ 2

W Warszawie w poniedziałek padał śnieg. Marta nie zdążyła odebrać samochodu od mechanika i brnęła teraz w brunatnej brei w kierunku stacji metra. Miała na sobie zbyt cienki płaszcz i zupełnie nieodpowiednie buty.

Każdy krok, mimo iż ostrożnie stawiany, groził wielotygodniowym noszeniem gipsu. Kiedy w końcu dotarła do celu, na peronie przywitał ją tłum osób mało życzliwie nastawionych do świata. Nie miała nawet szansy usiąść. Trzymając się poręczy, próbowała oderwać się myślami od otoczenia i skoncentrować na czekających ją tego dnia zajęciach. Nie było to jednak możliwe. Rodzinne spotkanie zupełnie ją rozkojarzyło.

Nieoczekiwane pojawienie się matki i starszego brata radykalnie przestawiło jej plany. Oczywiście w piątek nie było nawet mowy, by wyjechać do Warszawy. Przepadła wizyta u mechanika, cotygodniowe pływanie, przygotowanie się do zajęć na najbliższy tydzień. Musiała nocować u Teresy, a potem spędziła całą sobotę w domu Marcina i Jolki. Jej „moherowa” matka postawiła całą rodzinę w stan najwyższego pogotowia i wszyscy, z Martą na czele, starali się spełniać jej wszelkie zachcianki. Znowu zachowywali się jak stado smarkaczy, oczekując, że niepodzielnie panująca monarchini zechce ich obdarzyć cieplejszym spojrzeniem. Z ojcem nigdy tak nie było. Oczywiście wszyscy się cieszyli, gdy przyjeżdżał do domu po kilkumiesięcznych pobytach na morzu, ale nawet wtedy liczyło się tylko skinienie palca matki. Ojciec natychmiast dopasowywał się do pozostałych i obrzucał ukochaną kobietę najwykwintniejszymi podarunkami. Jednak za każdym razem zamiast podziękowania słyszał to samo:

– I po co takie wydatki? Tyle pieniędzy. I tak nie będzie pasowało.

Nigdy jednak nie zmienił postępowania, jakby w obawie o to, co mogłoby się zdarzyć, gdyby przyjechał z pustymi rękami. Czasami Marta miała wrażenie, że ten rosy i odważny mężczyzna lęka się swojej żony.

Tym razem to matka rozdawała prezenty. Najwięcej przypadło dzieciom Marcina,

których nie widziała od ponad trzech lat. Stały nieco onieśmielone, przypatrując się surowym rysom swojej legendarnej Babci: Asia, osiemnastolatka, trzynastoletni Bartek i beniaminek rodziny, pięcioletni Maciuś.

– Mam nadzieję, że dobrze wam idzie w szkole.

– Babciu, ja chodzę dopiero do średniaków – zauważył nieśmiało Maciuś.

–I nie umiesz jeszcze czytać? – dopytywała się babcia, trzymając w ręku amerykańską encyklopedię, którą zamierzała wręczyć wnukowi.

– Jesce nie – zaseplenił.

Starsza pani spojrzała z wyrzutem na Marcina i Jolkę, która momentalnie zrobiła się czerwona jak piwonia. Zawsze miała ogromne kompleksy z powodu braku wykształcenia. Za chwilę pewnie wszyscy usłyszą, jak to wszystkie dzieci pani Wentowej potrafiły czytać gazety już w przedszkolu. A jej amerykańskie wnuczki, córki Piotra, to...

Dwudziestoosmioletnia genialna Emily zrobiła doktorat z fizyki na Berkeley i pracowała w NASA. Dwudziestopięcioletnia, superutalentowana Mary kończyła właśnie prawo na Columbii i miała się przygotowywać do egzaminu adwokackiego w jednej z najlepszych kancelarii prawnych w Nowym Jorku.

Marta, bawiąc się otrzymanym iPodem, próbowała mrugnąć do brata, ale ten niczego nie zauważył, zbyt wstrząśnięty tym zestawieniem wybitnych córek Piotra ze swoimi latoroślami. Jola jednak się nie poddała i przywołała wygraną przez Asię szkolną olimpiadę z geografii. Babcia pokiwała z zadowoleniem głową i obdarzyła najstarszą córkę Marcina przychylnym uśmiechem.

– Bardzo się za wami wszystkimi stęskniłam – powiedziała, ale jej oczy patrzące na Martę zdawały się zaprzeczać tym słowom.

– Wysiada pani? – Nagłe poruszenie współpasażerów wyrwało Martę z zamyślenia.

– Tak, wysiadam – rzuciła prędko i dołączyła do innych ruszających do wyjścia podróżnych.

Marta tyle razy przysięgała sobie, że zachowanie matki nie będzie miało na nią żadnego wpływu, że nie da się ponieść emocjom. No, i co się dzieje? Wystarczy, że ją



zobaczyła, a znów stała się zasmarkaną pięciolatką, która mężnie rywalizuje z rodzeństwem o każdy przychylny gest matki, o odrobinę ciepła. Jako ponad czterdziestoletnia kobieta nie była nawet o grosz emocjonalnie mądrzejsza. Od rodzinnej toksyczności dzieliło ją niemal czterysta kilometrów. W Warszawie, na szczęście, była zupełnie dojrzałą osobą.

Z wyprostowanymi plecami, rzuciwszy uprzejme „dzień dobry” w stronę ochroniarza, weszła do budynku instytucji, w której pracowała.

Agencja Promocji Regionalnej i Rozwoju Turystyki znajdowała się niedaleko Dworca Centralnego w stylowym gmachu, który zaledwie parę lat wcześniej poddany został pieczołowitej renowacji. Pomieszczenia zachowały dawny układ, ale dostosowano je do współczesnych potrzeb i nasycono zaawansowaną techniką komputerową. Departament, któremu szefowała, znajdował się na trzecim piętrze. Po wyjściu z windy Marta przeszła po lśniącem parkiecie korytarza i otworzyła drzwi, przesuwając identyfikator przez czujnik. Wreszcie się zatrzymała. Przywitała ją mosiężna tabliczka z jej własnym nazwiskiem i stanowiskiem – wiceprezes ds. promocji i koordynacji projektów unijnych dr Marta Wenta.

Pragnęła sądzić, że dotarła do tego miejsca o własnych siłach, dzięki wszechstronnemu wykształceniu, zdolnościom i umiejętnościom zarządzania ludźmi. Niestety, ta subiektywna opinia była bardzo często kwestionowana. Na przykład mężczyzna, którego zaskoczyła przy wejściu do gabinetu na rozmowach z jej własną sekretarką, uważał, że stanowisko zajmowane przez nią przez ostatni rok jest podziękowaniem za usługi seksualne świadczone na rzecz prezesa rady nadzorczej agencji. Doprawdy, jej kolega Wróblewski, drugi wiceprezes, zbyt nisko ją cenił.

Wziął teraz do ręki swój służbowy kalendarz i wolno obrócił się w jej stronę. Przerwał pogaduszki w pół słowa, więc zapewne polegały one na knuciu intryg. Marta wiedziała jednak, że za chwilę wiceprezes coś wymyśli. W przeciwieństwie do niego ona go doceniała. W każdym razie jego przebiegłość.

– Myślałem, że przyjdiesz dziś wcześniej.

Niby o siódmej? Zabawny facet, myślała, wieszając płaszcz do szafy.

– Widzę, że masz coś pilnego do mnie. Pani Justyno, poprosimy o dwie kawy –

powiedziała do sekretarki i otworzyła drzwi do gabinetu.

– Słyszałem, że konferencja dla przyszłych inwestorów dobrze poszła – powiedział Wojtek Wróblewski i rozwalił się w fotelu.

– Nie narzekam – odpowiedziała z lekkim uśmiechem. –Czekają tam teraz na ciebie i twoją część turystyczną.

Wróblewski w agencji odpowiadał za sprawy związane z turystyką.

Gdyby nie prowadził szeroko zakrojonej polityki gabinetowej, może udałoby mu się utrzymać swój dział na przyzwoitym poziomie. Tymczasem stanowił on jedno dymiące bagno.

– Tak, ale to po moim powrocie z Andaluzji.

– Ty jedziesz do Andaluzji? – zdziwiła się. Miał tam jechać człowiek z jej departamentu, specjalista od kontaktów z prasą. Projekt hiszpański powinien się przecież zacząć od kontaktów z mediami, a potem dopiero zajmować konkretami. To była jej działka. Ona odpowiadała za promocję i media.

– Tak postanowił prezes. Przyszedłem tu, bo mamy pewien problem z tym twoim Mierzejewskim. Wiesz, o co chodzi, prawda?

Marta nigdy nie słyszała, aby ktokolwiek w agencji miał problem z jej zastępcą. Był najbardziej lojalnym i pracowitym człowiekiem ze wszystkich znanych jej ludzi. Wzór pracownika.

– Nie, nie wiem. A o co chodzi? – W oczekiwaniu na kawę nalała do szklanki wody mineralnej.

– Nie? Prezes ci nie mówił? – dopytywał się Wróblewski, a w jego głosie słychać było triumfalny ton.

Co za pechowy dzień, pomyślała. Najpierw podróż metrem, teraz od rana Wróblewski. Patrząc na tego wymuskanego fircyka, nie miała wątpliwości, że usłyszy od niego same przykre rzeczy. Kiedyś może zdolny, ale zbyt leniwy, by coś z tym zrobić. Próbował utrzymać swoje status quo w firmie za pomocą intryg i donosicielstwa. Był jednak na tyle skuteczny, że żaden z poprzednich dwóch prezesów nie zdołał go wyrzucić stamtąd na zbity łeb. Pewnie się go bali. Wróblewski zawsze sprawiał wrażenie, że dużo wie o każdym i na każdy temat. Zdarzało się, że również

Marta, choć na ogół ostrożna, dawała mu się podejść. Teraz też poczuła, że zaczyna się denerwować. Nie da się ukryć, że Mierzejewski, mocno żonaty ojciec trójki dzieci, był jednak jej faworytem.

– Klasyczne nadużycie zaufania – oznajmił w końcu Wróblewski po odpowiednio długiej przerwie, której zadaniem było wyprowadzenie Marty z równowagi.

Klasyczny kabotyn, pomyślała, walcząc z pokusą wylania na niego zimnej wody.

– Używał karty kredytowej do kupowania paliwa do samochodu w styczniu.

– Oczywiście, że to robił. Sama mu kazałam. Jeździł przecież służbowo do Wrocławia – oburzyła się Marta.

– Do Wrocławia tak, ale on później odwiedzał teściów w Jeleniej Górze. Z kilometrówki wynika, że robił o wiele dalsze trasy. Prezes jest wściekły. Wiesz, jakiego on ma fioła na punkcie dobra wspólnego.

To ostatnie akurat się zgadzało. Nowy prezes, gorący poplecznik partii rządzącej, od pierwszego dnia po objęciu nowego stanowiska, postanowił zrobić w agencji radykalne porządki, których skala zapewne katastrofalnie zakłóciłaby pracę. Na szczęście po paru miesiącach zmodyfikował swoje plany, głównie z powodu niemal cotygodniowych wyjazdów za granicę.

– A skąd wiadomo, że jeździł do Jeleniej? Czy ktoś z nim rozmawiał? – dopytywała się Marta, odbierając od sekretarki tacę z kawą.

– Nie mam pojęcia. Ktoś się musiał dowiedzieć.

– Porozmawiam z nim, jak wróci z Krakowa. Jeśli to prawda, będzie musiał zwrócić te pieniądze. To oczywiste.

– Z pewnością, ale ktoś taki nie powinien dostawać firmowej karty kredytowej – oświadczył ten sam Wróblewski, którego służbowe kolacje cechowały się bizantyjskim zbytkiem. Ale i to uchodziło mu na sucho. Pisał potem długie pokrętne oświadczenia, tłumacząc potrzebę wypicia do posiłku francuskich win za parę tysięcy złotych.

– Masz całkowitą rację. Nie można naciągać firmy. To są przecież pieniądze podatników – odpowiedziała słodkim głosem, patrząc mu głęboko w oczy.

Wróblewski zamrugnął i szybko dopił swoją kawę.

– Karolu, czy mógłbyś mnie oświecić w sprawie swoich wyjazdów do Jeleniej Góry? – spytała Marta kolegę, jadąc z nim jego samochodem na spotkanie w ministerstwie.

– Moich wyjazdów? Dokąd? – W spokojnym tonie Mierzejewskiego pobrzmiwało zaskoczenie.

– Twoi teściowie mieszkają w Jeleniej Górze, prawda?

– Raczej mieszkali. Dwa lata temu przeprowadzili się do Częstochowy. Do mojej bratowej.

– A dokąd jeździłeś z Wrocławia? Do nich? Podobno są rozbieżności w kilometrówce.

– Ale ta księgowa upierdliwa – zaśmiał się – przecież mogła mi o tym powiedzieć, a nie latać na skargę. Zupełnie o tym zapomniałem. Te dodatkowe kilometry to przecież wyjazd do Berlina z naszym niemieckim prelegentem. Pamiętasz? Odwołali mu pociąg i wpadł w panikę, bo następnego dnia miał ślub córki.

– A rzeczywiście. Coś takiego było – przypomniała sobie Marta.

To nawet ona sama poprosiła Karola o odwiezienie tego Niemca. A zatem wszystko jasne, a właściwie takie jak od samego początku, od tych jedenastu miesięcy, kiedy to zaczęła pracę w agencji. Powiązanie funkcjonowało następująco: księgowa–Wróblewski–prezes. Och, takich związków było znacznie więcej. Pionowych i poziomych, krzyżowych, różno– i jednopłciowych. Najgorsze, że zamiast pracować, osoby te zajmowały się intrygowaniem i kopaniem pod sobą dołków. Czy ona sama popełniała błąd, nie robiąc tego? Brak zaangażowanych i oddanych popleczników przeważnie źle się kończył. Był jednak Karol...

– To wyjaśnij tę sprawę w księgowości, proszę – dodała nieco zmęczonym tonem i zerknęła w lusterko, by sprawdzić stan makijażu.

– Ślicznie dzisiaj wyglądasz, Marto, wiesz? – Karol zaparkował, a potem oderwał wzrok od kierownicy. Jego oczy jak zwykle patrzyły na nią z oddaniem. – Zresztą tak jak zawsze.

– A czy ty wiesz, że jesteś lizusem? – zwróciła się do swego podwładnego.

– Ja bym tego tak nie nazwał. I cieszę się, że mogę ci to powiedzieć.

Szkoda tylko, że ty nie możesz mi się odwzajemnić podobną uwagą.

– Nie...? – O co mu chodziło?

– Bo to mogłoby oznaczać molestowanie.

Rozumiesz, wykorzystywanie swojego stanowiska kierowniczego dla celów...

– Ty lepiej uważaj! – ostrzegła Marta i przed samym gmachem ministerstwa kopnęła go celnie w kostkę. Całe szczęście, że Mierzejewski miał poczucie humoru, inaczej na dłuższą metę nie zniosłaby tej jego wiecznej adoracji.

Wchodzące do gmachu czterdziestolatki chichotały jak dzieci.

Ciekawe, co o nas myślą ochroniarze, pomyślała Marta.

Dwie godziny później wychodzili z ministerstwa w równie dobrych humorach. Marcie udało się namówić podsekretarza stanu na udział w organizowanej przez nią wspólnej konferencji. Miała z nim dobre kontakty i czuła, że wspiera ją we wszystkich pomysłach. Kiedyś wspomniał nawet, że Marta miałyby możliwość zajęcia ministerialnego stanowiska, gdyby zapisała się do partii, ale ona była jak najdalsza od polityki. Poza tym nie wierzyła w krystaliczną uczciwość uprawiających ją na co dzień ludzi. Tego rodzaju działalność zdawała się korumpować niemal każdego. Ciekawe, co powiedziałyby matka, gdyby ona, Marta, została ministrem? Całe życie straszyla ją polityką jak płachtą na byka. Ale skoro wygrała ta jedyna, według niej, uczciwa partia? Co za bzdury, zdenerwowała się na swoje głupie myśli.

Znów zaczął padać śnieg i natychmiast się topił po zetknięciu z gorącym asfaltem jezdni. Marta wstrząsnęła się od nagle atakującego chłodu.

– Ale przenikliwa wilgoć! – powiedział Mierzejewski i poprawił szalik. Zauważyła, że dygocze mu broda. – Napijemy się czegoś? – zaproponował nagle, gdy dochodzili już do samochodu.

– Przecież jesteś kierowcą – zauważyła Marta. Nie jeździła z pijącymi, o nie!

– Mam wieczorem spotkanie na mieście. Wrócę do siebie autobusem.

To co? – Spojrzał wyczekująco na Martę. – Napijesz się ze mną wina? Albo może coś zjemy? Jak wolisz.

Przez cały rok, od kiedy rozpoczęła pracę w agencji, nie poszła z nikim do knajpy. Prywatnie oczywiście. Jeśli to była konferencja, wyjazd, grupa pracowników, to

oczywiście proszę bardzo. Ale iść na wino z Karolem? Tylko że pomówienia Wróblewskiego tak bardzo ją tego dnia rozsierdziły. Przez chwilę zaczęła mieć wątpliwości w stosunku do swego zastępcy. Czyżby tak łatwo można było nią manipulować? Tak mało miała wiary w ludzi? Ależ Marto, to ojciec trójki dzieci. W uszach wyraźnie zabrzmiał jej głos matki. No to tym lepiej, mamó, odpowiedziała jej w myślach. Dlatego z nim jest bezpiecznie.

– OK. – Uśmiechnęła się do kolegi i oboje, jak zwykle rozumiejąc się bez słowa, ruszyli w stronę Sheratona.

– Masz dużo czasu? – spytała Marta bardzo konkretnie, gdy zajmowali miejsca w barze.

– O, mnóstwo. To takie nocne spotkanie. – Karol niewinnie spoglądał na listę win.

– No proszę – roześmiała się – a dziećmi zająć się nie łaska?

Karol spojrzał na nią tak dziwnie, że zrobiło jej się gorąco. Pewnie klimatyzacja hotelowa słabo działała.

– Dziećmi? Moja najstarsza, Magda, kończy prawo, Szymon jest na politechnice, a Darek na drugim roku ekonomii.

– O! – zdołała tylko powiedzieć. Nie miała pojęcia, że czterdziestotrzyletni mężczyzna może mieć takie dorosłe dzieci. Nigdy go o to nie pytała. Sama nie lubiła odpowiadać na pytania związane z sytuacją domową i dlatego do tej pory nigdy takich nie zadawała. Trochę to dziwne, zważywszy że przez ostatni rok pracowała z nim razem świątek–piątek.

– O tak. Niestety. Są dosyć starzy – przyznał Karol. – Urodziła nam się ta trójka prawie rok po roku. Byliśmy bardzo niedouczeni w sprawach antykoncepcji. Moja żona Ela to nawet chyba wierzyła w bociany.

Marta, śmiejąc się, zamówiła białe wino.

– Czyli masz sporą rodzinę. Ja też z takiej pochodzę.

– Naprawdę? Sądziłem, że byłaś taką wychuchaną jedynaczką.

– Jedynaczką, dobre sobie! Mam brata bliźniaka i siostrę. I jeszcze jednego przyrodniego brata. Dom był pełen ludzi.

– Matka pewnie miała z wami urwanie głowy. Żeby wychować taką gromadkę...

– Hmm... – Marta zastanowiła się przez chwilę. – Wydaje mi się, że matka wcale nas nie wychowywała. Ona po prostu zarządzała nami w odpowiedni sposób. Nikt nawet nie ważył się jej sprzeciwić.

– Coś po niej odziedziczyłaś, prawda? – Karol się lekko uśmiechnął.

– Bez komentarza – odpowiedziała i szybko zmieniła temat. – A co robi twoja żona? – Oparła się łokciami o stół i obserwowała twarz rozmówcy.

– Ela studiuje. Też kończy prawo.

– Studiuje?

– Niestety, przez tę naszą trójeczkę tylko mnie się udało skończyć studia w terminie, a to tylko dlatego, że zlitowali się nad nami rodzice.

Teraz, kiedy dzieciaki podrosły, zdecydowała się nadrobić stracone lata.

– Wspaniała kobieta. A dzieciaki co na to?

– Najbardziej załamana jest Magda, także studentka prawa, bo jej matka z egzaminów zawsze dostaje wyższe oceny. Wiesz, jaka jest między nimi rywalizacja? – Mierzejewski sięgnął po wino przyniesione przez kelnerkę. – No i Ela nadrabia zaległości. W różnych dziedzinach, niestety – dodał z przekąsem. – Tego się nikt po niej nie spodziewał.

Marta nie czekała na dalszy ciąg opisu małżonki, tylko wypła niemal duszkiem połowę kieliszka i przeprosiła Karola, że na chwilę wyjdzie. Szła tak szybko, że w drodze do toalety o mały włos nie połamała sobie na schodach obu nóg.

W łazienkowym lustrze spoglądała na nią zaczerwieniona z emocji twarz. Zdążyła uciec w ostatniej chwili. Na szczęście nie zaczął opowiadać jej historii, które tak dobrze znała. Jak to jego żona go nie rozumie, jak z upływem czasu rozminęły się ich oczekiwania i jak ze zwiewnego dziewczątka stała się gruboskórną, ordynarną babą, z którą on już wcale nie sypia. Gdyby to usłyszała, nie byłaby w stanie przepracować z Mierzejewskim ani dnia dłużej.

Marta pochyliła się i przyłożyła czoło do chłodnej lustrzanej tafli.

Osiem lat temu przysięgła sobie dogonnie, że nigdy nie weźmie udziału w podobnej farsie. Trzeba jakoś ukrócić te rozbuchane emocjonalnie relacje z Mierzejewskim. Absolutnie się z nim nie spotykać na gruncie prywatnym. I przede

wszystkim... przede wszystkim pozbyć się tego idiotycznego ściskania w dołku, jakiego od pewnego czasu zaczęła doświadczać na jego widok. Boże święty, miała przecież czterdzieści dwa lata.

Ochłonęła trochę, a potem poprawiła makijaż i powędrowała na górę pożegnać się z Karolem. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła, że rozmawia z mężczyzną siedzącym w większym towarzystwie, które usadziło się parę stolików dalej. Oho! Dopiero teraz dostrzegła skład osobowy tej sporej grupy. Cóż za śmietanka! Parlamentarzyści, pracownicy kancelarii premiera, ktoś znajomy z ministerstwa spraw zagranicznych.

– Marto! – Karol momentalnie pojawił się znów przy niej. –

Zapraszają nas, żebyśmy się do nich przysiedli. Ja ich nie znam, ale jest tam mój kolega ze studiów. Pracuje w biurze analiz w sejmie.

Marta podchwyciła tę propozycję. W końcu kilka nowych kontaktów może jej się przydać, a poza tym była to doskonała okazja, by uniknąć wysłuchiwania opowieści Karola o problemach rodzinnych.

– No to chodźmy! – Uśmiechnęła się i zabrała ze stołu swoje wino.

Po chwili już witała się z nowym towarzystwem. Wszyscy, oprócz kolegi Mierzejewskiego, byli od niej znacznie młodszy. Ambitne trzydziestolatki robiące zawrotną karierę. Zrobiono jej miejsce koło znajomego z MSZ-u, a Karol musiał się zadowolić narożnym krzesłem.

Towarzystwo wydawało się już nieco rozochocone. Prawdopodobnie pili już wcześniej w innym miejscu. Teraz pozamawiali wódkę z sokiem z limonek z dużą ilością lodu.

– No i k... co wy pogrywacie sobie z tym samorozwiązaniem sejmu? –

Uszu Marty dobiegły słowa jednego ze znanych polityków. Nie miał pod szyją krawata i wyglądał nieświeżo.

Jego rozmówca z opozycyjnej partii machnął ręką.

– Pic na wodę fotomontaż. Wiesz sam, jak to jest.

– To po co w takim razie taka ch...a szopka?

– Nie wiesz, to jest k... wymysł prezesa. Takie prężenie mięśni.

Marta zatrzymała wzrok na krawędzi swojego kieliszka z winem.



Widziała znad niego, że Mierzejewski przysłuchuje się uważnie rozmowie.

Była prowadzona donośnym tonem, zupełnie bez skrępowania i żenady.

Przekleństwa, które ją okraszały, nie robiły żadnego wrażenia na kimkolwiek... oprócz niej samej. Jeśli jednak zostało się wychowanym przez matkę, która maturę robiła jeszcze przed wojną, to słuchanie słów wulgarnych było prawdziwym cierpieniem. Chyba jednak dobrze, że nigdy nie chciała się związać z polityką.

Marta próbowała skupić się na tym, co opowiadał jej znajomy z MSZ- u, ale co chwila dochodziły ją urwane strzępy prowadzonych wokół rozmów. Pożałowała nawet, że ma tak dobry słuch i potrafi dosłyszeć najmniejszy szept na sali. Przy zarządzaniu personelem stanowiło to dodatkowy atut, teraz zaś było udręką.

– I ja ci k... mówię! – perorowała posłanka z komisji kultury.

I nagle Marta usłyszała zupełnie inny dialog dochodzący z jej lewej strony. Prowadzony był krótkimi urywanymi zdaniem, przerywanymi przez rozmówców różnymi głośnymi publicznymi uwagami.

– Jego dni są policzone. Tak jak mówiłem.

– Ale ile czasu? Nie wolno dopuścić do podpisania kontraktu gazowego. To mogłoby nas pogrążyć.

– Tydzień. Wiesz, jakby się tamto nie udało, to jest jeszcze teczka.

– Jego.

– No tak, a oświadczenie lustracyjne podpisał. Więc...

– To go mamy. Bez żadnych wątpliwości. Facet sam się nam podstawił.

– Jasne. Można sobie pogratulować. No to zdrówko. – Słysząc było, jak rozmówcy stuknęli się szklankami.

– Kocham tę lustrację!

Marta próbowała się przyjrzeć osobom prowadzącym dialog, ale wizję przesłaniała jej „kulturalna” posłanka przekrzykująca się ze swoją koleżanką klubową po drugiej stronie stołu:

– On, k..., grosza nie powinien dostać z budżetu. To jest okropne gówno, a nie teatr.

O kim mówili tamci? Kogo ci ludzie chcieli załatwić?

– No to „Profesorka” mamy z bani – usłyszała po chwili.

„Profesorka”? Tak przecież nazywano Nagórskiego, ministra gospodarki. Policzki Marty płonęły jeszcze bardziej niż przed godziną, kiedy Mierzejewski zaczął mówić o swojej żonie. W chwili, gdy siedząca obok niej posłanka podniosła się, by pójść do toalety, Marta szybko pożegnała się ze znajomymi i ruszyła za nią. Po drodze zdążyła tylko zobaczyć twarz jednego z mężczyzn knujących przeciwko „Profesorkowi”.

Wydawało jej się, że go rozpoznaje. Był to wysoki urzędnik w kancelarii premiera.

– Nie poczekaż na mnie? – Karol dogonił ją w korytarzu, kiedy pospiesznie narzucała już na siebie płaszcz.

– Przepraszam, ale nie chciałam psuć ci zabawy.

– Zabawy? – prychnął Karol.

– W wieczornych rozmowach z rodakami.

– Daj spokój, przecież to żenujące.

– Dla mnie przerażające. Przecież ci ludzie decydują o wszystkim.

Również o „Profesorku”, któremu wydawało się, że to on rozdaje karty. Prezes niejednokrotnie dawał jej do zrozumienia, że Marta nie jest ulubienicą ministra. Po prostu zbyt często pojawiała się w mediach, a jej twarz zdobiła czołowe strony gazet. Minister, widząc po raz kolejny wydrukowane jej nazwisko, zachłystywał się poranną kawą. A teraz... a teraz jego chciano wyciąć.

– Czy mogę cię odwieźć do domu? – Karol przepuścił ją przez wejściowe drzwi.

Obróciła się do niego odrobinę zbyt gwałtownie.

– Nie, dziękuję. Mam jeszcze coś do załatwienia. A poza tym... ty jesteś umówiony – dodała.

– Tak, ale niezobowiązująco. Odprowadzę cię tam, gdzie chcesz.

– Karolu! – Teraz była już na niego zła. – Dam sobie sama radę – oświadczyła i odwróciła się na obcasie.

– Och, ja wiem, że sobie dasz. Pomyślałem tylko, że może byłoby ci przyjemnie – usłyszała jego ciepły głos za plecami.

– Naprawdę dziękuję – dodała trochę spokojniejszym tonem. – Chciałabym cię jednak o coś spytać.

– Tak...

– Czy gdybyś dowiedział się czegoś o kimś, co może temu komuś zaszkodzić lub zrobić krzywdę, to czy dałbyś mu o tym znać?

– Marto, co masz na myśli? – Mierzejewski był wyraźnie zaniepokojony. Może myślał, że mówi o nim i jego sprawie z księgową.

– Czy w jakiś sposób powiadomiłbyś tego kogoś, mimo iż niemal nie znasz tej osoby? Czy uznałbyś, że to nie twoja sprawa?

– Jeśli się o czymś wie, to już jest twoja sprawa – odpowiedział po dłuższej chwili Karol.

– Tak też myślałam.

Marta odwróciła się ponownie i szybkim krokiem ruszyła w stronę placu Trzech Krzyży.

## ROZDZIAŁ 3

Tej nocy nie była w stanie zasnąć, a gdy to się udawało, wkrótce budziła się nękana koszmarami. W snach pojawiał się Karol wpatrujący się w nią swym oddanym wzrokiem, bez przerwy słyszała: „Mamy »«Profesorka» z bani”. Ostatni raz obudziła się zlna potem i skrajnie wyczerpana.

W pracy tego dnia nie mogła się na niczym skoncentrować. Ciągłe wpatrywała się w zegar, tak jakby chciała powstrzymać upływ czasu. Na szczęście Mierzejewski załatwiał sprawy poza agencją i nie musiała się na niego natykać. Co powinna zrobić? I czy warto ryzykować dla tak antypatycznej postaci jak minister? Niewiele o nim wiedziała, a to, co wiedziała, jak najbardziej odstręczało ją od jakiegokolwiek działania.

Pozostało jej żałować, że miała matkę, której bezkompromisowość musiała wyssać z mlekiem. W jej światopoglądzie nie było odcieni szarości.

Wszystko było czarne albo białe. Powinna była zostać sędzią i bez cienia wahania ferować wyroki. W pracy lekarki nie zyskiwała tego rodzaju spełnienia. Ten zawód znacznie bardziej pasował do siostry Marty, Teresy, która z anielską cierpliwością podchodziła do wszystkich swoich pacjentek.

Ale ona charakter odziedziczyła po marzycielskim ojcu. Najmłodsza Wentówna nie miała wątpliwości, iż mimo konfliktu z matką to właśnie ona jest do niej najbardziej podobna.

W południe Marta wyszła na miasto i w pobliskim sklepie kupiła telefon komórkowy na kartę. Po aferze Rywina każdy już wiedział, jak należy postępować, aby nie trafić na listę podejrzanych billingów. Z dotarciem do numeru komórki Nagórskiego nie było problemów. Kiedyś otrzymała go od prezesa. Pozostało tylko pytanie, czy zechce on odebrać rozmowę pochodzącą z nieznanego mu numeru. Ale to już nie będzie jej zmartwienie, postanowiła. Spróbuje trzy razy. Taką da mu szansę. A potem o wszystkim postara się zapomnieć.

Pierwszy telefon wykonała o piętnastej. Dość długo czekała, ale bezskutecznie. Na

szczęście nie odezwała się również automatyczna sekretarka. Widać zmęczony licznymi telefonami abonent wyłączył tę funkcję. Po pierwszej próbie Marta poczuła się znacznie rażniej. Była już nawet przekonana, że minister nigdy nie odbierze telefonu. Tak więc ona dokona tego szlachetnego czynu i jej sumienie będzie czyste. Druga próba po godzinie zakończyła się tym samym wynikiem. Ale przy trzeciej, o siedemnastej, kiedy siedziała w samochodzie, ręka, w której trzymała komórkę, zaczęła drżeć.

– Słucham! Nagórski! – przerażona usłyszała czyjeś warknięcie już po pierwszym dzwonku.

Zwalczyła impuls, żeby natychmiast się rozłączyć, i odezwała się zachrypniętym głosem:

– Panie ministrze. Chcę pana ostrzec. To nie jest żart.

– Kto mówi? – dopytywał się minister rozkazującym tonem.

– Nieważne. Ktoś chce pana głowy. Ktoś, kto sprzeciwia się kontraktowi gazowemu.

– Co takiego? Kim pani jest?

– Będzie pan szantażowany. Swoją teczką.

Rozłączyła się, nie czekając na jego reakcję. Spełniła swój obowiązek w stosunku do bliźniego. Ręce jej dygotały tak mocno, że musiała zacisnąć je na kierownicy. Nagle w aucie z tyłu kierowca nacisnął na klakson. Niemal podskoczyła z przestrachu. Uspokój się, wariatko, już po wszystkim, przekonywała się przez dobrych dziesięć minut, zanim osłabiona, na miękkich nogach wysiadła z samochodu. Kiedy w pobliżu agencji wrzucała do śmietnika przełamaną kartę SIM, poczuła na ramieniu czyjeś dotknięcie.

Proszę mnie zostawić – krzyknęła niemal.

– Marto! To ja! – Przed nią stał Karol.

Szybko cofnął rękę, której dotyk tak ją przestraszył. Przełknęła głośno ślinę.

– To ty! Przepraszam. Zamyśliłam się.

– Jesteś taka blada. Czy coś się stało? – dopytywał się, patrząc na nią z zatroskaniem.

– Chyba... chyba mam gorączkę – wyjąkała, wściekła na siebie, że okazuje przed nim słabość.

– Właśnie widzę, że coś nie tak. Zawieźć cię do domu? Tego jeszcze brakowało!

– Nie, nie. Poradzę sobie. Chyba rzeczywiście pojedę do siebie. Dziś już i tak nie mam nic pilnego. Pójdę tylko na górę po laptopa.

Oczywiście musiał jej towarzyszyć do samego gabinetu. Stopniowo dochodziła do siebie.

– Marta, jakbyś mnie potrzebowała, daj znać. Zrób sobie wolne.

Musisz być przemęczona. Zajmiemy się tu wszystkim.

Co za bezczelny, protekcyjny ton! Ale nie była w stanie prowadzić z Karolem słownych utarczek. Pokornie, bez słowa, weszła do gabinetu zabrać swoje rzeczy. Do domu dotarła niemal godzinę później, wyczerpana ostatnimi przeżyciami oraz gigantycznym korkiem ulicznym. Mimo że nic nie jadła przez cały dzień, nie miała ochoty na przełknięcie nawet kęsa.

Weszła do sypialni i położyła się na łóżku, chcąc chwilę odpocząć. Po chwili dała się wciągnąć w mroczny tunel snu.

Obudziła się w ciemnościach. Zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje. Fluorescencyjne cyfry na stojącym obok łóżka zegarze oznajmiły jej, że zbliża się dwudziesta trzecia. Spała niemal trzy godziny i miała dość.

Niepotrzebnie zasnęła. Teraz będzie się męczyć przez całą noc. Wstała z łóżka i zrzuciła z siebie służbowy strój. Weźmie prysznic, potem zrobi sobie coś do jedzenia. Może chwilę popracuje, albo lepiej, poogląda trochę telewizję, potem posłucha muzyki. Jeśli nie będzie stresować się tym, że nie chce jej się spać, tym szybciej ponownie zaśnie.

Otulona w szlafrok wyszła z łazienki i udała się do drugiego połączonego z kuchnią pokoju. Nastawiła telewizor na TVN24 i otworzyła lodówkę, żeby poszukać w niej czegoś, na co miałyby ochotę. Chyba jednak musiała być trochę chora, bo nie miała apetytu na nic. Włączyła elektryczny dzbanek, żeby zalać zieloną herbatę, i w tym momencie usłyszała, że zaczęły się wiadomości. Pokazywano relację z wręczenia premierowi nagrody najpopularniejszego polityka. Marta nalała wrzątku do kubka i

nagle usłyszała coś, co spowodowało, że z całych sił pochwyciła blat stołu.

Czym prędzej odwróciła się w stronę telewizora.

– Nieoczekiwany występ ministra gospodarki w naszym wieczornym programie „Teraz My” został natychmiast skomentowany przez partie opozycyjne. Żadna z nich nie przyznaje się do organizacji spisku przeciwko ministrowi. W łonie partii rządzącej sprawa ta stała się tematem gorących dyskusji. W kancelarii premiera zwołano nadzwyczajne posiedzenie rządu.

Na ekranie telewizora pojawiła się pogodna twarz premiera.

– Wierzy panu ministrowi i mam do niego pełne zaufanie. Złożył na moje ręce wyjaśnienie. Minister dał dowody wielkiego patriotyzmu i prawdomówności.

Po premierze pojawił się znów dziennikarz TVN. „Przypomnijmy jednak przebieg wydarzeń”. Po chwili Marta zobaczyła na ekranie telewizora ministra, który siedząc w studiu telewizyjnym, mówił nieco roztrzęsionym głosem: – Dzisiejszego popołudnia odebrałem telefon zapowiadający szykowaną przeciwko mnie intrygę. Stałem się niewygodny dla pewnej grupy, która dąży teraz do mojej kompromitacji. Co gorsza, dowiedziałem się, że te osoby w celu skompromitowania mojej osoby gotowe są posłużyć się spreparowaną ubecką teczką. Chcę im oświadczyć publicznie: pomylili się państwo. Nie ugnę się pod żadną presją i będę nadal prowadził moje ministerstwo zgodnie z linią reprezentowaną przez rząd. A jeśli pojawi się jakakolwiek teczka, to o to akurat jestem spokojny. Głęboko wierzę w profesjonalizm naszych ekspertów z IPN.

– Kto do pana dzwonił? – spytał dziennikarz.

– Zapewne jedna z tych osób, które mi grożą. To był kobiecy głos. Nie przedstawiła się, ale sądzę, że są środki techniczne, by to bliżej zbadać.

– A czy powiedziała, co ma pan robić albo czego nie robić, żeby uniknąć szantażu?

– Niestety, ta sprawa dotyczy kontraktów objętych tajemnicą państwową. Oczywiście przedstawię sprawę premierowi.

Po chwili ponownie zabrał głos dziennikarz czytający wiadomości.

– Po złożeniu zawiadomienia o przestępstwie prokuratura zaczęła już prowadzić

postępowanie w sprawie szantażowania ministra. A teraz przedstawimy państwu...

Marta w zupełnym oszołomieniu osunęła się na sofę w pobliżu telewizora. Pewnie już nic nowego nie usłyszy, ale to, co dotarło do niej przed chwilą, wystarczało aż nadto. W co ona się najlepszego wpakowała?

Absolutna kretynka! Jak już jej się zachciało zostać ostatnim uczciwym obywatelem w tym kraju, to mogła przecież sama zgłosić sprawę do prokuratury. Ale nie, ona musiała inaczej. Nie odpowiadały jej metody pracy rządu polegające na publicznej kompromitacji innych i intrygowaniu, więc teraz ma za swoje.

Nagle poczuła się jak tropiony przestępca. Wyłączyła pilotem telewizor, wstała pospiesznie z sofy i sprawdziła zamknięcie drzwi wejściowych, potem sięgnęła po telefon. Niby sygnał jak zawsze, ale może już na podsłuchu.

Uspokój się, wariatko, zaklinała się, zmuszając do racjonalnego myślenia. Nic na mnie nie mają. Nic. Prokuratura zapewne nie. Ale z pewnością dwóch panów prowadzących rozmowę w hotelu Sheraton musiało połączyć jedno z drugim.

W mieszkaniu panowała martwa cisza. Marta słyszała swój przyspieszony oddech. Ponownie włączyła telewizor i przerzuciła kanały.

Na jedynce emitowali film. Już po niecałej minucie spostrzegła, że opowiada on historię płatnego zabójcy tropiącego niewygodnego świadka.

– Jesteś głupsza, niż myślałam, Marto – powiedziała do siebie głosem matki. – Żyjemy w państwie prawa!

Jednak tej nocy nie zasnęła nawet na minutę. Przypomniała sobie, że również w tym kraju zabito kiedyś szefa policji, jednego z ministrów i wielu anonimowych szaraków, o których media już nie wspominały. Oczywiście nawet przez moment nie przypuszczała, że ktoś mógłby jej fizycznie grozić, ale nie da się ukryć, że sytuacja, w którą się wpakowała, nie była zbyt przyjemna.

Następnego dnia przed godziną ósmą zadzwoniła do swojej sekretarki, mówiąc, że jest chora. Nie będzie jej do końca tygodnia. Potem zapakowała torbę podróżną i zamknęła mieszkanie. W podziemnym garażu wrzuciła bagaż do samochodu i usiadła za kierownicą. Jedyne, co mógł zrobić niewygodny świadek, to zniknąć na parę dni. I to jak najszybciej.



– No i co teraz? – Karol niechętnie oderwał się od ekranu telewizora.

Był zaniepokojony, ale nie chciał dać tego po sobie poznać.

– Co masz na myśli?

Karol obrócił się w stronę rozwalonego na skórzanym fotelu mężczyzny.

– Wiesz przecież, o co chodzi. Musisz się po prostu zdecydować. Nie ma w tym żadnego ryzyka. A potem... Prawdopodobnie już za parę miesięcy powstanie nowa firma, w której będziesz mógł się sprawdzić i rozwijać swoje zawodowe doświadczenie.

– I ty to już wiesz w tej chwili, tak?

– Takie są plany. Przecież nie tylko ja o tym wiem. Ale musi być tam zatrudniona odpowiednia kadra. Poza tym będziesz mógł się wreszcie wziąć do swego doktoratu.

Karol roześmiał się rozbawiony tą uwagą.

– I ty mi zagwarantujesz czas na pracę badawczą! Sam w to chyba, chłopie, nie wierzysz. – Sięgnął po butelkę piwa stojącą na stoliku przy telewizorze i pociągnął z niej spory łyk. – Mnie już na żadnym doktoracie nie zależy. To były mrzonki młodości. Teraz jestem facetem w średnim wieku, o słabej kondycji fizycznej, i chcę się zajmować czymś innym.

– Czym, u licha?

– Normalną pracą, spóźnionym wychowywaniem dzieci i być może wkrótce bawieniem wnuków.

Kolega ryknął śmiechem, który nagle przeszedł w spazmatyczny kaszel, gdyż niemal nie udusił się piwem, które dostało mu się do tchawicy.

– Nie ma w tym nic śmiesznego, zapewniam cię. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem.

Kolega nagle spoważniał.

– Nie musisz mi ściemniać. Dobrze wiem, o co chodzi.

– Jasne. Zawsze wszystko wiesz. Więc mnie oświeć.

– To ta twoja szefowa.

– Co ona?

– Zawróciła ci w głowie. Karol pokręcił głową z irytacją.

– Nosiłś za nią teczki i kapcie i wpadłś, stary. Zadurzyłś się, prawda? To dlatego nie chcesz robić nic nowego. Dlatego jesteś taki uparty.

Pani doktor Wenta zawróciła ci w głowie. Przyznam, trochę dziwne, bo nie jest jednak w twoim typie, no ale czasem tak bywa.

– Myśl, co chcesz. Bardzo ją lubię, to prawda, ale z resztą przesadziłeś.

– Wiesz, ile się znamy?

– Dwadzieścia lat?

– Właśnie – odparł kolega. – Więc trochę o tobie wiem. I powiem ci jako przyjaciel, nie jako dawny kumpel z pracy, nie angażuj się. Zostaw ją w spokoju, Karol, proszę cię. – Dopił resztę piwa i odstawił pustą butelkę na stół. – Chyba sam wiesz, że to do niczego nie prowadzi.

Karol był tak zły, że ledwie mógł zachować spokój. Wściekłość zatykała mu dech i podrażniała oczy. Ale może to nie wściekłość wywoływała szczypanie pod powiekami? Może to było zrozumienie, że jego kolega ma całkowitą rację.

## ROZDZIAŁ 4

– Tunia? To ty? Coś się stało? – Jeden rzut oka Teresy na twarz Marty wystarczył, by stwierdzić, że młodsza siostra ma problem.

Pewnie inaczej nie pojawiłaby się u niej wczesnym popołudniem bez zawiadomienia.

– Mam wypalenie zawodowe – wymyśliła na oczekaniu Marta. – Na myśl o pracy przewraca mi się w żołądku, boli mnie głowa, mam lęki i jakąś chyba paranoję.

– O rany! Brzmi imponująco, ale wejdź do środka. Przecież nie będziemy rozmawiać na ganku.

Marta pochwyciła swoją walizeczkę i weszła do holu. Jej dawny dom rodzinny! Teresa niewiele w nim zmieniła. Zapewne z powodu braku czasu, a może także kulejących finansów. Wprawdzie od chwili, gdy wydała się za Stefana Boersa, nie musiała się już liczyć z każdym groszem, jednak oboje byli zbyt zajęci sobą, nowymi pomysłami i nieustannym podróżowaniem, żeby przywiązywać wagę do estetyki domu. Dzięki temu, wchodząc do salonu, Marta miała wrażenie, że podróżuje w czasie.

Na środku pokoju stał masywny dębowy stół, pod którym niejednokrotnie bawiła się z Marcinem. To właśnie z tego stołu po imieninach matki udało im się pozabierać kieliszki z niedopitym winem.

Brat maczał w nich kawałki chleba, które później z lubością obracali na języku. Powiedział, że w taki sposób nie przejdą na nią cudze zarazki. A to one właśnie były głównym straszakiem matki, zapalanej higienistki. Marcin nie wziął jednak pod uwagę, że Marcie po uporaniu się z zawartością trzech kieliszków tak się zakręci w głowie, że spadnie ze schodów i złamie rękę.

Miejsce pod oknem zajmował skórzany fotel, z którego ojciec zawsze z zachwytem przypatrywał się grającej na pianinie matce. „Stary Niemiec”, jak nazywano w rodzinie ten instrument, stał tam nadal. Marta podeszła do niego i podniosła pokrywę klawiatury. Przebiegła palcami po klawiszach, ale jedyne, co sobie

przypominała, to „Wlazł kotek na płotek”. Niestety, zabrakło chęci i czasu na regularne ćwiczenia. Pozostałemu rodzeństwu również, chociaż Piotr czasami zasiadał przy tym pianinie, próbując coś zagrać. Matka nigdy nie mogła im tego lenistwa muzycznego wybaczyć.

– No co tak stoisz jak w muzeum? Przecież jesteś u siebie – obruszyła się Teresa.  
– Zanieś walizkę do swojego pokoju.

– Nic się nie zmieniło? – spytała cicho Marta, nieco oszołomiona swoim nagle odkrytym sentymentalizmem.

– Czy mam ci pokazać drogę? Oj, ty mój głuptasie! – Objęła sztywną jak drut młodszą siostrę, która po sekundzie wahania zanurkowała w jej ramiona.

Z całej rodziny tylko Teńka była taka wylewna. W związku z tym uchodziło jej na sucho obejmowanie innych.

– Szkoda, że nie ma Stefana, ale wyjechał na parę dni do Belgii.

Lepiej nie mogło się złożyć. Wprawdzie Boers był bardzo dobrym mężem dla jej siostry, jednak Marta wolała z nią pobycć sam na sam.

– Będziemy robić, co chcesz. Możemy chodzić na spacer, oglądać telewizję, czytać lekkie książki – zachęcała Teresa, gdy szły schodami na piętro – Mam kilka nowych z biblioteki.

Marta nie lubiła żadnej z tych czynności, ale wyjątkowo postanowiła zgodzić się na wszystkie propozycje siostry. Dobrze byłoby oderwać się od rzeczywistości.

– Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała Teresa i ściągnęła kapę z łóżka. Była tam świeża pościel. Jak zawsze.

Marta podniosła puchową poduszkę i przytuliła ją do policzka. Miała rację, przyjeżdżając tutaj. Wyciszy się przez parę dni, do końca tygodnia zapomni. I wówczas usłyszała tradycyjne pytanie siostry: – A pojawił się ktoś ciekawy na horyzoncie?

Marta skrzywiła się jak od bólu zębów. Teresa się nie poddawała.

Zawsze stawiała w tym pokoju jakieś „cudowne” romansidła, które miały zachęcić Martę do jakiegokolwiek uczuciowej aktywności. Z kolei na Gwiazdkę była obdarowywana koszmarnymi romantycznymi komediami, horoskopami albo

podręcznikami do feng shui. Marta zawsze stawiała okoniem wobec takich siostrzanych propozycji. Nie miała ochoty czytać o paniach mających problemy z utrzymaniem wagi i marzących o wielkich uczuciach. Jej to zupełnie nie dotyczyło. Ani, na szczęście, tusza, ani rozważania o „tym jedynym”. Myśli poświęcała wyłącznie pracy, rodzinie, a ostatnio... ministrowi Nagórskiemu. Wzruszały ją jednak wiara i bezgraniczny optymizm Teńki. Słyszac po raz kolejny to samo pytanie, tym razem zareagowała zupełnie spokojnie.

– O tak. Ja spotykam samych ciekawych ludzi. Aż za bardzo. – Znów przytuliła twarz do poduszki: Nagle poczuła się tak bezpiecznie, a ciepło przepłynęło po całym jej ciele.

W tej samej chwili rozdzwonił się telefon komórkowy Marty.

Odłożyła poduszkę na łóżko i sięgnęła do torebki.

Spojrzała na wyświetlacz. Jej palec zawisł nad włącznikiem, ale nie uruchomił go. Zanim włączyła się sekretarka, sygnał telefonu jeszcze przez jakiś czas wibrował w tym niewielkim pomieszczeniu.

– Nie odbierasz? – zdziwiła się Teresa.

– Ach, to kolega z pracy. Nie będę sobie zawracała tym głowy – odpowiedziała Marta i wyłączyła komórkę. – Jestem na urlopie.

Teresa jeszcze przez dłuższą chwilę patrzyła na rumień, który nagle pojawił się na dekolcie jej młodszej siostry.

Godzinę później, kiedy Marta zdążyła na nowo umościć się w swoim starym „gnieździe”, siedziały razem w kuchni, jedząc ekologiczną zupę Teresy.

– Nie smakuje ci pewnie, ale to zawsze trwa jakiś czas, zanim organizm się przyzwyczai.

Teresa została wegetarianką po wyjściu za mąż i podobnie jak Stefan Boers całym sercem oddana była sprawom ekologii.

– Zupełnie niezła, chociaż wiesz, że wolałabym dobrą kiełbasę.

– O, z tym musisz poczekać, dopóki nie będziesz w Gdańsku. Nie mówiłam ci jeszcze, że w sobotę jedziemy do Marcina. Obiadek rodzinny, moja droga. I to chyba ostatni u Jolki, bo Piotr kupił jakieś mieszkanie dla siebie i mamy.

– Żartujesz? – Marta niemal zachłysnęła się zupą. – Naprawdę już to zrobił? W takim szybkim tempie?

Rozmawiała przecież z bratem tydzień temu i zdążył jej tylko wspomnieć o swych planach. Nie miała pojęcia, że tak szybko zainwestował. To jakiś cud. Do tej pory podejmowanie decyzji przychodziło mu z dużym trudem.

– I to w jakim zawrotnym tempie! Już zdążyli nawet wstawić meble.

Eryczek Borzewski mu we wszystkim pomógł. Podobno sam miał to mieszkanie na oku, ale ze względu na mamę odstąpił pierwszeństwo Piotrowi.

– Eryczek? – zadumała się Marta. – Jolka powinna więc dziękować Bogu, że się nawinał.

Z pewnością czuła się zmęczona goszczeniem dodatkowych domowników.

– Tunia, nie bądź złośliwa! – upomniała ją starsza siostra.

– No dobrze, nie będę. A czym się ten Eryk zajmuje? Na otwarciu willi odpowiadał mi bardzo wymijająco. Podobno jeszcze do końca nie wie, zastanawia się. Ma jakieś kontakty za granicą. Wiesz coś?

Teresa pokręciła przecząco głową.

– Nie mam pojęcia, ale będziesz go mogła sama o to zapytać.

– A co?

– A to, że jego też zaprosili. Dzwonił do Marcina, a potem przez dłuższą chwilę rozmawiał z mamą i to ona wywarła presję na Jolkę.

– No proszę, nasza matka zawsze leci na takich czarujących facetów.

– Wiesz, Tuńka, jesteś niemożliwa.

Obie siostry wybuchnęły serdecznym śmiechem.

– Ale masz rację. – Teresa wytarła łzy z oczu. – Eryk należy do tych grzecznusich chłopczyków.

– Których należy się wystrzegać – dokończyła za siostrę Marta.

– Dla ciebie nie ma typu mężczyzny, z którym można się zadawać, to ja już dobrze wiem. Ale nie przesadzaj z tym. Eryk to jednak rodzina, a poza tym... Poza tym, moja droga, on bardzo o ciebie wypytywał.

Dwa dni później Eryk Borzewski siedział koło Marty z haftowaną serwetką na

kolanach i o nic nie wypytywał, tylko ze skupieniem przysłuchiwał się rozmowom pozostałych domowników. Nie dotyczyły niczego specjalnego, jedynie zakupów i sklepów, w których bratowa Jola kupuje mięso i wędlinę. Niemożliwe, by go to interesowało, zezłościła się w myślach Marta i postanowiła się przebić przez jego obojętność.

– A kto tobie robi zakupy? – spytała z niewinną minką.

– Jak to kto? Sam sobie robię i na ogół jadam w restauracjach. Rzadko trafia mi się tak wyborny obiad jak u was.

– Nie jesteś żonaty? – zdziwiła się Marta. Mimo iż przyszedł do Wentów sam, była przekonana, że musiał zostawić panią Borzewską gdzieś za granicą.

– Jestem rozwiedziony od pięciu lat. Niestety, moi synowie mieszkają z matką w Anglii.

– Teraz przy tanich połączeniach lotniczych to nie jest zbyt duży problem – zauważyła.

– To prawda, przyjeżdżają do mnie często. Na szczęście są już dość samodzielni: czternaście i trzynaście lat.

Marta nie miała się czym poszczycić w tym zakresie, na dzieciach się nie znała, więc zamilkła.

– Byłem bardzo zawiedziony, że tak szybko zniknęłaś z otwarcia willi.

Myślałem, że będzie okazja do powspominania starych dziejów, a kiedy się tylko obróciłem, ciebie już nie było.

– Miałam do załatwienia sprawy służbowe – zapragnęła się wytłumaczyć Marta.

– Dowiedziałem się od Teresy. Również tego, że nie mieszkasz w Gdańsku, tylko w Warszawie.

– Tak, to prawda. Od ośmiu lat.

– Mam jednak nadzieję, że bywasz w Gdańsku?

– Teraz, skoro mama wróciła, z pewnością będę tu znacznie częściej. Z pracą jednak różnie bywa. – Westchnęła cichutko. – A ty, czym się zajmujesz, Eryku?

Nieruchomościami. W Anglii handlowałem mieszkaniami. A tu stawiam budynki i je sprzedaję. Buduję między innymi obok „Morskiego Oka” twojego szwagra.

Poznaliśmy się któregoś dnia i po krótkiej rozmowie okazało się, że znam jego żonę.

– No proszę, przypadki rządzą światem. Czyli jesteś panem od deweloperki. To dlatego udało ci się znaleźć mieszkanie dla Piotra. Sam je wybudowałeś?

– Nie, nie – zaprzeczył.

To mieszkanie miało być dla niego. Już od dłuższego czasu poszukiwał dogodnej lokalizacji. Skoro jednak dowiedział się od jej brata, że potrzebuje mieszkania dla siebie i dla matki, nie wahał się ani chwili. Dla nich było jak wymarzone. Zaspą, przy samym morzu, wśród parkowej zieleni. Pani Wentowa powinna być zachwycona.

– Czy to znaczy, że jesteś teraz bezdomny? – zaniepokoiła się Marta.

– Muszę cię rozczarować. Wczoraj podpisałem umowę na kupno apartamentu w Oliwie. Będziemy musieli to opić. Przyjedziesz?

– Jeśli tylko nic mi nie wypadnie, to z przyjemnością.

– Zapraszam na werandę. – Jola z udręczoną miną ofiarnej gospodyni domowej przerwała im rozmowę.

Weranda była rozświetlona wiosennym słońcem. Marta łapała je twarzą, zaciskając powieki, pod które próbowały się wkraść ostre jak szpilki promyki. I byłaby zupełnie zapomniała, jaki był pierwotny powód jej niespodziewanego wyjazdu z Warszawy, gdyby nagle nie usłyszała głosu matki: – Marto, może ty mi powiesz, co się tam u ciebie w stolicy wyprawia.

Ten minister, radio podaje, że taki wspaniały człowiek, a teraz go chcą zaszczyć byłe służby.

– Mnie to, mamo, zupełnie nie interesuje – odparła szybko, nie chcąc się wdawać w jakiegokolwiek dyskusje z matką. – Trzymam się bardzo daleko od polityki.

W tym momencie zadzwonił jej telefon komórkowy. Widząc, że to Karol Mierzejewski, postanowiła zignorować sygnał. Kiedy komórka przestała dzwonić, Marta spostrzegła na ekranie, że ma na nim zapisane dwie inne nieodebrane wcześniej rozmowy. Spojrzała na numery. Jeden należał do Karola, a drugi... Dobrze zapamiętała tę kombinację cyfr.

Należała do telefonu komórkowego ministra gospodarki Nagórskiego.



## ROZDZIAŁ 5

Marta ponownie włączyła telefon dopiero w poniedziałkowy rano już w Warszawie i postanowiła nie psuć sobie humoru, odsłuchując pozostawione na nim wiadomości. W zasadzie pochodziły one wyłącznie od jednej osoby. Pozostali postanowili widać poczekać na jej pojawienie się w pracy.

Trochę dłużej niż zwykle ubierała się przed wyjściem, starannie planując rozkład dnia. Rozmawiała z sekretarką w piątek po południu i ta przekazała jej listę spraw do załatwienia. Zawiadomiła również Martę, że szukała jej asystentka ministra w celu zaplanowania wyjazdu służbowego.

Kiedy się dowiedziała, że Marta jest na zwolnieniu lekarskim, oświadczyła, że skontaktuje się z nią w późniejszym terminie. Słyszając te słowa, wiceprezeska odetchnęła z ulgą. Bardzo łatwo było wpędzić się w paranoję, wymyślając sobie najgorsze z możliwych scenariusze.

Spraw służbowych nie było aż tak dużo, jak by się można spodziewać.

Na poniedziałek w kalendarzu Marty nie zapisano też żadnych istotnych spotkań. Wyglądało na to, że w spokoju, po tych paru dniach wypoczynku, będzie mogła wrócić do codziennego morderczego reżimu.

Wyjazd do K. i do Gdańska był bardzo dobrym pomysłem. Dzięki spacerom nad jeziorami nałykała się mnóstwo świeżego powietrza, przeczytała dwie książki, była z matką na koncercie, na herbatce u stryja Wenty, a także próbowała nawiązać przyjazne stosunki z przyrodnym bratem. Wprawdzie bez spektakularnego sukcesu, ale osiągnęła tyle, że Piotr raz się uśmiechnął. Koszmary życia zawodowego rozpierzchły się za morza, za lasy, które zostawiała za sobą, wracając do Warszawy. Tym razem bez żadnych złych myśli włączała tego dnia telewizor, gdzie w „Kawie czy herbacie?” pokazywano jeżdżącego na quadzie premiera, a nie żaden polityczny horror.

Jadąc do pracy w porannym blasku wiosennego słońca, Marta czuła się świetnie, a jej głowę przepełniały pomysły związane z najbliższym dniem.

Musi porozmawiać z dziennikarzami z „Nowin Dnia” w sprawie kolorowej

wkładki, mającej być reklamą agencji. Powinna przejrzeć projekty nowego logo konferencji.

Wszystko szło doskonale, dopóki nie doszła do śluzu na swoim piętrze. W tajemniczy sposób drzwi nie chciały się otworzyć. Dopiero dostrzeżona zza szyby asystentka udzieliła jej pomocy, naciskając na klamkę od wewnątrz.

– Dzień dobry, pani prezes. Dobrze, że pani już jest. Czeka na panią profesor Czernik.

Czernik był profesorem na SGH, a także doradcą ministra gospodarki.

Marta знаła go jeszcze ze swojej poprzedniej pracy w PAIZ–ie. Zawsze darzyli się sporą sympatią, a od kiedy Czernik został członkiem rady nadzorczej jej agencji, czuła, że ma w nim sprzymierzeńca. Czego mógł od niej chcieć? Marta była zdziwiona, że nie dał wcześniej znać o planowanej wizycie. Przyspieszyła kroku, dochodząc do drzwi gabinetu.

– Dzień dobry panu! – powiedziała, wchodząc uśmiechnięta do sekretariatu.

– Dzień dobry, pani doktor – odpowiedział sześćdziesięcioletni mężczyzna. – Wiem, że pani jeszcze o niczym nie wie, ale czy możemy porozmawiać? – Wskazał ręką na pokój.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Usiedli w fotelach naprzeciwko siebie. Zauważyła, że Czernik ma bardzo niepewną minę.

– Coś się stało, panie profesorze?

– Pani doktor – chrząknął. – Odbyło się posiedzenie rady nadzorczej agencji. I... decyzją rady została pani odwołana ze swojego stanowiska. Tu jest pismo w tej sprawie.

Oniemiała ze zdumienia Marta odebrała je automatycznym ruchem.

Litery tańczyły przed jej oczami i nie była w stanie zrozumieć treści pisma.

– Nie wiedziałam o żadnym posiedzeniu rady – udało jej się wyjąkać.

Profesor Czernik wlepił wzrok w blat stolika, przy którym siedzieli. Po chwili powiedział:

– Przewodniczący zwołał posiedzenie wczoraj.

– Wczoraj? Przecież wczoraj była niedziela!

Czernik nie skomentował jej uwagi, tylko znów odczekał chwilę.

Mózg Marty nadal tkwił w otulinie oszołomienia spowodowanego tą niespodziewaną informacją. Wywalili ją z roboty. Ją. Z tej roboty! Czy nie wypruwała żył dla agencji? Czy nie spędzała tu całych dni i najlepszych lat swego życia? Pięknie jej za to wszystko podziękowali. Chyba nie jest to zemsta za to, że zrobiła sobie parę dni wolnego! Cóż za ironia losu, że musiało to nastąpić właśnie teraz.

– Pani Marto, znamy się od wielu lat. – Westchnął, patrząc na zmienioną twarz rozmówczynie. – Pani Marto. Proszę tego nie brać zbyt mocno do serca. Wie pani, jak to jest... Z pewnością zrobi pani w życiu jeszcze wiele dobrego – powiedział profesor Czernik i wskazał na pismo. – A teraz prosiłbym o podpis.

Marta siedziała na ławce w Ogrodzie Saskim w towarzystwie emerytów i matek z małymi dziećmi i patrzyła tępo przed siebie. Po złożeniu podpisu na dymisjonującym ją dokumencie spędziła w agencji zaledwie godzinę, pakując swój niewielki służbowy dobytek. W kadrach podpisała wszystkie niezbędne dokumenty, do administracji zniosła laptopa i pożegnała się z nieco roztrzęsioną asystentką. Nie było nikogo, kto by chciał z nią na koniec porozmawiać. Prezes wyjechał za granicę, Wróblewski zniknął gdzieś na mieście, a Karola Mierzejewskiego nie było.

Marta uśmiechnęła się do siebie z goryczą. Wziął wolny dzień. Pewnie w tej sprawie wcześniej do niej wydzwaniał. Postanowiła jednak odsłuchać jego wiadomości i wyjęła z torebki swój prywatny telefon komórkowy.

Marta. To ja, Karol. Mam do ciebie pilną sprawę. Proszę cię, oddzwon jak najszybciej. A tak w ogóle, to gdzie się podziewasz?

Chyba nie sądził, że się będę przed nim tłumaczyć, pomyślała mimo wszystko ciepło o swoim byłym podwładnym.

Marto! Dlaczego się ukrywasz? Ja naprawdę mam bardzo pilną sprawę. Muszę się z tobą skontaktować. To nie są żarty.

Jego głos brzmiał tym razem ostrzej. Widocznie był zniecierpliwiony jej uporem, w jakim tkwiła, nadal nie odbierając telefonów.

Marto! Tu Karol! To jest naprawdę superważna sprawa. Dotyczy twojej pracy. Na

miłość boską, kobieto, dlaczego mi nie powiedziałaś, że jedziesz do jakiejś tajgi bez zasięgu.

Twojej pracy? Zatem Karol coś wiedział na temat jej odwołania. Czy miał jakiś przeciek od kogoś z rady? Dobre pytanie. Dlaczego mu nie powiedziała, dokąd wyjeżdża? Zachowała się bardzo nieprofesjonalnie.

Dopiero teraz oceniała to obiektywnie. Powinna go poinformować o wyjeździe. Był jej najbliższym współpracownikiem. Niemal od roku wszystko ze sobą uzgadniali. Ale nie, coś jej się zaczęło roić w głowie w sprawie Karola Mierzejewskiego i postanowiła go zmrozić. No to teraz sama jest ugotowana.

Marto. Jesteś na zwolnieniu do poniedziałku. Proszę cię, idź do lekarza i przedłuż to zwolnienie na co najmniej tydzień. Nie wracaj do agencji bez niego. I skontaktuj się ze mną. Pauza. Jesteś zupełnie niemożliwa.

Ta ostatnia wiadomość była zupełnie jasna. Karol wiedział o jej odwołaniu i chciał, żeby przynajmniej przedłużyła sobie pracę zwolnieniem lekarskim. Wszyscy zwalniani przeważnie zapadali na ciężkie choroby i leczyli się miesiącami. Może jednak mieli rację. Pewnie to zasługa stresu, ale Marta poczuła się bardzo, bardzo źle. Lecz na wszelkie kombinacje było już za późno.

Była wiceprezes, Marta Wenta, niczym inwalidka trzeciej grupy, z mozołem podniosła się z ławki i ruszyła w stronę samochodu. Była godzina dwunasta, a ona miała przed sobą dużo czasu wolnego. Ponownie wyłączyła komórkę. I tak już nikt nie zadzwoni!

Dwa dni później zabrakło w lodówce jedzenia, ale Marta nadal nie miała ochoty na wyjście z domu. Chęci brakło do wszystkiego. Do stania, leżenia, oglądania telewizji, czytania, a już najbardziej do kontaktów z ludźmi. Sama myśl o tym, że miałyby z kimś rozmawiać, na kogoś patrzeć, była dla niej wręcz fizycznie odpychająca. Z rozmowami telefonicznymi było to samo. Słowa wprost więzły jej w gardle. Nie miała nawet ochoty, by zadzwonić do najbliższych. Wiedziała, że musi przerwać ten stan, żeby nie powtórzyła się sytuacja sprzed ośmiu lat. Najrozsądniej byłoby pojechać do siostry i dać się pocieszać. Ona z pewnością wytłumaczy jej tak po ludzku, dlaczego została zwolniona. To „dlaczego” najbardziej ją dręczyło, mimo

iż doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest żadnym wyjątkiem.

Ludzie w stolicy, jak i gdzie indziej, wylatywali ze stanowisk bez jakiegokolwiek ostrzeżenia czy powodu. Normalka!

W końcu po długiej gorącej kąpieli, dzięki której udało jej się trochę ukoić skołatane nerwy, Marta postanowiła porzucić dresy, przebrać się i pójść do centrum handlowego na zakupy. Włożyła czerwoną tunikę od Eileen Fisher. Była uszyta z tak miękkiego materiału, że nie powinna być ciężarem dla zbolącej od napięcia nerwowego skóry Marty. Spojrzała na siebie w lustrze. Wyglądała jak półtora nieszczęścia. Jej ciemne krótkie włosy sterczały na głowie jak druty. Powinna umówić się do fryzjera. Jeśli ma znów szukać pracy, musi wyglądać reprezentacyjnie. Nie, nie, nie. Na ten temat zacznie myśleć... za jakiś tydzień. Albo jeszcze później. Już teraz Marta świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że potrzebuje wpieryw długiego, relaksującego urlopu. Gdzieś! I ona to „gdzieś” znajdzie. Za jakiś czas. W tej chwili umówi się jednak z fryzjerem. Włączyła komórkę, ale zanim zdążyła wystukać numer, telefon zaczął dzwonić. Wróblewski, stwierdziła rozczarowana, i odebrała rozmowę.

– Marto, czy możemy się spotkać? Mam ci coś pilnego do przekazania.

Hm... Następna osoba, którą coś piliło do spotkania z nią. Telefon od Wróblewskiego stanowił jednak w pewnym sensie sensację. Nie przypuszczała nawet, że ten lokajczyk władzy będzie chciał się z nią widzieć. Była już przecież spalona. Dziwne. Chciał marnować na nią swój cenny czas? Jeśli pragnął osobistego spotkania, mogło to jedynie oznaczać, że miał sprawę „nie na telefon”.

– Oczywiście. Masz jakąś propozycję?

– O czternastej w Radio Cafe.

No świetnie! Zatem w miejscu publicznym. Przez moment miała wrażenie, że zaproponuje jej jakieś odległe ustronne miejsce, najlepiej w piwnicznych ciemnościach. W ten sposób nikt się nie dowie, że wiceprezes spotyka się ze swoją wyrzuconą ze stanowiska koleżanką. Wybór knajpy był więc miłą niespodzianką.

– Dobrze, będę – odpowiedziała. Nie miała przecież nic innego do roboty.

Ale najpierw wizyta u fryzjera. Wróblewski nie może jej zobaczyć smutnej i załamanej. Marta sięgnęła w łazience po swoje najlepsze kosmetyki.

Kiedy Marta weszła do Radio Cafe, Wróblewski już tam siedział, przeglądał nerwowo prasę i pił drinka. W godzinach pracy! Wyglądał zresztą tak, jakby to nie był jego pierwszy kontakt z alkoholem tego dnia. Z pewnością zdążył już zjeść biznesowe śniadanie w Westinie, które na ogół suto zakrapiał winem Prosecco i teraz kontynuował tę upojną czynność. Ale to nie jej problem! Już nie.

– Cześć, Wojtek.

– Moja droga! Jak ty pięknie wyglądasz! – zachwycił się jej nową fryzurą.

– No, wiesz, od dwóch dni mam mnóstwo czasu. – Skinęła na kręcącego się w pobliżu kelnera i zamówiła kawę.

– Nie wierzę. Pewnie tylko odbierasz telefony od ludzi. Nie dziwię ci się, że wyłączyłaś komórkę.

Na sekretarkę nagrał się tylko on. Marta nie sądziła, że po dymisji znajdzie się zbyt duże grono współczujących jej osób. Zamiast oczekiwać na takie telefony, lepiej było wyłączyć komórkę.

– Byłam trochę zajęta. Sprawy osobiste – skłamała prędko. – I jak tam nastroje w firmie?

Okazało się, że nie były one zbyt tęgie. Wyrzucenie Marty wydawało się wszystkim mocno irracjonalne. Nie zdarzyło się nic, co mogłoby je w jakiś sposób uzasadniać. Poza tym żaden krewny lub znajomy Królika nie został wybrany na to stanowisko. Taki stan rzeczy wzbudzał liczne spekulacje i domysły. Ale Wróblewski nie chciał jej mówić o domysłach. W to mogą się bawić tylko ci, którzy mają zbyt dużo czasu. On chciał przekazać Marcie zupełnie konkretną informację. Niestety, nie może jej powiedzieć od kogo, pewnie doskonale to sama rozumie, ale jest to wiadomość z pewnego źródła.

– O co chodzi? – Marta próbowała sprawić, żeby jej głos brzmiał w normalny, stanowczy sposób, ale wstęp Wróblewskiego sprawił, że poczuła jakiś dziwny niepokój.

– Twoje odwołanie to sprawa ministra Nagórskiego. To on wywarł nacisk na przewodniczącego rady. Nikt nie miał nic do gadania. Podobno jest na ciebie potwornie wściekły.

Zapadła chwila ciszy, gdyż kelner przyniósł kawę dla Marty i kolejnego drinka dla Wróblewskiego.

– Za co? – spytała, przełykając ślinę.

– Dokładnie nie wiem. Osoba, z którą rozmawiałem, sformułowała to w ten sposób: „Za mieszanie się w nie swoje sprawy”.

– Słucham? – Puls Marty dochodził chyba do dwustu uderzeń. Nie sięgnęła nawet po kawę, gdyż czuła, że zaczynają jej dygotać ręce.

– To, co mówię.

– Ale w jakie sprawy? Nie rozumiem.

– Marto, wybacz, ale ja jeszcze mniej. Po prostu ci to przekazałem.

Marta przypatrywała się piance od cappuccino, jakby miała w niej zobaczyć przyszłość. Pojawiało się za to pytanie: dlaczego Wróblewski poczuł przymus opowiedzenia jej o tym. Do tej pory nie wykazywał się nadmierną koleżeńskością i szlachetnością. Może bał się o swoją skórę?

Lękał się, że jest w jakiś sposób również zamieszany w tę samą sprawę, i chciał teraz mieć możliwość ukrycia swego współdziałania. Co tu było grane?

– Nie wiesz, o co mogło mu chodzić? – dopytywał się teraz z lisim uśmiechem na twarzy.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła stanowczo. Trochę z tym przesadziła, ale nie zamierzała dzielić się podejrzeniami ze swoim byłym kolegą z pracy.

– Czyli wynika z tego, że facet cię znienawidził bez jakiegokolwiek powodu.

– Tak właśnie myślę.

– No dobra. Jak się czegoś dowiem, dam ci znać. – Nieprzekonany jej słowami Wróblewski podniósł się z krzesła.

– Bardzo ci dziękuję, Wojtku. To miło z twojej strony – odparła Marta i wreszcie mogła zmienić wyraz twarzy. Nie chciała, żeby widział, jak bardzo jest przejęta.

O co w tym wszystkim chodziło, zastanawiała się Marta. Ona wyświadcza temu okropnemu dziadowi Nagórskiemu przysługę, a on w podzięce wyrzuca ją z pracy. No tak, ale on przecież o tym nie wiedział.

Dlaczego jednak tak nagle ją znienawidził? Skąd się to wzięło?

Najgorsza jest ta kompletna niemożność uzyskania odpowiedzi na nurtujące człowieka pytania. To takie bezsensowne walenie głową w mur.

Szkoda na to jej zdrowia, czasu i myśli, powtarzała sobie, chodząc na wpół przytomna po Galerii Mokotowskiej i próbując robić zakupy. Na skutek przewagi myślenia nad działaniem udało jej się uporać z zakupami dopiero po dwóch godzinach. Objuczona torebkami zawierającymi w większości kupione pochopnie, a nieprzydatne do czegokolwiek przedmioty, wróciła do domu.

Na progu mieszkania zrzuciła z nóg czółenka na wysokim obcasie, a siatki z zakupami zostawiła na podłodze. Nie będzie się z tym spieszyć. Ma teraz bardzo dużo czasu, a jej mieszkanie nie musi przypominać laboratorium. Marta nalała sobie soku pomarańczowego i ze szklanką w ręku rozsiadła się w fotelu. Po chwili wahania, jakby czując na sobie karcący wzrok matki, położyła nogi na stoliku. Kompletna dezintegracja osobowości, pomyślała i zaczęła się zastanawiać nad sobą.

Sytuacja wyglądała niewesoło. Marta od kilku lat pracowała w instytucjach państwowych. Antypatia ministra do niej mogła więc zaważyć na znalezieniu przyszłej pracy. Czy ma dać sobie wyprać mózg i iść do korporacji? Nie bardzo miała na to ochotę, ale być może będzie trzeba. Jeśli ją wezmą oczywiście. Kobieta po czterdziestce nie była tam pożądanym nabytkiem. A jeśli już, to na bardzo krótko. Wykorzystają jej osobiste kontakty, wycisną z pomysłów i inwencji twórczej jak cytrynę, a potem po roku lub dwóch latach porzucą, szukając kolejnego frajera.

Jednego Marta była pewna. Nie chciała opuszczać Warszawy. Kochała to miasto tak, jakby się w nim urodziła, i zamierzała w nim zostać. Myśląc o Warszawie, przyszło jej do głowy, że ma teraz wystarczająco dużo czasu, aby pochodzić do teatru, na koncerty, rozkoszować się spacerami nad Wisłą, powłóczyć się bezmyślnie po knajpach. Tylko że prawie od razu pojawiło się pytanie: „Ale z kim?” Wszyscy jej znajomi pracowali od świtu do nocy.

Poza tym bliższych koleżanek Marta nigdy tutaj nie miała.

Niemal podskoczyła, gdy wibrujący sygnał domofonu przerwał jej rozmyślenia.

– Słucham?

– Do sprawdzenia wodomierzy.



Marta spojrzała na zegarek. Była szósta. Po raz pierwszy, od kiedy tu zamieszkała, osobiście przyjmowała pracownika wodociągów. Z powodu późnych powrotów do domu zawsze sama do niego dzwoniła, przekazując stan liczników.

Nacisnęła na przycisk i uchyliła drzwi, by wpuścić wdrapującego się po schodach na drugie piętro kontrolera.

– To ty? – spytała nieco chrapliwym głosem, kiedy Karol Mierzejewski stanął na progu. W obu rękach dźwigał plastikowe torby z hipermarketu.

– A jak to ja, to mnie wpuścisz?

Marta odsunęła się od drzwi, a on wszedł do holu. Poprowadziła go do pokoju, gdzie mogliby usiąść, ale on zatrzymał się w części kuchennej.

Przyjrzał się uważnie zakupom na podłodze, a potem Marcie.

– Jaki ja jestem durny – rozpoczął zaskakującą samokrytykę.

Milczała nadal porażona jego nagłym pojawieniem się w jej mieszkaniu. Nigdy tu nie był. Skąd znał adres? I gdzie on był, kiedy go najbardziej potrzebowała? Żadnego z tych pytań nie mogła zadać. Marta czuła, jak pod jego intensywnym wzrokiem nagle zaczyna braknąć jej tchu, a skronie robią się wilgotne od potu.

– Można się było tego spodziewać – kontynuował wątek Karol, nie zważając na jej milczenie. – Że tak to zniesiesz. Z godnością i klasą. Zawsze piękna, elegancka, z nową fryzurą. I nawet zakupy zrobione. – Wskazał na bałagan pod nogami. – A ja prosto z lotniska jechałem do Auchan, żeby ci przywieźć jakiś zestaw ratunkowy. Tak bardzo pragnąłem cię pocieszyć.

Myślałem, że nie będziesz chciała mi otworzyć, bo będziesz zapłakana, zapuchnięta...

Patrzył na nią tym samym wzrokiem co zawsze, ale Marta już nie była taka sama. Jej oczy przesłoniło nagle coś ciężkiego i mokrego.

– Marto, najdroższa, nie płacz. Mówię przecież, że jestem idiotą... – Objął ją, a jego ramiona, niestety, podziały jak katalizator erupcji całej kaskady łez.

– Nie było cię – skarżyła się jak małe dziecko, kiedy on gładził jej policzki. Chciał ją zapłakaną, to proszę. Wepchnęła nos pod kołnierzyk jego koszuli. Chyba już nigdy się nie uspokoi.

– Ale teraz jestem. Marto... – Nie skończył, bo nagle jego usta znalazły to, czego szukał. – Lepiej troszkę? – spytał, kiedy po dłuższej chwili oderwał się od jej warg.

Marta milczała porażona tym, co się stało, ale nie protestowała, kiedy Karol ponownie sięgnął po jej usta. Całował ją delikatnie, a potem, kiedy ugięły się pod nią kolana, coraz namiętniej. Nawet nie zauważyła, kiedy ściągnął z niej tunikę. Czuła się ogłuszona emocjami i nie była w stanie wykrzesać z siebie żadnej sensownej myśli, poza zgoła nienormalnym zadowoleniem z tego, że bez butów są jednakowego wzrostu. Ale gdy wydobył jej piersi z biustonosza, ona z równym zapalem ściągnęła z niego krawat i koszulę.

– Jest tu jakieś łóżko? Jestem kiepski w akrobacjach pionowych – szepnął, wtulając się w nią tak mocno, że niemal czuła go w sobie.

– Jest – wyjęczała.

– Gdzie? Bardzo daleko? – wydyszał z desperacją, zbliżając usta do jej piersi.

– Sypialnia. Ale tam nie dojdziemy, bo trzymasz rękę... no wiesz.

– Czekaj. Może kręgosłup wytrzyma – powiedział nagle.

Wyjął rękę „stamtąd” i dość lekko zarzucając sobie Martę na plecy, przemieścił się z nią do sypialni.

## ROZDZIAŁ 6

Obudził ją jakiś ruch. W świetle korytarzowej lampki zauważyła zbliżający się w jej stronę cień.

– Nie śpisz? – usłyszała głos Karola i od razu się uspokoiła.

– Przestraszyłam się. Wiesz, jak ktoś sam mieszka, to reaguje na inne dźwięki.

Karol zapalił nocną lampkę. Przyniósł jej szklanekę soku pomarańczowego. Na zegarze była czwarta rano. Po tym, jak zjedli sushi przyniesione przez Karola i kochali się ostatni raz, zasnęła jak kłoda.

Przebywali razem w łóżku od dziesięciu godzin, uśmiechnęła się do swoich myśli Marta.

– Przestań mnie znów kusić – odezwał się Karol i przejechał delikatnie dłonią po jej sutkach, a potem pochylił się nad Martą i pocałował w usta.

Nagle Marta skojarzyła, że Karol jest już przecież w spodniach i koszuli. Wziął wcześniej prysznic, gdyż miał jeszcze wilgotne włosy i pachniał jej mydłem.

– Musisz już iść – stwierdziła, kiedy wypuścił ją z objęć. Mierzejewski westchnął.

– Chciałem ci o tym powiedzieć zaraz po przyjściu, ale zupełnie nie było okazji. – Jego ręka nie ustawała w gładzeniu jej ramienia. – Próbowałem się z tobą skontaktować w zeszłym tygodniu. Przypadkowo ktoś wspomniał, że chcą cię odwołać.

– Ktoś? – spytała czujnie Marta.

– Znajomy. Nieważne. Chciałem cię uprzedzić, żebyś nie wracała do pracy, żebyś wzięła zwolnienie lekarskie. Wiem, wiem. Zrobiłabyś inaczej.

Ale przynajmniej wiedziałabyś, co się kroi. W sobotę zadzwonił do mnie nagle prezes i kazał lecieć z nim do Londynu, bo jego panna, prawniczka, się rozchorowała. I widać stałem się takim zapchajdziurą, bo dzisiaj o ósmej lecę do Andaluzji zamiast Wróblewskiego.

– Jednak ty lecisz? – zdziwiła się Marta.

– Sam mnie prosił. Widać boi się opuszczać swój stołek nawet na cztery dni. Nie zobaczymy się tak długo...

– Karolu. – Marta usiadła na łóżku i zmarszczyła czoło. Była już zupełnie przytomna. Emocje nieco opadły. Niezadane dotąd pytania pragnęły być wypowiedziane.

– Ja wiem, o co ci chodzi, Marto. – Ręka mężczyzny przeniosła się na jej policzek i dotykała go z niezwykłą czułością. – Musimy porozmawiać.

Obiecuję, że to zrobimy natychmiast po moim powrocie. Przyjadę do ciebie od razu z lotniska. Tymczasem błagam cię, żebyś nie odłączała mnie telefonicznie. Obiecujesz?

– Ja już nic nie wiem – zasepiła się Marta. – To wszystko takie nagłe i nieoczekiwane. Ja to muszę przemyśleć. Nie lubię działać pochopnie.

– Wierz mi, że ja też nie. Ale porozmawiać przecież musimy. Tylko przestań się w pojedynek zamartwiać. Nie jesteś już moją szefową i nie uprawiałaś seksu z podwładnym.

Marta zaczęła się śmiać, a potem on jeszcze raz pochylił się nad nią i powiedział:

– Kocham cię, Marto.

– Ja ciebie też. – Słowa te wyrwały się jej spontanicznie z gardła.

Po wyjściu Karola leżała jakiś czas w łóżku przytulona mocno do poduszki, na której pozostał wciąż jeszcze jego zapach. Marta jednak nie była w nastroju sentymentalnym. Była zakłopotana i wystraszona.

Przestraszyło ją tempo, jakiego nabrała historia z Mierzejewskim. To prawda, nie mogła już teraz zaprzeczyć, że ten dość niski, średnio przystojny i żonaty mężczyzna jej się podoba. Nie miała jednak najmniejszego pojęcia, że wystarczy jego jedno dotknięcie i pocałunek, aby jak niewolnica Isaura dała się ponieść do łóżka i wykorzystać. Może rzeczywiście Mierzejewski nie był zbyt dobry w akrobacji pionowej, ale w horyzontalnej... mmm, w horyzontalnej mógł zbierać najwyższe laury. A jego ręce! I ten dotyk. To dziwne, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak piękne ma dłonie.

A może, a może to tylko jej się tak wydawało? Przecież nie spała z nikim od

ośmiu lat. Jakąż miała więc skalę porównawczą? To nocne szaleństwo to zapewne wynik nagromadzonych w czasie abstynencji bezużytecznych hormonów albo jakiejś pączkującej menopauzy, zastanawiała się Marta.

Ktoś powiedział, że seks jest jak jazda na rowerze i się go nie zapomina. Pewnie jakiś doskonały rowerzysta. Marta pamiętała, że kiedy po wieloletniej przerwie kupiła sobie dwa kółka i wybrała się na przejażdżkę, o mało nie umarła z wysiłku, jakiego wymagało ujarzmienie roweru. A poza tym strach. Bała się, bo przecież ona mogła w kogoś wjechać, ktoś w nią, złamać sobie jakąś ważną kość. Bolały ją naciągnięte mięśnie, a pedał uderzył boleśnie w kostkę. Teraz też była dość obolała i zamroczone.

Pamiętała jednak, że następnym razem po powrocie z roweru poczuła ogromną przyjemność. Pewnie podobnie byłoby z seksem. Następnym razem nie będzie się już niczego obawiała, będzie bardziej rozluźniona, nie musząc się koncentrować na samej czynności i... Czy ona oszalała???

Marta w jednej sekundzie zerwała się z łóżka. Jakim następnym razem? Co jej się w głowie roi. Nie będzie żadnego następnego razu. Facet miał trójkę dzieci i tę Elę, żonę. Może nawet z nią nie sypia, bo w łóżku zachowywał się jak nienasycony wariat, ale... Boże, on powiedział, że ją kocha.

„Kocham cię, Marto. Kocham cię, Marto”. Słyszała cały czas te słowa, puszczając na siebie prysznic z zimną wodą. Lodowate kropelki atakowały jej wypieszczone i wycalowane ciało, brutalnie zmywając z niej ostatnie po nim wspomnienia. Dlaczego on jej to powiedział? To było nie fair. Nie miał prawa do takich słów. Marta była zła na siebie, że od razu nie zareagowała, kiedy tylko padły z jego ust. Powtórzyła je za nim jak taka zachwycona kretynka. Natychmiast powinna mu była powiedzieć, że nie będzie kolejnego spotkania, że to był poryw chwili, taki jednonocny wyskok, z którego nic się nie urodzi.

A propos rodzenia. Nie, to akurat jej nie zagrażało, ale pomyślała teraz, że to bardzo podejrzane, iż Karol przyszedł do niej z paczką prezerwatyw. Rzekomo prosto z lotniska. I najpierw zrobił te różne zakupy, kupił też sushi, a na dodatek dostał gratisowo kondomy? Akurat. On po prostu doskonale zdawał sobie sprawę, po co się do niej wybiera. A ponieważ okazało się, że pomiędzy jego podróżami służbowymi

jest zaledwie jednodniowa przerwa, to nie musiał nawet pojawiać się w domu ani z czegokolwiek tłumaczyć.

Kiedy o szóstej zadzwoniła komórka, Marta ubrana w szlafrok siedziała na sofie jak zombie. Po kilku sygnałach sięgnęła jednak po telefon i zobaczyła, że dzwoni siostra. Zawsze ze sobą rozmawiały tak wcześnie rano, kiedy Teresa była na dyżurze.

– Cześć, Teńka.

– Cześć, słonko. Nie spieszysz się do pracy?

Marta poczuła się nie w porządku, że do tej pory nie zawiadomiła siostry o ostatnich wydarzeniach

– Nie. Muszę ci o czymś powiedzieć. Sporo się pozmieniało... – próbowała nadać głosowi normalny, pogodny ton.

Rozmawiały przez kwadrans, a potem Marta na tyle wzięła się w garść, by zajrzeć do toreb przyniesionych przez Karola, stanowiących rzekomy zestaw ratunkowy. Mandarynki, jogurty naturalne, sok, pieczywo wieloziarniste, gorzka czekolada z orzechami. Wszystko, co lubiła, myślała ze wzruszeniem, chowając jedzenie do szafek i lodówki. Tak dużo o niej wiedział. Nawet to, że stanie się „łatwym numerkiem”. Powinna się zmartwić, ale nagle jej komórkom mózgowym przypomniał się moment, kiedy ją całował. Marta poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca i ponownego pożądania. Przytknęła policzek do chłodnej ścianki lodówki. Jeszcze pomarzy przez chwilkę, taką drobną chwilkę...

Teresa wyłączyła telefon i wstała z fotela w dyżurce na ginekologii. Po ciężkiej nocy rozmowa z młodszą siostrą zawsze jej pomagała. Zwłaszcza w ostatnich latach odkryły, ile mają sobie do powiedzenia i jak doskonale się uzupełniają. Wcześniej Marta miała bliższy kontakt z Marcinem, lecz działania Jolki skutecznie rozbiły ich tandem. Teresa nauczyła się bezbłędnie rozpoznawać nastroje i uczucia siostry, ale tego dnia była zupełnie zdezorientowana.

Marta straciła pracę, którą kochała, jednak mówiła o tym w taki sposób, jakby to się przydarzyło zupełnie innej osobie. Miała do tych wydarzeń spory dystans. To dziwne, myślała Teresa. Wprawdzie Marta nigdy nie była impulsywnym szaleńcem, lecz nałożenie maski spokoju wobec siostry również nie było zbyt normalne.

Zaproponowała jej przyjazd do domu, ale Marta wolała zostać w Warszawie. Może jednak kogoś miała? Nie, nawiązałyby do tego w rozmowie, wspomniałyby, że z kimś się spotyka. Chyba że... Chyba że on był żonaty!

Cóż za głupi pomysł, zezłościła się na siebie w myślach. Marta nigdy nie miałyby romansu z żonatym mężczyzną. To było wykluczone. Nie ona!

Zobaczywszy za szybą nadchodzącego kolegę, Teresa zdjęła szpitalny fartuch.

– I co słyhać? – spytało stukilowe chłopisko, wtaczając się do dyżurki.

– Dwa porody. Ale wszystko normalnie i nawet się wyspałam – odpowiedziała i włożyła płaszcz.

Nie spieszyła się, zawsze traktowała szpital jak swój drugi dom. Tu pracowała kiedyś jej matka oraz ojciec chrzestny.

– Ten twój już czeka na parkingu – powiedział ginekolog.

– Stefan? – Teresa niemal się zarumieniła.

– A jest jeszcze ktoś?

– No wiesz!

– Ile ty, kobieto, krwi napsujesz tym innym babom. One potem chcą, żeby ich stary też za nimi tak biegał i odbierał z dyżurów. Szczęściara.

– Lepiej późno niż wcale – odpowiedziała Teresa. Była to mądrość, w którą wierzyła całe życie. I która w jej wypadku doskonale się sprawdziła.

Nie zasnęła nawet na minutę. O godzinie dziewiątej, gdy dawniej piła w pracy już drugą kawę, Marta zdążyła wypucować dokładnie całą kuchnię, zrobić pranie i obejrzeć wiadomości, w których główną wiadomością dnia był premier szusujący na nartach w Zakopanem. Wreszcie skończyła porządki i usiadła w fotelu z książką opowiadającą o leczeniu kobiet histeryczek przez doktora Charcota w dziewiętnastowiecznym Wiedniu. Po przeczytaniu paru wstrząsających opisów nie mogła poczuć ulgi, że jest bezrobotną z dwudziestego pierwszego wieku. Tego rodzaju książki zawsze przynosiły jej ukojenie i pomoc w racjonalizowaniu życia. Tym razem jednak nie była to wystarczająco zajmująca lektura.

Nagle usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a. Od Karola. Corobisz? Ja się okropnie męczę. Umieram ze zmęczenia i z tęsknoty. Zaśmiała się, ale to wcale nie

było śmieszne. Powinna mu coś odpisać, ale co? Jakoś nie wypadało z nim zrywać za pomocą SMS-ów. Patrząc na komórkę, przypomniała sobie, że miała przepisać parę numerów ze swojego telefonu służbowego i zwrócić go jak najszybciej agencji. Karol musi poczekać na odpowiedź. W tej chwili powinna się zająć tą ostatnią sprawą.

Niecałą godzinę później udało jej się przejechać stolicę w dość błyskawicznym tempie, jak również, w sposób zupełnie cudowny, zaparkować przed samym agencyjnym budynkiem. Jadący za nią opel musiał się zadowolić miejscem po drugiej stronie ulicy, Marta ucieszyła się z udanego wyścigu. Dopiero po wyjściu z samochodu uzmysłowiła sobie piękno tego dnia. Na niebie żadnych chmur, wiosna pełną gębą, a słońce zaczęło tak przygrzewać, że ku swojemu zdumieniu zdecydowała, iż po oddaniu telefonu wybierze się na spacer. „Spacer” to była taka staromodna czynność, kojarząca jej się z niedzielnymi wyjściami do kościoła wraz z rodzeństwem i matką. W białych rajstopach, żeby było odświętnie, i czasem, horror prawdziwy, w granatowym marynarskim kołnierzu.

Zamykając polo, Marta spostrzegła wychodzącego z budynku Wróblewskiego. Przy samym wejściu zapalił papierosa, a ona zatrzymała się chwilę przy wozie, by odszedł, zanim ją zauważy. Niestety...

– Marta!

– O, Wojtek! Jaka niespodzianka – wydusiła niemal przez zęby. Nie była szczęśliwa, że będzie musiała z nim znowu rozmawiać.

– Do pracy? – Na twarzy Wróblewskiego odmalowało się lekkie zdumienie.

– Oddać sprzęt – odpowiedziała krótko i już go chciała wyminąć, ale on złapał ją za łokieć.

Marta nie cierpiała, jak ktoś dotykał jej bez ostrzeżenia, i niemal zamarła bez ruchu, doznając fizycznego obrzydzenia. Musiała mu rzucić bardzo wrogie spojrzenie, bo momentalnie ją puścił.

– Dobrze, że cię widzę. Chciałem nawet dziś znów do ciebie zadzwonić. Pójdziemy do baru?

Udała, że spogląda na zegarek.

– Przepraszam, ale nie zdążę na spotkanie. Umówiłam się. Innym razem, Wojtku,



dobrze? Za parę dni będę wolniejsza – mówiła, przyglądając się kierowcy opla, który rozmawiał z kimś przez komórkę.

– No myślałem, że będziesz chciała wiedzieć, kto tak cię pogrążył u Nagórskiego.

Natychmiast się zatrzymała.

–Kto?

Wróblewski uśmiechnął się triumfalnie.

– Twój pupilek. Od razu wyczułem, że to fałszywy drań.

– Słucham? O kogo ci chodzi? – spytała i poczuła, że jej serce zaczyna coraz szybciej łomotać.

– O Mierzejewskiego! A o kogo innego? Wyszło szydło z worka.

Facet dostał pracę w ministerstwie. W gabinecie samego Nagórskiego. Tak się ta szuja urządziła. Ciebie podkopał. Nie wiem, czy mnie też nie. Kręcił się przy wszystkich, taki gładziutki, poprawny. No to już wiadomo.

Człowiek

Nagórskiego na przeszpiegach. Marta? Coś się stało? Źle się czujesz?

Z emocji ledwie trzymała się na nogach. Ale musiała wiedzieć.

– Trochę mi się zakręciło w głowie. No wiesz, taka wiadomość!

– Nie tylko dla ciebie. Niektóre to nawet beczą po tym Mierzejewskim – oznajmił wiceprezes i mocno zaciągnął się marlboro.

– Przykro im, bo przecież był... taki miły – ledwie wyjąkała, a przed oczami pojawił jej się Karol delikatnie wodzący dłonią po jej twarzy, kiedy skończyli się kochać. Patrzył w jej oczy takim szczerym i ufnym spojrzeniem.

– Miły, niemiły. Zawrócił facet w głowie tej nowej od projektów i teraz po nim chlipie.

– Karol... Mierzejewski miał coś wspólnego z Projektową Alą?

Przecież on jest żonaty – to ostatnie dodała już niemal bezgłośnie.

Wróblewski rzucił jej tak ironiczne spojrzenie, że zamilkła.

– Tak czy siak, spotykali się przez parę miesięcy. Okazało się, że ona też nic nie wiedziała o jego przejściu do Nagórskiego. Mówię ci, co za historia. Sam szef jest tym

wszystkim wstrząśnięty.

– To dlaczego wysłał go do Andaluzji? – spytała Marta i gdy to pytanie padło z jej ust, wiedziała dobrze, że nie było ono właściwe, bo skąd ona miałaby wiedzieć o wyjeździe Mierzejewskiego.

Wróblewski spojrział na nią zdziwiony.

– On go nie wysłał do żadnej Andaluzji. To ja miałem tam jechać.

Mierzejewski pojechał tam ze swoim nowym szefem. Ministerstwo przejęło ten wyjazd – dodał ze złością i zgasił niedopałek obcasem.

Przez chwilę nie wiedziała, co ma robić, ale Wróblewski otworzył jej drzwi do budynku i wprowadził do środka. Szła za nim jak automat i na szczęście towarzyszył jej pod same drzwi działu administracyjnego.

– Masz już jakąś robotę na widoku? – spytał, opierając rękę na klamce.

– Jeszcze się nad tym nie zdążyłam zastanowić – odpowiedziała ze spuszczonej oczami. Nie chciała ich otwierać, żeby nie odczytał z nich wyrazu bólu i cierpienia.

– Jak coś złapiesz, to zobacz, czy nie mieliby czegoś dla mnie. Mam już tego szamba dosyć – powiedział Wróblewski i rzucił jej krótkie „trzymaj się” na pożegnanie.

Marta załatwiła sprawę telefonu w parę minut i po podpisaniu kilku ostatecznych protokołów wyszła na korytarz do wyjścia. Nie minął jeszcze szok wywołany rewelacjami Wróblewskiego, gdy przy windzie napatoczyła się na Projektową Alę. Drobną, szczupłą brunetką, która nie skończyła jeszcze trzydziestu lat. Jej zgrabne nogi wzbudzały podziw męskiej części agencji.

– Dzień dobry – powiedziała Marta, ale ta nie odpowiedziała na jej uprzejme powitanie, tylko weszła pośpiesznie do windy.

Dopiero gdy drzwi zaczęły się zamykać, kobieta odwróciła się i rzuciła Marcie spojrzenie tak pełne nienawiści, że odczuła je niemal jak fizyczną agresję. Nie padło ani jedno słowo, ale jad niemal unosił się w powietrzu.

Marta natychmiast odwróciła się na obcasie i ruszyła w stronę wyjścia.

Chciała jak najprędzej znaleźć się w zupełnie innym miejscu i złożyć do kupy rozsypujące się z minuty na minutę życie.

Po przejściu około stu metrów zatrzymał ją głos obcej, starszej kobiety:

– Czy źle się pani czuje? Może pomóc.

Dopiero wówczas Marta poczuła, że po policzkach spływają jej łzy.

– Dziękuję pani, już dobrze – odpowiedziała. Otarła twarz i poszła dalej. Ale wcale nie było dobrze. Słońce świeciło coraz mocniej, ale jej to nie przeszkadzało. Wszystkie zmysły dostały, solidnego kopniaka. Mimo nieszczęścia, które na nią spadło, tym razem była przede wszystkim wściekła na siebie. Jej cały misternie odbudowany świat ponownie runął, gdyż pozwoliła sobie na to. Ona przede wszystkim jest temu winna.

Zatrzymała się na chwilę, a potem szybkim krokiem ruszyła z powrotem do samochodu. Kątem oka dojrzała mężczyznę, którego widziała już wcześniej.

To był ten sam człowiek, któremu nie udało się zaparkować pod agencją.

Wyglądało na to, że za nią szedł. Czy ją śledził? – zadała sobie pytanie i natychmiast wpadła w panikę.

Marta przyspieszyła kroku, czym prędzej dopadła samochodu i z piskiem opon ruszyła spod agencji. O tym, że się nie pomyliła w sprawie tego mężczyzny, przekonała się, podjeżdżając pod swój dom. Biały opel już stał po przeciwnej stronie. Boże, znowu się zaczynało... Tym razem jednak wiedziała, że może sobie z tym poradzić. Wpadła do mieszkania, dygocząc jak galareta. Czuła, jak po plecach płynie strumyczek potu. Trzęsącymi się rękami przeszukiwała komodę ze starymi kalendarzami. Wreszcie znalazła to, czego szukała, i wyjęła telefon. Wykręciła numer kierunkowy do Gdańska i umówiła się na spotkanie z psychiatrą na następny dzień.

## ROZDZIAŁ 7

Marta wraz z matką i Piotrem siedziała w ich nowym mieszkaniu nad morzem. Oglądali telewizję. To znaczy z pewnością matka, która co jakiś czas z upodobaniem komentowała pokazywane wiadomości, natomiast zarówno jej córka, jak i syn zachowywali się biernie. Bardziej przyglądali się migoczącym przed nimi obrazkom, niż rejestrowali ich treść.

– Dlaczego nie zrobią z nimi porządku raz na zawsze? – spytała retorycznie starsza pani, kiedy popołudniowy program informacyjny dobiegł końca.

Marta spojrzała w popłochu na Piotra. Zupełnie nie wiedziała, o co może chodzić matce. Brat jednak spędzał z nią o wiele więcej czasu i mimo że była pewna, iż nie zapamiętał żadnej z pokazywanych wiadomości, miał w takich sytuacjach lepiej wyćwiczone repliki.

– Bo czerwoni się bronią. Pełno ich wszędzie. To tak od razu się nie da – powiedział, a po minie matki Marta zauważyła, że była to jak najbardziej właściwa odpowiedź.

– A jak ty myślisz, Marto? – Matka najwidoczniej domagała się domowej debaty.

Marta uśmiechnęła się rozbrajająco i użyła słów, o których wiedziała, że najbardziej potrafią rozżłościć.

– Sama nie wiem. Nie znam się na tym.

Emilia Wentowa rzuciła podejrzliwe spojrzenie w kierunku siedzącej w szlafroku córki i wyszła do kuchni zaparzyć herbatę. Za chwilę ich uszu doszła recytacja różańca z „Radia Maryja”.

– Mama jest w świetnej formie – odezwał się Piotr i spojrzał na Martę trochę bardziej skoncentrowanym wzrokiem niż zazwyczaj.

– Chyba podoba jej się to nowe mieszkanie. Znów jest aktywną gospodynią – odpowiedziała bardzo bierna ostatnio bezrobotna.

Piotr kiwnął potakująco głową. Sprawiał wrażenie automatu. Chociaż był starannie

ogolony i schludnie ubrany „pod krawat”, Marta podejrzewała, że jego leki są znacznie mocniejsze niż jej własne. Może powinna poradzić bratu, żeby je zmienił. Albo podać telefon własnego psychiatry. Byłaby to prawdziwie nowoczesna forma w kontaktach z bratem. Sama myśl o czymś takim rozbawiła Martę.

Owinęła się szczelniej szlafrokiem i podkulila nogi.

– Tak, mój dom w Stanach jest bardzo obszerny, a poza tym wszystko już w nim jest – przyznał Piotr. – A mamę bardzo cieszyło kupowanie mebli, wybieranie materiału na zasłony. Uporała się z tym błyskawicznie.

Nabrała ostatnio bardzo dużo energii.

Może to byłoby dobre rozwiązanie dla niej samej, zastanowiła się Marta. Skoro lekarz poradził jej, żeby tym razem trochę wyhamowała i zrobiła sobie dłuższy urlop, może też powinna się zająć czymś praktycznym.

W czerwcu kończył się wynajem jej gdańskiego mieszkania. Mogłaby je przemeblować.

– I odpoczynek, pani Marto, odpoczynek – mówiła lekarka, wypisując recepty z psychotropami. – Jestem pewna, że to tym razem nie jest nic poważnego. Krótkie załamanie. A po tygodniu musi pani bezwzględnie przejść na te słabsze leki. I terapia. Powinno pomóc, a jak nie, proszę do mnie dzwonić.

Pomogło. Pierwszy najbardziej bolesny tydzień Marta spędziła u Teresy, a potem przeniosła się do matki, ponieważ siostra wyjechała z mężem na święta wielkanocne do Belgii. Mieli się tam spotkać z dorosłym synem Stefana i jego rodziną. Marta nie chciała zostać z matką.

Półprzytomna wsiadała nawet do samochodu, aby wracać do swojego warszawskiego mieszkania, ale jej starsza, łagodna siostra tym razem okazała się twarda jak kamień.

– Nigdzie nie będziesz sama, rozumiesz? Nie pozwolę na to! – oświadczyła i zabrała jej z rąk kluczyki do polo.

– Tenia, czy ty nie pamiętasz, jaka ona była dla mnie osiem lat temu?

Już zapomniałaś? W życiu tam nie pójde.

– Ja cię zawiozę, więc nigdzie nie musisz chodzić – odpowiedziała zdecydowanie

Teresa. – Doskonale pamiętam, jaka ona była, dziesięć, dwadzieścia i niemal pięćdziesiąt lat temu. Powiem krótko, różna. I teraz też nie będzie taka sama. Od tego czasu przecież wiele się zmieniło. Ta historia z Piotrem... Przecież ona teraz najlepiej z nas wie, co należy robić.

Kiedy osiem lat wcześniej Marta została zmuszona do leczenia się u psychiatry, jej matka uznała to za osobisty afront. Tygodniami szukała przyczyny kondycji córki. Przeprowadziła wiele rozmów z krewnymi ojca, którzy mieli jej dopomóc w wytropieniu genetycznego „winowajcy” po stronie Wentów. Było to trudne, gdyż wszyscy tamtejsi członkowie rodziny byli zaskakująco zdrowi, stabilni umysłowo i nikt nie chorował na głowę.

Kiedy Marcie udało się dojść do zdrowia i z dużym sukcesem wrócić do życia zawodowego, matka uznała, że cała ta historia to jednorazowy wybryk i skutek załamania nerwowego związanego z sytuacją życiową.

Jednakże rok później zmarła na raka żona Piotra. Jej brat bardzo ciężko przeżył zarówno chorobę, jak i śmierć Michelle, a parę miesięcy później dostał ostrej depresji. Jego młodsza, wówczas dziewiętnastoletnia córka Mary zwróciła się o pomoc do rodziny. Płacząc przez telefon, oznajmiła im, że z ojcem jest bardzo źle. Nie był w stanie pracować i Mary obawiała się, że może sobie zrobić krzywdę.

W domu nie podjęto żadnej dyskusji na ten temat. Jednak sprawa o tyle się wyjaśniła, że tym razem nie można już było zwalić winy na geny Wentów. Piotr miał przecież innego ojca. Cała koncepcja seniorki rodu dotycząca „sprawstwa” rodzinnego szaleństwa runęła w gruzach. Nie wiadomo, czy matka nie poczuwała się do winy, gdyż już następnego dnia po dramatycznym telefonie od Mary poleciała do Kalifornii i wzięła sprawy w swoje ręce. Wkrótce okazało się, iż mimo skończonych siedemdziesięciu ośmiu lat poradziła sobie świetnie ze wszystkim. Poprowadziła dom Piotra, a on sam został wysłany do najlepszych lekarzy i terapeutów, którzy w ciągu roku na tyle poprawili jego kondycję psychiczną, że był w stanie normalnie funkcjonować i nawet pracować na uniwersytecie.

Musiło mu się jednak pogorszyć, zgadywała teraz Marta. Pewnie dlatego zdecydowali się przyjechać do Polski. Piotr podobno dostał znów roczny urlop z

uczelni, ale do końca nie wiadomo, jak tam było. Mogli się już go pozbyć na wcześniejszą emeryturę. Być może wspólne zamieszkiwanie z matką przez tak długi czas spowodowało nawrót choroby.

Wcale by się nie zdziwiła.

To było dziwne, ale widok cierpiącego brata oddziaływał na Martę leczniczo. Nie chciała upodabniać się do niego, zamieniać się w automat i patrzeć na świat szklanym, obojętnym spojrzeniem. Nie powiedziała przecież jeszcze ostatniego słowa. Stopniowo odkrywała sprawy, które ciągnęły ją do powrotu.

– Nie zadzwonisz do niego? – spytała Teresa, przejmując rolę terapeuty, do którego tym razem Marta nie chciała pójść. Wówczas wydawało jej się, że prostszym rozwiązaniem będzie rozmowa z kimś spoza rodziny. W pewien sposób postępowała również wbrew matce, która zawsze była zdania, że nie pierze się swoich brudów na zewnątrz.

Tym razem Marta opowiedziała o wszystkim Teresie już pierwszego dnia po przyjeździe. Na początku palił ją wstyd, ale stopniowo słowa wzbierały, wylewając się z jej gardła wzburzonym chaotycznym potokiem.

– Nie zadzwonisz do tego Karola? – powtórzyła siostra.

– Nie, nie zadzwonię. – Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy odłączyła telefon komórkowy. Pod domowym Teresy nie było szans, by ją znalazł.

– Ale czy nie chcesz zadzwonić?

– Miałabym chcieć?

Teresa skinęła potakująco głową.

– A ostatnie słowo? Przecież on nawet nie będzie wiedział, dlaczego tak zareagowałaś. I może ten Wróblewski wprowadził cię celowo w błąd.

– Myślałam o tym. Jest to możliwe, choć po co miałyby to robić? Ja już się dla niego nie liczyłam, bo wypadłam z łódki. A poza tym ta kobieta! – Marta przypomniała sobie scenę przy windzie. – Tenia, ty nawet nie masz pojęcia... Ona mnie wprost zabiła wzrokiem.

– No tak, ale skoro z nią zerwał... I może... – Teresa zawsze szukała dla wszystkich usprawiedliwień.

– Się jakoś wytłumaczy – skończyła za nią Marta. – Nie sędzę. Nie zapominaj przecież, że on jest jednak żonaty. Ja przecież i tak nie zamierzałam tego dalej ciągnąć. Mówiłam ci. Chwilowe szaleństwo.

– No tak. – Teresa westchnęła. – To mu to powiedz.

– Nie mogę. Nie jestem w stanie.

– To nic nie rób i nie myśl o tym – radziła spokojnie Teresa.

Trzeciego dnia pobytu u siostry Marta, przespawszy dwanaście godzin, postanowiła mimo wszystko zadzwonić. Załatwi tę ostatnią sprawę, a potem weźmie się solidnie za siebie. Jak będzie się trochę lepiej czuła, to wszystko dokładnie zaplanuje. Teraz nie musi się z niczym spieszyć. Jest w tej wyjątkowej sytuacji, że ma oszczędności, dzięki którym może się utrzymać jeszcze przez dłuższy czas. Z Mierzejewskim rozmówi się od razu, żeby później nie zawracać sobie nim głowy. Kiedy tylko Teresa i Stefan wyjechali do pracy, Marta sięgnęła po telefon.

– Dzień dobry. Mówi Marta Wenta.

– Marta. Nareszcie! Dzięki Bogu. – Głos Mierzejewskiego był szczerze uradowany. Nawet w stanie zaskoczenia cieszył się z jej telefonu.

- Myślałem już...

Nie chce nawet o tym słyszeć.

– Pewnie spodziewałeś się, że nie zadzwonię – przerwała mu obcesowo. – Całkiem słusznie, ale postanowiłam być z tobą szczerą. Nie powinno do niczego między nami dojść. To była pomyłka – mówiła na jednym wdechu, a ponieważ była bardzo zdenerwowana, w tej samej chwili zabrakło jej powietrza. I on to wykorzystał.

– Jaka pomyłka? Co ty mówisz? To była najwspanialsza chwila w moim życiu. Nie mów mi tylko, że dla ciebie był to koszmar.

– Nie będę już z tobą rozmawiać.

– Martuniu – usłyszała szept po drugiej stronie. – Gdzie jesteś?

Przyjadę do ciebie. Ja tu nie mogę o tym mówić.

– Jasne, z pewnością Nagórski by się zdziwił – rzuciła szyderczo.

– Więc wiesz, gdzie teraz pracuję – westchnął. – No tak, powinienem się domyślić, że się dowiesz. To był głupi błąd, że ci o tym nie powiedziałem, ale...



– Lepiej było milczeć i wskoczyć do mojego łóżka. Ja cię naprawdę nie chcę już nigdy widzieć.

– Poczekaj! Jestem pewien, że ten szubrawiec Wróblewski ci o mnie nagadał! Poczekaj, nie rozłączaj się!

Powinna zakończyć tę rozmowę natychmiast, ale była jak przyklejona do komórki i głos Karola ją zahipnotyzował. Jak zadurzona nastolatka, pomyślała o sobie z irytacją.

– Od Wróblewskiego dowiedziałam się tylko o twojej pracy. Za sprawą kogoś innego zrozumiałam coś znacznie gorszego.

– Przestań. Chyba wiesz, że cię kocham.

– Kochasz – zachnęła się. – A Alicję też kochasz?

Po drugiej stronie zapanowała pełna przerażenia cisza, a potem: – Martuniu, najdroższa, to nie ma nic wspólnego z nami. To było tylko raz.

Otóż to, pomyślała i wyłączyła komórkę.

Jak on ją delikatnie pocałował. Nie przypuszczała, że jesczekiedykolwiek czegoś podobnego w życiu doświadczy. Jego dłonie obejmowały jej twarz, jakby była naczyniem, z którego spragniony musiał się napić.

– Marto! Śpisz?

Usnęła przed telewizorem jak staruszka i mimo popołudniowej godziny ubrana tylko w koszulę nocną i szlafrok. Ale coś się przed chwilą stało, prawda? Marta rozejrzała się wokół, a jej pamięć pochwyciła resztki uciekającego snu i wydobyła z niego główny motyw.

Znów śnił jej się Karol. Odrzuciła go w świecie realnym, więc wracał, by ją dręczyć, kiedy tylko opadały jej powieki. Na próżno obiecywała, że poradzi sobie z nim. To było jakieś głębsze i mocno chemiczne. Przeżyła to już raz wcześniej i powinna wiedzieć, że taki rodzaj emocji jest trudny do zwalczania. Takie wspomnienia zostają na długie lata, nawet kiedy nie stawia im się ołtarzyków i nie rozdrapuje ran. To taka chroniczna choroba.

Marta przetarła ręką twarz i spojrzała prosto w twarz premiera, który właśnie urządzał konferencję prasową w plenerze. Odwróciła głowę od telewizora i zobaczyła

stojącą przed lustrem matkę. Była ubrana w jasny wiosenny płaszcz i przymierzała mały, zgrabny kapelusz.

– Zdrzemnęłam się na chwilę – wyszeptała Marta. – Coś się stało?

Idziesz gdzieś?

– Zapomniałaś? Wszyscy idziemy do Marcinów na urodziny Maciusia.

Skończył dziś pięć lat.

Jak to się stało, że jeszcze do niedawna pamiętała o wszystkim, a teraz bezustannie coś ją zaskakiwało.

– Zapomniałam. I nie mam żadnego prezentu – zaczęła panikować Marta. Uwielbiała przecież swego łobuzerskiego bratanka.

– Nie szkodzi. Już dwa dni temu kupiliśmy prezenty z Piotrem w Alfie – oznajmiła matka. – Lepiej się pospiesz. Ja posiedzę chwilę na ławce przed domem. Jest taka piękna pogoda. Piotr już tam siedzi.

Jej brat był już zupełnym emerytem, skoro trzeba go wyprowadzać na spacer i sadzać na ławce. Ona nie może dać się sprowadzić do tej roli.

Marta błyskawicznie zerwała się z kanapy i pobiegła do pokoju Piotra, który wspaniałomyślnie pozostawił go do dyspozycji siostry. Zaczęła wyciągać z torby wyjściowe ciuchy.

Miała niewielki wybór. Jeśli chciała dłużej pozostać w Gdańsku, powinna pojechać po więcej rzeczy.

Pospiesznie wciągnęła czarne dżinsy i włożyła jedwabną bluzkę w tym samym kolorze. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie matki, kiedy wyszła z pokoju, żeby natychmiast rzuciła się ponownie przeszukiwać torbę. Po chwili ukazała się znowu. I mimo iż czerwień innej bluzki Marty była tak porażająca jak sam Manifest lipcowy i pochód 1 Maja razem wzięte, matka tym razem się uśmiechnęła. Kiedy starsza pani wychodziła z domu, Marta szybkimi wprawnymi ruchami robiła sobie makijaż. I choć zupełnie nie miała na to ochoty, wiedziała, że ze względu na Maciusia musi się przecież postarać. Był jej chrześniakiem i doszczętnie podbił jej bezdzielne serce.

Może więc to serce przestanie się zajmować beznadziejnymi typami, a poświęci się wyłącznie miłości do pięciolatka.

– A zamknęłaś dobrze drzwi? – spytała matka córkę, kiedy ta pojawiła się pod domem – zupełnie jakby były to jeszcze czasy, gdy Marta biegła z kluczem na szyi.

– Piotrusiu, idziemy. – Matka dotknęła ręką ramienia syna, budząc go z jego wewnętrznego transu.

– Nie jedziemy taksówką? – zdziwiła się Marta.

Niestety, nie mogli jechać jej samochodem, gdyż chwilowo ani ona, ani brat nie byli zdolni do prowadzenia pojazdów mechanicznych.

Wprawdzie do Marcina dochodziło się spacerem w piętnaście minut, nie sądziła jednak, że matkę stać na taki wysiłek.

– Jest piękna pogoda. Przejdziemy się przez park, a potem Piastowską – zarządziła pani Wentowa. – Poza tym nie będziemy wydawać pieniędzy na głupstwa.

Mamusia i jej potomstwo na rodzinnym spacerku, pomyślała ironicznie Marta, kiedy przemierzali park na Zaspie. Matka, w młodości średniego wzrostu, choć nadal trzymała się prosto, idąc pomiędzy swymi wysokimi dziećmi, wyglądała jak podstarzałe dziecko. Marta miała ochotę ją przytulić, ale wiedziała, że jej rodzicielka zdziwiłaby się, gdyż podobnie jak ona sama nigdy nie przepadała za tego rodzaju bliskością.

Marta z pewnym niepokojem rozejrzała się dokoła. Nigdzie nie zauważyła jednak nic podejrzanego. Jej domniemani prześladowcy nie przemieścili się za nią do Gdańska. Zostali wyeliminowani przez leki. Nie było więc żadnych obserwujących ją mężczyzn z komórkami w dłoni, natomiast wszędzie wokół roiło się od spacerowiczów, którzy korzystając ze słonecznej pogody, wylegli na łono natury. Plac zabaw był pełen dzieci, które szalały na huśtawkach i wspinały się po specjalnych urządzeniach.

Wydawały radosne piski, które zainteresowały nawet nieprzytomnego Piotra. Przystanął obok płotu i wpatrywał się w jednego z ojców, który podrzucał do góry swojego synka.

– Ale zabawa – powiedział Piotr. – Wielka ekscytacja, a jednocześnie pewność, że ktoś, komu ufasz, złapie cię we właściwym momencie.

Marta nie odpowiedziała, tylko przewróciła oczami, uznając, że z głową Piotra jest

coraz gorzej.

– Pamiętam, jak tata tak mną rzucał do góry. – Piotr jednak zamierzał kontynuować ten wątek.

Matka zwolniła kroku.

– Niemożliwe, żebyś pamiętał. Byłeś za mały – sprostowała.

– Możliwe. Doskonale go sobie przypominam. Był wysoki i miał ciemne włosy. I miły głos.

Wentowa gwałtownie się zatrzymała i obróciła w stronę syna.

Odezwała się do niego ostrym tonem:

– Piotrze, to prawda, że zawsze byłeś bardzo zdolnym i byстрыm chłopcem, ale twój ojciec umarł, kiedy miałeś zaledwie parę miesięcy.

Przez twarz Piotra przebiegł grymas. Najwidoczniej sobie przypomniął i poczuł się niezręcznie, pomyślała Marta. Jak mógł zresztą zapomnieć tę istotną informację na temat śmierci swego bohaterskiego ojca prześladowanego przez urząd bezpieczeństwa za podziemną działalność w czasie wojny.

– Przepraszam, ja sobie pomyślałem... – Piotr dotknął oczu, jakby chciał zmazać z nich obraz, który na chwilę się w nich pojawił.

– Kochanie, to całkiem normalne – odparła matka i ujęła go pod ramię.

– To twoje marzenia. Tak bardzo pragnąłeś mieć ojca. Na szczęście spotkałam Janka i wszystko się dobrze ułożyło.

– Ja myślę! – zauważyła ironicznie Marta. – Inaczej bym się nie urodziła.

Wiele razy zastanawiała się nad tym, że narodziny jej i Marcina musiały być dla matki niezłym szokiem. Miała już wówczas czterdzieści dwa lata, a dwójka starszego rodzeństwa była całkiem odchowana. Piotr miał szesnaście lat, a Teresa poszła już do Pierwszej Komunii Świętej.

Pewnie gdyby matka nie była tak gorliwą katoliczką, los bliźniąt nie byłby taki oczywisty, szczególnie w latach, kiedy aborcje były na porządku dziennym. Marta powinna być więc wdzięczna, że w ogóle przyszła na świat, ale cały czas miała niejasne wrażenie, że to właśnie jej osoba była dla matki wysoce niepotrzebnym dodatkiem.

– Musimy koniecznie pojechać do Warszawy na grób twojego ojca – odezwała się Wentowa do Piotra. – Mogłabyś, Marto, nas zabrać samochodem i zanocowalibyśmy u ciebie. Z pewnością mogła jest bardzo zaniedbana.

– Nie jest – zaprotestowała Marta. – Chodzę tam co kwartał.

– No właśnie – fuknęła matka. – To zdecydowanie za rzadko.

Marta nadal gotowała się ze złości, kiedy doszli do domu Marcina.

Był on chyba najmniejszy na całej ulicy, ale znajdował się w spokojnej części dzielnicy i otaczał go niewielki ogródek. Wiele w nim nie urosło, gdyż nikt z domowników nie miał czasu na zabiegi pielęgnacyjne, jednak można było w nim posiedzieć i nawet poopalać się w ciepłe popołudnie.

Tego dnia przyjęcie urodzinowe wyprawiane było na otwartej na oścież werandzie, żeby dać dzieciom możliwość wyhasania się w ogródku. Już z daleka widać było wywieszane kolorowe baloniki.

Marcin był taki dumny ze swojego domu. Wprowadzili się do niego w 1989 roku z jednoroczną Asią. Marta pamiętała, że kosztował wówczas zawrotną kwotę trzydziestu tysięcy dolarów i był zupełnie poza zasięgiem finansowym młodego trzeciego oficera marynarki handlowej. I wtedy cała rodzina zrzuciła się na jego kupno. Oczywiście najwięcej pomógł im Piotr, który otrzymał wówczas sporą nagrodę za odkrycie naukowe, ale również Marta poświęciła oszczędności z pracy sezonowej w Norwegii i Szwecji.

Nikt wówczas nie przypuszczał, że będzie to aż tak dobra lokata kapitału.

Wkrótce ceny nieruchomości poszybowały w górę.

– Babcia! – dobiegł ze schodów radosny wrzask i już za chwilę Maciuś wpadł z impetem w ramiona babci, zupełnie ignorując fakt, że ona nie lubi się przytulać. Jednak matka wyglądała na zadowoloną z tego, że wzbudza aż tak duży entuzjazm wnuka.

– A mi nie dasz całusa? – dopytywała się Marta.

– Dam, nawet dwa! – obiecał Maciuś i wystawił w górę umorusaną czekoladą buzię. – Mam dużo gości, chodźcie szybko – pospieszał ich na schodach.

Po chwili zostali wyściskani przez całą rodzinę, również Teresę i Stefana, którzy

wrócili już z Belgii po przedłużonych wakacjach wielkanocnych.

– Lepiej? – spytała szeptem Teresa, obejmując mocno Martę.

– Chyba tak. Schodzę stopniowo z leków. Całą Wielkanoc przespałam.

Na szczęście zostawili mnie w spokoju – odpowiedziała, przyglądając się kątem oka, jak matka wręcza zabawki Maciusiowi, a słodczyce jego rodzeństwu.

– Masz już jakieś plany?

– Nie, żadnych. Wyzaczyłam sobie termin do połowy maja. Wtedy zacznę myśleć. Mam więc jeszcze tydzień.

– Niczego sobie nie wyznaczaj. W końcu rób to, na co masz ochotę – powiedziała Teresa.

To chyba nie było jednak możliwe na dłuższą metę. Musiała przecież z czegoś żyć. Oszczędności zawsze się prędko rozchodziły, a trzeba było utrzymać przynajmniej jedno mieszkanie. Drugie, na szczęście, mogła zawsze wynająć. Tylko które?

– Z tym mieszkaniem to się wstrzymaj – poradziła jej Teresa. –

Dzwoniła Marysia ze Stanów. Chciała z tobą rozmawiać właśnie w tej sprawie. Zadzwoń do ciebie po niedzieli, to się wszystkiego dowiesz.

Marta z Teresą przeszły w stronę werandy, gdzie ustawiono poczęstunek. Z ogrodu dochodziły głosy bawiących się dzieci, a po chwili Marta zauważyła wyłaniającą się zza krzaków sylwetkę.

– Dzień dobry, Marto. Miło cię znów zobaczyć – powiedział Eryk Borzewski i z uśmiechem na ustach wszedł na werandę.

Marta musiała przyznać, że był jeszcze przystojniejszy niż ostatnim razem. Twarz miał lekko opaloną, jak po nartach. Ubrany w jasne spodnie i koszulę z krótkim rękawem w kolorze bladego różu. Idealnie jak na kinderball.

Jego też zaprosili? Wprawdzie krewny, dziesiąta woda po kisielu, ale nie przypuszczałyby, że przyjmie zaproszenie na urodziny pięciolatka. Eryk przywitał się z matką i Piotrem, a potem podszedł do niej.

– Miałem nadzieję, że cię spotkam – powiedział, całując ją w policzek.

– Stale się dopytywał, kiedy przyjdiesz – rzuciła z przekąsem nadchodząca z

tortem Jola.

Marta kątem oka pochwyciła śledzące ich ukradkiem spojrzenia innych krewnych. Niezbyt jej się to podobało i pachniało zgoła złą złą.

– Tak, a dlaczego? – spytała nieco obcesowo.

Usiedli razem z innymi przy udekorowanym odświętnie stole, a Eryk, bez wahania, zajął miejsce przy niej.

– Mam do ciebie pewną sprawę.

– Do mnie? Może chcesz kupić moje gdańskie mieszkanie?

Eryk zaśmiał się, ukazując ładne zęby.

– Nie, ale jeśli będziesz chciała sprzedać, to mogę ci z pewnością pomóc. Nie, to jest taka prywatna sprawa – zniżył nieco głos, żeby nie dochodził do ciekawskich uszu Joli, która właśnie zajmowała się krojeniem tortu.

– Chciałbym, żebyś mi przetłumaczyła list na szwedzki.

– Ja mam przetłumaczyć?

– Przecież znasz szwedzki, prawda? Robiłaś doktorat w Uppsali.

Marcin mi o tym mówił.

– No pewnie, że znam, ale... przepraszam cię, Eryku, ale to takie dla mnie zaskoczenie. Od tak dawna się tym nie zajmowałam. Oczywiście, że ci go przetłumaczę.

– Nie fatygowałbym cię, ale... sama zobaczysz. To jest, jak wspomniałem, dość intymna sprawa – oświadczył tajemniczo Eryk i zanurzył widelczyk w truskawkowym torcie ze śmietaną.

## ROZDZIAŁ 8

Dwa dni później Eryk Borzewski pojawił się w gdańskim mieszkaniu Piotra. Ponieważ wcześniej podał dokładną godzinę swego przyjścia, Marta zdążyła się przygotować na jego wizytę, a nawet tego dnia dokładnie wypucować każdy kąt. Matka, nie zważając na protesty córki, upiekła na tę okoliczność szarlotkę. Kupne ciasto to nie to samo, oświadczyła stanowczo, nie dając się przekonać, że wyroby od Sowy są równie smaczne jak jej własne. Pół godziny przed przyjściem Eryka starsza pani poszeptła o czymś z Piotrem w przedpokoju, po czym oznajmiła Marcie, że mają z synem pilną sprawę do Marcina i wychodzą z domu.

– Dlaczego mi to robicie? – Najmłodsza Wentówna zezłościła się na tak grubą nicią szyte intrygi rodziny. – On przecież przychodzi tylko w sprawie tłumaczenia.

– I dlatego nie będziemy wam przeszkadzać. Marcin nas odwiedzie o siódmej, więc się pewnie jeszcze z nim spotkamy. Lepiej się już przebierz, bo Eryczek może cię zaskoczyć.

– Mamo, ja nie jestem panną na wydaniu.

– Wszyscy o tym wiemy, że niestety, nie jesteś panną – ucięła Wentowa.

Uff. Matka znowu jej dopiekła. Czy to się nigdy nie skończy? Czy ona nigdy nie będzie miała dla niej choć odrobiny zrozumienia? Dlaczego ma tyle tolerancji dla Piotra? Pozwala mu na wszystko. Na tępe gapienie się w telewizor, słuchanie na cały regulator muzyki organowej Bacha, co, na dłuższą metę, zapewne pogrąży go w jeszcze większej depresji.

– Do zobaczenia, Marto. Miłej rozmowy – usłyszała jeszcze na odchodnym.

Marta, zamiast nakładać na siebie bardziej odświętne szatki, postanowiła pozostać w swych sfatygowanych dzinsach. Ostatnich minut nie poświęciła też na krzątanie się po domu i ścieranie niewidocznego kurzu z mebli, tylko położyła się na kanapie i włączyła iPoda z rapem, który nagrał jej Bartek. Zaczęła cierpieć już w pierwszych sekundach, ale skoro obiecała bratankowi, że wysłucha do końca, postanowiła się nie poddawać.



Dzwonek do drzwi z trudnością przebił się przez głośne „yeah meny” rapu. Przyszedł Eryk. W jasnych spodniach i jasnoniebieskiej letniej kurtce, ale bez kwiatków czy też czekoladek w rękach. Tylko z teczką od laptopa.

Matka zapewne by się zgorszyła takim savoir-vivre’owym niedociągnięciem, ale Marta uśmiechnęła się na powitanie.

– Cześć!

Okazało się jednak, że Eryk jest świadom swoich salonowych braków.

Przyszło mu jechać prosto z budowy, na której w ostatniej chwili wynikło coś nagłego, co wymagało jego osobistej interwencji. Po drodze nie było żadnej kwiaciarni i zamiast zbaczać, wołał jednak przyjechać do Wentów punktualnie.

– Czy mi wybaczycie?

– Nie wiem, czy Piotr wybaczy ci brak kwiatków. Dla niego to niesłuchanie ważny gest – odpowiedziała Marta z udaniem ponurą miną.

Eryk pokręcił głową i się roześmiał.

– Jesteś taka sama jak kiedyś.

Hm, śmiem wątpić, pomyślała Marta. Szalona, łażąca po drzewach, robiąca stale psikusy piętnastolatka była jednak postacią historyczną. W niczym jej nie przypominała doświadczona przez życie, solidna i nieco nudna bezrobotna urzędniczka państwowa, na którą wyrosła.

Nagle Marta dojrzała, że prawy policzek Eryka jest powalany sadzą.

– Poczekaj. Ubrudziłeś się.

Sięgnęła po chusteczkę higieniczną i delikatnie starła brud.

– Taka sama – powtórzył Eryk, z przyjemnością poddając twarz jej zabiegom. – Pamiętam, jak mnie goniłaś do mycia, kiedy wracałem z podwórka.

– Oj, nie lubiłeś się myć, to prawda. Z tobą to było prawdziwe utrapienie. Już nie wspomnę o wysadzaniu na nocnik.

– O tym nie musisz pamiętać – powiedział stanowczym tonem, a Marta z rozczuleniem zauważyła, że się zarumienił. Śmieszny facet. Zawsze taki poważny.

Wprowadziła go do pokoju i usadziła na kanapie przy stoliku z szarlotką. Sama poszła do kuchni nastawić wodę na kawę. Może jednak popełniła błąd, że nie

przebrała się ani też nie umalowała, pomyślała, łapiąc swe odbicie w przedpokojowym lustrze. Okazało się jednak, że postąpiła właściwie.

Kiedy wróciła do pokoju z filizankami, Eryk rozglądał się ciekawie dokoła, zapewne tak jak wszyscy zdziwiony, że mieszkanie zostało tak szybko w pełni urządzone. Nie brakowało nawet ozdób i porostawianych w ramach zdjęć, a nawet obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej na ścianie. Z tymi drobiazgami to akurat był najmniejszy problem. Wszystkie były starannie popakowane i czekały na powrót matki bądź w domu rodzinnym, bądź też u Marcina, u którego mieszkała przed wyjazdem do Stanów.

Opiekowała się tam Asią i Bartkiem, który się właśnie urodził. Potem przyszła kolej na dorosłego Piotra. Przez całe swoje życie matka zawsze się kimś dodatkowo zajmowała. Nawet Teresą, która wylewała przed nią łzy po kolejnych miłosnych zawodach. Jednakże nigdy Martą. Aż do tej chwili.

– Jak ci się tu mieszka? – spytał Eryk, podziwiając miśnieński wzór na rodowej porcelanie.

– Jeśli pomieszka tu jeszcze miesiąc dłużej, to dzięki zabiegom matki zapewne doszczętnie zdziecinnieję – odparła Marta i nałożyła na talerzyki szarlotki. – Za dwa tygodnie wyprowadzają się moi lokatorzy z mieszkania na Batorego. Muszę się zastanowić, gdzie mam teraz osiąść na stałe.

– Proszę cię, wybierz Gdańsk. Słyszałem, że rzuciłaś pracę. To się doskonale składa. Mogłabyś przejść do mojej firmy. Zapłacę, ile będziesz chciała. Potrzeba mi specjalistów od zarządzania przedsiębiorstwem – powiedział Eryk, wzięwszy od niej talerzyk.

– Oj, to bardzo szlachetnie z twojej strony, mój drogi – roześmiała się Marta. – Ale nawet nie wiesz, do czego się nadaję. Chwilowo do niewielu spraw.

Marta zrozumiała, że Eryk zapewne nic nie wie o jej problemach, gdyż nikt z rodziny mu o nich nie powiedział. Co jak co, ale lojalność rodzinną mieli oni opanowaną do perfekcji. Lecz tym razem trochę przesadzili z tym rzuceniem przez nią pracy. Mogłaby przysiąc, że wie, kto to wymyślił. Tego typu kamuflaże nie służyły jednak niczemu dobremu i wcześniej czy później prawda zawsze wychodziła na jaw.

Marta usiadła naprzeciwko swojego gościa w fotelu.

– I wiesz, z tą pracą to było zupełnie odwrotnie. Pozbyli się mnie z dnia na dzień bez żadnego słowa uzasadnienia. Po prostu przestałam im odpowiadać. I zupełnie nie jest ważne, że tyle osiągnęłam. Nigdy nie myślałam, że jestem nie do zastąpienia, ale nie sądziłam, że będzie to takie łatwe. Trochę mnie to podłamało. – Epizod z Karolem Mierzejewskim z oczywistych względów Marta postanowiła pominąć w relacji. – Dzięki więc za propozycję, ale muszę jeszcze odpocząć, zebrać trochę sił, pojechać w końcu do Australii, o czym marzyłam od dziecka. Trochę pożyć.

– Myślę, że z pewnością ci się to uda. Może chciałabyś towarzysza do podróży? – Eryk spojrzał jej prosto w oczy i uśmiechnął się.

Nie powiedział nic, ale wytrzymał jej spojrzenie. Marta, czując gorąco na policzkach, pierwsza opuściła głowę.

– No tak – chrząknął. – W sprawie tego tłumaczenia...

– Właśnie – odparła Marta, czując się trochę nieswojo. Chcąc to ukryć, wstała z fotela i włączyła CD z symfonią Mahlera. Z pewnością Eryk nie przepadał za rapem.

– Tak jak ci wspominałem, jest to dość prywatna sprawa.

– Oj, Eryk, Eryk. Powinieneś mnie dobrze znać. Potrafię zachować dyskrecję.

– Wiem, ale mimo wszystko... Widzisz, spotkałem ją jakiś czas temu...

– zaczął snuć swą nieco chaotyczną relację. – Ona jest rozwiedziona, tak jak ja. I... zna angielski, ale... jest Szwedką. Mieszka... też w Szwecji. I pomyślałem, że jeśli napiszę do niej w jej własnym języku, to poczuje, że... mi na niej zależy... Bardzo zależy. Nawet nie myślałem, że coś tak nagłego może mnie jeszcze spotkać.

Marta przez chwilę była zdezorientowana. Ale w końcu złapała właściwy wątek.

– Chcesz napisać do niej list miłosny, tak?

Eryk kiwnął potakująco głową. Widać było, że mówienie o tej kobiecie sprawiało mu dużą trudność.

– Może nie od razu miłosny, ale taki, sama rozumiesz, żeby wiedziała... o co chodzi.

– liryku, mój drogi, ty się zakochałeś.

Jej rozmówca był zaczerwieniony na twarzy i milczał.

– Przepraszam. – Marta się opanowała. To przecież nie było w jej stylu. Tylko Teresa miała prawo do takich wypowiedzi. – To naprawdę nie moja sprawa, ale bardzo chętnie ci pomogę. Masz ten list? – Miała nadzieję, że nie ona będzie go pisać.

– Tak, oczywiście. Wydrukowałem go. – Podał Marcie kopertę. – Ale proszę cię, przeczytaj go później, dobrze?

– Nie ma sprawy. Wyślę ci jutro tłumaczenie e–mailem. Mam ze sobą mojego laptopa.

Do którego nie zaglądała od przyjazdu, żeby się nie dać złapać w pułapkę sprawdzania swojej poczty elektronicznej. Może poprosi Teresę, żeby do niej zajrzała i na wszelki wypadek skasowała wszelkie wiadomości z adresów k.mierzejewski.

– Nie, nie musisz. Ja po niego przyjadę. Za dwa dni. Wziąłbym ten list ze sobą do Szwecji. Będę tam służbowo cały przyszły tydzień. Przyjadę w sobotę. Pasuje ci?

Nie miała żadnych innych planów. Wprawdzie zapraszała ją do siebie Teresa, ale sama myśl o kolejnej przeprowadzce była odstręczająca.

Wszelkich zmian miała po dziurki w nosie, a z mieszkania matki i Piotra było przynajmniej blisko do morza. Jego widok zawsze działał na nią kojąco.

– Może być. Zapiszę tylko numer twojej komórki.

Poszła do pokoju po telefon i włączyła go. Zakomunikował jej, że sekretarka z wiadomościami jest przepełniona. Z pewnością były to oferty pracy, pomyślała z ironią Marta i wróciła do swojego gościa.

– A jak ona ma na imię? – spytała Eryka, który ze zdumieniem w oczach przeglądał czytany przez matkę „Nasz Dziennik”.

– Ona?

– No, ona. Twoja wybrana.

– Ma na imię Maria – odpowiedział ze spuszczoneym wzrokiem. –

Twoje? – zmienił szybko temat, wskazując na leżącą obok gazetę.

– Nie, mojej matki nacjonalistki. – Rozłożyła ręce. – Cóż począć?

Powinniśmy się cieszyć, że pozwoliła Piotrowi na kupno tego mieszkania, zamiast zmusić go do przelania pieniędzy na różne kościelne fundacje.

– Dla mnie twoja mama to prawdziwa patriotka. – W jego głosie dosłyszała cień

wyrzutu.

Marta przypomniała sobie, że Eryk stracił matkę w młodym wieku.

Ciocia Emilia była zapewne dla niego niedościgłym ideałem kobiecości.

– To prawda. My wszyscy próbujemy przez całe życie jej dorównać.

Bezskutecznie jednak. – Westchnęła, uznając swoją przegraną.

Po chwili Eryk przeprosił, że wpadł tylko na chwilę, i opuścił mieszkanie. W jego zachowaniu było coś zdecydowanie dziwnego, stwierdziła Marta, zanosząc do zlewu brudne filiżanki. Z nią samą również było coś nie w porządku. Przez osiem lat nie interesowała się żadnymi mężczyznami. W ostatnich miesiącach zwróciła uwagę aż na dwóch. I za każdym razem poniosła porażkę. Chyba nie powinnam jeszcze rezygnować z moich leków, pomyślała.

Marta nie zdążyła jeszcze niczego połknąć, gdy po wyjściu Eryka zadzwonił jej – włączony już – telefon komórkowy. Wymęczona kontaktami międzyludzkimi przez ostatnią godzinę nie miała ochoty na jakiegokolwiek rozmowy, ale gdy zobaczyła, kto dzwoni, natychmiast odebrała.

– Marta! Ja cię chyba zabiję. Wiesz, ile razy do ciebie dzwoniłam? Nie wiedziałam, że jesteś taka ekstrawagancka i zerwałaś swoją telefoniczną smycz. Szczęściara!

Ludka jak zwykle mówiła bardzo szybko. Przerwanie jej i „wbicie” się w rozmowę przypominało ekwilibrystykę.

Ludka była najbliższą koleżanką Marty jeszcze z czasów licealnych.

Mieszkały razem na stacji przez dwa lata i nawet po latach zdołały utrzymać ze sobą kontakt. Czasem nie odzywały się do siebie przez parę miesięcy, ale żadna nie robiła z tego powodu tej drugiej wyrzutów.

Wiedziały doskonale, że są po uszy pogrążone w pracy. Ludka poza tym samotnie wychowywała dwunastoletnią córkę i na ogół była jeszcze bardziej wyczerpana fizycznie niż jej przyjaciółka.

– Przepraszam cię, kochana. Ale miałam przesilenie – udało się wtrącić Marcie.

– Przesilenie? – W słuchawce zapadła cisza. A potem: –W czymś ci pomóc?

Ludka była naprawdę życzliwą i dobrą osobą, to tylko Marta miała „coś nie po kolei”, że nie potrafiła korzystać z podobnych propozycji pomocy. Zosia samosia da sobie przecież radę sama.

– Dzięki, ale wszystko jest już pod kontrolą. – Leków! –dopowiedziała w myśli. – Czuję się już dobrze i wypoczywam.

– Jesteś w Gdańsku? – w głosie Ludki pojawił się entuzjastyczny ton.

– Tak. Przyjechali mama i Piotr. On kupił nowe mieszkanie.

– Świetnie. Wobec tego może ty mi w czymś pomożesz? Nie możesz odmówić!

I tak Marta kolejny raz w ciągu tych paru dni wysłuchiwała kolejnej propozycji związanej z tłumaczeniem. Ludka była prokuratorem i w ramach wystąpienia do szwedzkich organów o pomoc prawną dostała z prokuratury pewne dokumenty. Teraz chciała, aby Marta zerknęła na nie, zanim ona zleci przełożenie tych papierów tłumaczowi przysięgłemu. Chociaż...

– Ty masz dalej swoją pieczęć?

– Dzięki tobie mam – odpowiedziała Marta. – Ale nawet nie myśl...

– Dobrze, nie myślę, żebyś to miała robić. Znajdę kogoś innego.

Oczywiście, jeśli ty mi powiesz, czy jest to coś warte.

– A skąd ja będę wiedziała?

– Usiądziemy razem i przejrzymy to, co? Proszę cię, Martuniu, bo mnie szef obedrze ze skóry. Jestem bardzo opóźniona z tą sprawą i robi się gorąco. No i będziemy miały okazję się spotkać. Niestety, w moim miejscu pracy.

Ludka jeszcze parę minut trajkotała w słuchawkę. W tym czasie oszołomiona Marta straciła całą asertywność i zgodziła się na spotkanie.

Widocznie tak miało być, westchnęła do siebie po zakończonej rozmowie.

Zerknęła na zegarek. Było już pół do ósmej, a matka z Piotrem nie wrócili jeszcze do domu. Z pewnością uznali, że należy dać jej i Erykowi więcej czasu. Jacy to ludzie są naiwni, pomyślała i sięgnęła po kopertę pozostawioną przez Borzewskiego. Ciekawe, jakiego rodzaju naiwność znajdzie w tym liście? Usiadła w fotelu i zaczęła czytać.

Dlaczego nie potrafię pisać? Dlaczego wyrażenie myśli na papierze jest aż tak dużym wysiłkiem i ginie w próbie zachowania gramatycznej poprawności? Jednocześnie wiem, że zupełnie nie dałbym rady wypowiedzieć tych wszystkich słów podczas naszego najbliższego spotkania.

Myślę, że jeśli przeczytasz ten list w Twoim własnym języku, zrozumiesz mnie może trochę lepiej. Przeczytasz go i nie będziesz musiała nic mówić.

Wyczytam wszystko w Twych oczach.

Kiedy wyjechałaś, nie mogłem przestać o Tobie myśleć. Cała moja dotychczasowa rzeczywistość stała się tak mało interesująca i atrakcyjna.

Jak mogłem do tej pory żyć w takiej pustce? Wystarczyło kilka słów, spojrzenie i już nic nie było takie samo.

Z pewnością zdziwisz się mocno, kiedy Ci powiem, że ta burza emocjonalna pojawiła się w moim życiu po raz pierwszy. Wiem, co powiesz: trzydziestośmioletni mężczyzna „po przejściach” nie może być zakochany po raz pierwszy w swoim życiu. Ale tak właśnie jest. I być może ze względu na mój wiek zupełnie nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Mam nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi. Chyba zawsze nimi byliśmy, prawda? Ale to już mi nie wystarcza. Jestem wprost bezczelny w moich pragnieniach w stosunku do Ciebie. Pragnę Twoich snów, marzeń, fascynacji, poznania wszystkiego tego, co Cię interesuje i złości. Nie wiem, czy masz ochotę zdradzić z tego choć odrobinę. Nie jesteś zbyt wylewną osobą– Ale wiara w to, co może między nami być, napędza moje obecne życie nieprawdopodobną energią. Jestem w stanie przenosić góry i robić najbardziej bajeczne interesy. Wiem, ryzykuję, ale wszystko dla Ciebie! W nocy jednak pojawiają się obawy. To niemożliwe, żeby ta niewiarygodna kobieta mogła zwrócić uwagę na takiego „nudziarza”, jak nazywała mnie moja była żona. Spekulant giełdowy był dla niej atrakcyjniejszym wyborem.

A Ja posadziłem wiosenne kwiaty na balkonie mojego nowego mieszkania z nadzieją, że wkrótce je zobaczysz. Nagrywam płytę z utworami, które chciałbym Ci dać do posłuchania.

Wieczorami wchodzę do Internetu i oglądam... Ciebie i zdjęcia z konferencji, na

której się kiedyś spotkaliśmy. Google potrafi nawet pokazać mi Twój dom. Niestety, nie mogę podejrzeć Ciebie. Nie mogę poznać Twoich myśli.

Wiem jednak, że jesteś przemęczona i smutna. Jak mógłbym temu zaradzić? Czy mogę wyczarować Ci długi wspólny urlop? Widzę, że się uśmiechasz. Już jest lepiej, prawda?

Nie mogę się już doczekać naszego spotkania. Opowiem Ci wtedy o Tobie...

Marta przestała czytać i starannie włożyła list do koperty. Czuła na policzkach gorąco. Była pod silnym wrażeniem. Miała ochotę biec za Erykiem i powiedzieć mu, że ona nie może przetłumaczyć tej korespondencji. Jest zbyt prywatna, zbyt emocjonalna. Nic dziwnego, że

Eryk był taki nieswój podczas popołudniowej wizyty. Ale dlaczego, na miłość boską, przywłókł ten list do niej? Przecież ona mogła już teraz stwierdzić, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Eryk za bardzo odkrył się przed tą kobietą. Z pewnością tamta nie doceni jego szczerości i skrzywdzi go. Tak się zawsze dzieje, kiedy ludzie mówią wprost o swoich uczuciach.

Natychmiast stają się ofiarami tej drugiej osoby, która pragnie nimi zawładnąć. Szkoda tego Eryka dla takiej niewdzięcznej baby. Nawet nie przypuszczał, w co się ładował. I to jej własny „wychowanek”! Ale jaki on wychowanek? Czysta kpina. Nic dziwnego, że nie chciał, aby wspominała tamte czasy. Przecież to dorosły mężczyzna. Wrażliwy. I w dodatku... w dodatku przystojny.

Z pełną premedytacją Marta dokonała estetycznej analizy Karola Mierzejewskiego i Eryka na korzyść tego drugiego. Patrząc zaś na charakter, akcje Borzewskiego stały nawet jeszcze wyżej w porównaniu z tym kłamliwym, oszukańczym typem, któremu dała się, jak ostatnia idiotka, zauroczyć.

Wnioski nasuwały się same. Mimo ukończonych dwóch fakultetów, stopnia doktora, biegłej znajomości pięciu języków obcych Marta zupełnie nie znała się na ludziach. Nic dziwnego, że straciła pracę. Bo w jaki sposób z takim psychologicznym deficytem mogła zarządzać jakimkolwiek przedsiębiorstwem?!

– I jak było? – spytała matka po powrocie.

– W porządku. Załatwiliśmy sprawę – odpowiedziała Marta, znów okupując



kanapę przed telewizorem.

Na ekranie po sejmowych korytarzach w asyście chmary dziennikarzy przemycił premier.

– Bardzo sympatyczny chłopak z tego Eryka, prawda? – próbowała konwersować niezrażona apatycznym zachowaniem córki pani Wentowa.

– Aha, bardzo. – Marta zgodziła się z nią bez problemu, nawet z tym, że niemal czterdziestoletniego mężczyznę określa mianem „chłopaka”, po czym podniosła się i przeniosła do swojego pokoju.

Na stoliku leżała koperta z listem miłosnym napisanym przez Eryka.

Marta delikatnie pogładziła ją ręką. Miłość! Większości ludzi przynosi ona radość i szczęście. Pewnie tak będzie z Erykiem. Z nietypowym dla niej roztkliwianiem się nad samą sobą Marta pomyślała, że w jej wypadku nigdy tak jednak nie było.

## ROZDZIAŁ 9

– Mamo, czy mogę zaprosić do nas kolegę na niedzielny obiad? – spytał któregoś wiosennego dnia dwudziestoletni Marcin.

– Kolegę? – upewniła się matka. Od pewnego czasu przygotowana już była na najgorsze.

Wysoki i jasnowłosy syn niejednej już wpadł w oko. O ile była w stanie kontrolować sytuację na miejscu, to jednak z powodu jego studiowania w Trójmieście była zupełnie bez szans. Stale obawiała się, że złapie go na dziecko jakaś potworna kobieta i jej wychuchany najmłodszy syn zostanie przez nią zmuszony do małżeństwa.

– Kolegę. Jesteśmy na jednym roku.

– A on się jakoś nazywa? – spytała matka, patrząc przenikliwie na syna.

Marta oderwała wzrok od książki i z zainteresowaniem zaczęła się przysłuchiwać rozmowie. Przyjaciela Marcina, Jurka, zwanego przez przyjaciół „Jiżim”, poznała na którejś ze wspólnych imprez i musiała przyznać, że był on najbardziej interesujący ze wszystkich kumpli jej brata.

Potrafił opowiadać ciekawe historie, choć jak podejrzewała zupełnie zmyślane, i nie koncentrował się wyłącznie na długich narracjach na temat ilości wypitego piwa i wódki oraz proporcjonalnie wielkim katzenjammerze.

– Jiżi, to znaczy Jurek Więcek – odpowiedział Marcin, który był grzecznym synkiem swojej mamusi, i nalał sobie do kubka herbaty.

– A skąd on jest? – padło kolejne pytanie z serii inkwizycyjnych.

– A gdzieś ze wsi spod Koszalina.

– Hm. Pewnie tereny pegeerowskie – stwierdziła matka.

– Tak jak nasza okolica – zauważyła refleksyjnie Marta.

– Nie żartuj. Mieszkaż przecież w mieście – oburzyła się Teresa, która właśnie wróciła z nocnego dyżuru ze Szpitala Miejskiego i natychmiast włączyła się w rodzinną dyskusję.

– Nie mam zielonego pojęcia, skąd właściwie on jest –oświadczył zdecydowanie Marcin. – Ale to dobry kumpel.

Niczego sobie, uznała Marta, przypatrując się Jurkowi następnej niedzieli, kiedy wszyscy siedzieli przy rodzinnym obiedzie. Chłopak najwidoczniej przygotował się do tego spotkania. Był wysoki, starannie wygolony, z podciętymi po niedawnej wizycie u fryzjera włosami, a na sobie, zamiast dotychczasowych znoszonych ubrań, miał odświętny szetland. Do tej pory Jurek wydawał jej się pewny siebie, jednak w tej chwili wyglądał na wyraźnie zakłopotanego. Zauważyła, że szczególnie spłoszyły go srebrne sztucce do ryb. W pewnym momencie Marcie udało się pochwycić jego wzrok i uśmiechnęła się do niego. W odpowiedzi uzyskała pełne ciepła spojrzenie. Tak, niewątpliwie jest bardzo przystojny, stwierdziła po raz kolejny, trochę rozzalona, że ona nie interesuje go do tego stopnia, by próbował ją podrywać.

Jurek pojawił się na rodzinnym obiedzie u Wentów w tym okresie życia Marty, kiedy zaczęła się już usatkwować, mówiąc językiem jej rodzicielki. Wcześniejsze cztery lata minęły pod znakiem rebelii dziewczyny zapoczątkowanej śmiercią ojca. Do tego doszedł wkrótce potem tragiczny wypadek, w którym zginął narzeczony Teresy. Był nim syn lekarza, którego obie doskonale znały od dzieciństwa. Marta na ich pogrzebach nie uroniła ani jednej łzy, ale potem zachowywała się, „jakby ją diabeł opętał”, jak mówiła babcia Wentowa. Było niegrzeczne zachowanie, pyskowanie do starszych, obniżone oceny ze sprawowania, picie alkoholu w parku, palenie papierosów i przespanie się z dwoma czy też trzema, dokładnie nie pamiętała, rówieśnikami. Była też ledwie zdana matura, a potem, ku zdumieniu wszystkich, dostanie się bez problemów na studia. Ale studia również nie uleczyły zranionej duszy Marty i po ich podjęciu szalała dalej w Gdańsku, aż stopniowo uszły z niej wściekłość i żal, a dziewczyna zamiast biegać po studenckich klubach, sięgnęła po Kierkegarda i pogrążyła się w nauce.

Teraz z pewnym rozbawieniem obserwowała swojego brata, który bardzo ostrożnie zaczynał korzystać z rozrywek życia studenckiego. Marta starała się nim opiekować, wiedząc, że jest od niej mniej dojrzały i doświadczony. Kiedy Marcin zaczął opowiadać jej o Jurku rozkochującym w sobie wszystkie napotkane dziewczyny, w Marcie wzbudziły się podejrzenia, że chłopak podobnie jak ona musi

coś odreagowywać, i zainteresowała się nim.

Nie miała jednak okazji pogłębiać znajomości, gdyż wkrótce po obiedzie Marcin wyciągnął przyjaciela na przechadzkę po mieście. Marta została sama z matką, bo Teresa, korzystając z okazji, złapała książkę i zaszyła się z nią u siebie na pięterku.

– I co sądzisz o tym nowym koledze Marcina? – spytała matka.

– Może być – odpowiedziała Marta.

– Nie ma ojca. Pewnie panięskie dziecko.

Kiedy ona zdążyła się tego wszystkiego dowiedzieć? Marta ze zdumienia zrobiła wielkie oczy.

Matka z prawdziwym uwielbieniem zbierała różne fakty o ludziach, wierząc w to, że mają one wpływ na ich charakter. Tylko że interpretowała je we właściwy sobie sposób. Teraz sugerowała, że Jurek nie jest z „dobrego domu”. I cóż z tego?

I tak z niecierpliwością czekała na powrót chłopaków, licząc, że być może uda jej się zamienić z kolegą brata choć parę słów na osobności.

Nie było to jednak możliwe. Chłopcy pojawili się dopiero pół godziny przed wyjazdem autobusu do Gdańska i pobiegli na górę, by zabrać swoje plecaki. Marta stała w kuchni, przygotowując dla nich kanapki, gdy nagle zza pleców usłyszała głos Jurka.

– A ty z nami nie jedziesz? – spytał i było to pierwsze bezpośrednio do niej skierowane pytanie.

– Nie. – Nie przerwała swojej czynności i nawet się nie odwróciła.

Wolno smarowała kanapki masłem i nakładała żółty ser i mielonkę. – Zaczynam zajęcia w poniedziałek dopiero przed dziesiątą. Dojadę z samego rana.

– Szczęściara. Humanisci to mają jednak wygodne życie. A zwłaszcza poliglotki!

– Oczywiście. Ale za to my ślęczymy po nocach i czytamy uczone dzieła – odparła z przekąsem Marta.

– Oj, chyba nie tak bardzo – odciął się Jurek – dwa razy widziałem cię w „Łajbie”.

– Tak? – To czemu do niej nie podszedł, kiedy znudzona snuła się po studenckim klubie i wypatrywała zdobyczy. – Chodzisz tam często?

– O, tak. Ja tam pracuję w soboty. – Widząc jej zdumioną minę, dodał: – Myję

kufle po piwie.

Marta ugryzła się w język. Dlaczego Marcin nic jej o tym nie powiedział? Ale niech ten Jurek nie robi też z siebie takiego poszkodowanego przez los biedactwa. Marcin też pracował latem, a ona sama już od dwóch lat dawała korepetycje z angielskiego. Pewnie pomyślał sobie, że skoro Wentowie mieszkają w domu jednorodzinnym i mieli za ojca kapitana marynarki handlowej, to z pewnością tarzają się w „zielonych”. Był to jednak bardzo fałszywy obraz ich rodziny. Po śmierci taty matka z ledwością była w stanie utrzymać dom i gdyby nie jej wrodzona gospodarność, pomoc Teresy oraz mieszkającego w Stanach przyrodniego brata, ich dwójka nie dałaby rady studiować w Trójmieście.

Marta nie odpowiedziała na tę jego uwagę, tylko podciągnęła rękawy i umyła ręce nad zlewem. Wytarła je potem w ręcznik i włożyła kanapki do papierowych torebek. Jurek stał przy niej stropiony i nerwowo zaglądał do swego na wpół pustego plecaka. W chwili, kiedy usłyszeli zamykającego drzwi na piętrze Marcina, chłopak szybko rzucił: – Umiesz wiosłować?

– Jasne.

– A pojechałabyś z nami na spływ?

To była prawdziwa niespodzianka. Marcin co roku zabierał wiosną kilku kolegów na parodniowy spływ kajakowy. Do tej pory nie uczestniczyła w nim żadna dziewczyna. Nawet nie było mowy, aby jakakolwiek kobieta zbrukała tę męską idyllę.

– Lecimy, nie? – Rozmowę przerwał zbiegający ze schodów brat.

Jurek spojrzał na Martę prosząco.

– Tak – odpowiedziała i nie mogąc powstrzymać triumfalnego nastroju, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Dziękuję. Za wszystko dziękuję – odpowiedział i dotknął jej nagiego przedramienia.

– Pa, siostra! Do zobaczenia w tygodniu. – Marcin klepnął ją w plecy.

– Trzymajcie się! – zdążyła krzyknąć na odchodne.

Obaj pewnie już dawno wsiedli do autobusu, a Marta nadal czuła na przedramieniu dotyk dłoni Jurka. W środku aż szalała od emocji.

– Marto! No stoi jak słup soli ta dziewczyna. Mówię do ciebie i mówię. – Głos matki dochodził jakby z daleka. – Dałaś im kanapki?

Dopiero teraz zobaczyła, że zostały na stole w papierowych torebkach.

Ale jak można było myśleć o jedzeniu w chwili, kiedy nagle dotarło do niej, nieoczekiwanie i najbardziej intensywnie, że się zakochała.

Jeszcze na nic w życiu Marta tak gorączkowo nie czekała jak na pytanie Marcina, czy chciałaby do nich dołączyć na spływie. Wprawdzie padło ono już następnego dnia, kiedy brat odwiedził ją w akademiku na Polankach, ale Marcie czas ten wydawał się nieskończonością.

– Leszek złamał rękę – oznajmił Marcin.

A więc to była prawdziwa przyczyna tej nieoczekiwanej decyzji o koedukacyjnym charakterze spływu.

– Nie chcę szukać teraz kogoś innego na gwałt. Może ty byś z nami pojechała?

– Ja? Na gwałt? No wiesz...

Jak ten Jurek wpłynął na jej brata, że teraz mu się wydawało, że on sam to wymyślił?

Marcin zrobił małą minę i wystawił język.

– Przecież lubisz wiosłować. Popłynęłabyś z Jiżim, bo Leszek to była jego para.

– Z nim? – Wzruszenie zatkało jej krtań.

– On się zgadza.

– To ja też.

Dwa tygodnie ciągnęły się upiornie wolno, tym bardziej że nie miała w tym czasie żadnej okazji, by spotkać się z Jurkiem. Oczywiście zawsze mogła przypadkowo wpaść do „Łajby”. Nie była jednak w stanie. Zbyt to by się przed nim zdradziła, a wtedy— no cóż, pewnie by ją zlekceważył, jak te inne dziewczyny, o których wspominał jej brat. W rozmowach z Marcinem musiała nieustannie się kontrolować. Wydawało jej się, że wystarczy jakieś nieostrożne słowo, wyraz twarzy, a brat natychmiast się domyśli, co czuje do jego przyjaciela.

Do tej pory rozumieli się niemal bez słów. Jednak ostatnio Marcin był bardziej skoncentrowany na sobie i czekającym go wkrótce rejsie Chrobrym, który miał

uczestniczyć w prestiżowych regatach transatlantyckich. Od dziecka fascynowały go żaglowce i dalekie podróże, a pasja ta podsycana była zarówno przez ojca, jak i lekturę książek, zwłaszcza Conrada. Książki te wciskał on również swojej siostrze bliźniaczce, ale z umiarkowanym powodzeniem. Marta z uprzejmości przeczytała kilka, ale bardzo szybko stwierdziła, że Conrad ją nudzi, i wróciła do Llosy i Marqueza.

Dowiedziawszy się, że Jurek wyrusza w ten sam rejs z Marcinem, sięgnęła jednak po Smugę cienia.

Początek spływu okazał się jednak bardzo rozczarowujący dla dziewczyny. Chłopcy po krótkiej wewnętrznej dyskusji zmienili plany i nakazali jej płynąć z bratem. Jurek wiosłował z innym kolegą i tak przez większą część spływu Marta mogła wyłącznie podziwiać jego szerokie ramiona i marzyć o tym, by się kiedyś w nich znaleźć. Wyprawa odbywała się głównie przy mżącym deszczu, który stale nawracał, psując im majówkę.

Nawet noclegi w namiocie trzyosobowym okazały się porażką. Martę i Jurka rozdzielał pośrodku chrapiący donośnie Marcin. Znosiła jednak dzielnie zarówno deszcz, jak i dość głupawe dialogi towarzystwa i zasłużyła sobie nawet na komplementy od nich, że jest „równą babą”, nie skarży się na zimno i spartańskie warunki i poza tym jest świetnym kumplem.

Trzeciego dnia, kiedy przyплыnęli nad Jezioro Charzykowskie i rozbili tam obóz, a Marta doszła ostatecznie do wniosku, że pomysł uczestniczenia w męskiej wyprawie był głupi, Marcin przy wieczornym ognisku wypił o kieliszek wódki za dużo. Nigdy zbyt dobrze nie tolerował alkoholu, ale tym razem zupełnie ścięło go z nóg. Już po dziewiątej wieczorem mocno zamroczony wpełzł do namiotu i zasnął jak kamień. Marta posiedziała jeszcze chwilę przy ognisku, ale ponieważ Jurek nawet na nią nie patrzył, ruszyła wkrótce w ślady brata. Tym razem to ona leżała pośrodku, ale nie mając już nawet nadziei na jakąkolwiek rozmowę z obiektem swej fascynacji, również szybko przysnęła.

Obudziła się w ciemnościach i natychmiast usłyszała donośny śpiew ptaków. Stwierdziła więc, że to one ze swoimi nocnymi godami zgotowały jej tę przedwczesną

pobudkę. Postanowiła czym prędzej ponownie zasnąć, ale nagle poczuła, jak czyjaś ręka przesuwa się po jej włosach. Jurek!

Wystarczyło znów tylko jedno dotknięcie, by wszystkie jej zmysły momentalnie się przebudziły. Na szyi poczuła przyjemne mrowienie, gdy ręka osunęła się niżej.

Marta leżała cicho jak trusia, nie chcąc, by chłopak przestał ją dotykać, ani też przypadkowo zbudzić Marcina, który tym razem spał zupełnie bezgłośnie.

Dłoń leżącego obok niej Jurka gładziła ją delikatnie po szyi, a potem stopniowo zsunęła się pod śpiwór na jej plecy. Pieściła je najpierw jakby od niechcienia, a potem coraz namiętniej. Kiedy znalazła się pod cienką koszulką dziewczyny i musnęła delikatnie jej sutki, Marta zdusiła w sobie westchnienie, ale nawet wówczas nie obróciła się w stronę Jurka. Zaciskała mocno powieki, nie chcąc zbudzić się z doświadczania tej niezwyklej przyjemności. Chłopak przysunął się mocniej do jej śpiwora i zanurzył twarz w jej włosach.

– Marta – szepnęła, ale być może wyobraziła to sobie.

W końcu po wielu minutach pieszczot dotknęła palcami jego ręki, która w tej samej chwili ośmieliła się do tego stopnia, że wsunęła się w jej spodnie dresowe.

Marta pohamowała krzyk i obróciła się w stronę Jurka, w ciemnościach odnajdując jego usta.

– Wyjdź za mną – usłyszała, kiedy w końcu udało się jej od niego oderwać.

Niemal bezgłośnie zniknął z namiotu. Marta leżała i przez moment usiłowała zebrać myśli. Zerknęła w stronę brata. Znów przewrócił się na plecy i lekko pochrapywał. Nie powinien niczego zauważyć. Przynajmniej miała taką nadzieję, leszcze parę chwil temu była tak rozbudzona, że Jurek mógłby zrobić z nią co chciał. Jak to możliwe, że nagle zrobiła się aż tak bezwstydna?

Starła się wyjść z namiotu jak najciszej, ale i tak po ciemku weszła w ustawione przy wejściu kochery. Dopiero pociągnięta za rękę przez Jurka odnalazła właściwy kierunek. Prowadził ją w stronę jeziora, a ona podążała za nim bez słowa. W zupełnym milczeniu odwiązali od pomostu kajak i weszli do środka, a następnie wiosłowali przez kilkanaście minut w kierunku wschodzącego słońca i małej zatoczki przy lesie. Jurek, który był tylko w koszulce i szortach, wciągnął kajak wraz z Martą



na piasek. Nie zdążyła wyjść, bo pochwycił ją na ręce i kiedy znalazła się na brzegu, zaczął całować.

– Nigdy nie spotkałem dziewczyny takiej jak ty – powiedział później, ale nadal bardzo cichym głosem.

– Chyba się w tobie zakochałam – przyznała zdziwiona Marta, patrząc, jak Jurek sięga po koc, który zabrał z namiotu.

Znów przestali mówić. Oderwali się od siebie, dopiero gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać i ranek wstał na dobre.

– Chciałbym, żeby tak było zawsze – rozmarzył się Jurek, kiedy po lodowatej kąpieli w jeziorze szykowali się do powrotu do obozowiska.

– Ale ty i Marcin wkrótce wypływacie w rejs – przypomniała mu Marta, z rozpaczą myśląc o czekającej ich paromiesięcznej rozłące.

Jurek spojrzał na nią z powagą.

– Wrócę przecież. A potem... potem będziemy mogli się pobrać – oświadczył po prostu, a Marta kiwnęła głową potakująco.

Po tym, co ich spotkało tego wczesnego poranka, nie było żadnej wątpliwości co do tego, że są sobie przeznaczeni. Nie potrzeba było więc dodatkowych słów czy gestów. Sprawa była przesądzona.

Po powrocie do obozowiska okazało się, że wszyscy pozostali nadal pogrążeni byli w głębokim śnie. Marta z Jurkiem postanowili więc wyruszyć na kolejną wyprawę kajakiem. Tym razem po bułki na śniadanie.

Następne tygodnie minęły jak w transie. Marta urywała się z zajęć, by się spotykać z Jurkiem. Kiedy on był zajęty, nie była w stanie się skoncentrować na czymkolwiek. Nie chciała jednak przyznać się komukolwiek do tego, co ich spotkało. To miała być ich wspólna tajemnica, aż do...

– Pewnie masz rację. Marcin może być na mnie wściekły, że uwiodłem mu siostrę pod bokiem. Jeszcze w ciemną noc zrzuci mnie z pokładu do wody. Kiedy tylko wrócę, damy natychmiast na zapowiedzi. Pomyśl, jak się zdziwią.

– Ale będziemy do siebie pisać, dobrze? Mogę nawet zmienić charakter pisma. Ach, ale ty z pewnością dostaniesz wiele listów od innych

– powiedziała Marta i ze smutną miną obserwowała ubierającego się Jurka.

Uwielbiała patrzeć na jego nagie ciało. Było wprost idealne.

– Głuptas z ciebie.

Nałożył sweter. Wszystkie były okropnie stare i lekko sfilcowane, stwierdziła dziewczyna. Zalała ją fala czułości. Jak wyjedzie, to ona zrobi mu na drutach wspaniały nowy pulower. Marta była nadzwyczaj biegła w robótkach ręcznych. Niemal dorównywała w nich matce.

– Nie ma żadnych innych. – Zbliżył się do niej i ujął jej twarz w dłonie. – Ze wszystkimi dawno się pożegnałem na zawsze. To ja mam powody do zmartwienia. Wprawdzie w „Łajbie” będziesz musiała uważać, bo moi kumple będą cię obserwować, ale jest przecież tyle innych miejsc.

Nic nie będę o tobie wiedział – droczył się z nią Jurek.

A potem wszystko potoczyło się jeszcze szybciej i nim się obejrzała, stała wraz z matką i Teresą na Skwerze Kościuszki w Gdyni i zalewała się łzami, patrząc na szykujący się do rejsu żaglowiec. Obie były przekonane, że oplakuje rozstanie z bratem.

– Tunia, przecież Marcin niedługo wróci. To bezpieczny rejs, zawsze przecież... – zaczęła mówić Teresa i nagle urwała, przypomniawszy sobie, że ojciec przecież dostał zawału, gdy statek stał już na redzie przed wejściem do portu. Na wszelką pomoc było jednak za późno.

Marta załzawionymi od łez oczami wypatrywała Jurka, który wraz z innymi adeptami szkoły ubrany w mundur stał wyprężony jak struna podczas uroczystej zbiórki. A potem...

A potem żeglarze wspięli się na reje i postawili żagle. Chrobry odpłynął żegnany przez tłumy odprowadzających.

Piękne słoneczne dni początku lata wlokły się niemiłosiernie. Mina Marty rozjaśniała się jedynie wówczas, gdy w skupieniu robiła na drutach sweter dla Jurka.

– Taka brązowa wełna, dla blondyna? – zdziwiła się Teresa, uznając, że nowa część garderoby dziergana jest dla brata.

Marta uśmiechnęła się tylko pod nosem. Siostra zapewne by się zdziwiła, gdyby

jej powiedziała prawdę, a nawet jeszcze bardziej, gdyby się dowiedziała, że ostatnio w „Baltonie” Marta widziała piękny biały materiał po atrakcyjnej cenie. Nie wahała się ani chwili. Za otrzymane od Piotra w prezencie gwiazdkowym dolary kupiła całe cztery metry. Będzie jak znalazł na suknię ślubną. Trzeba łapać okazję. Później z pewnością nic nie dostanie.

Któraś czerwcowego dnia, gdy Marta przyjechała do domu, aby między egzaminami zaczerpnąć trochę oddechu, drzwi otworzyła matka. Jej twarz była blada i stężała. Marcie natychmiast przypomniał się dzień, kiedy zawiadomiono je o śmierci ojca.

– Mamo?

– Podali właśnie wiadomość w telewizji, że tonie jeden z żaglowców regat.

Marta poczuła, jak po całym jej ciele rozlewa się zimna fala. Zapytała cichym głosem: – To Chrobry?

– Nie, jakiś obcy. W okolicach Bermudów. Dużo ludzi się utopiło.

Podobno Chrobry uczestniczy w akcji ratunkowej. Są straszne warunki.

Radio Gdynia nie uzyskało nawet połączenia.

Marta stała i poruszała ustami, z których nie dobywał się ani jeden dźwięk. Po chwili matka przyjrzała się uważniej córce i kazała jej się natychmiast położyć do łóżka.

– Musimy spróbować zadzwonić – nalegała Marta, trzęsącymi się rękami chwytając czarną słuchawkę telefonu.

Bezskutecznie jednak. Mijała godzina za godziną, a z Chrobrym nie można było nawiązać żadnego kontaktu.

– Tam musi być potworny sztorm – słowa matki przebijały się czasem do jej świadomości.

Na oczekiwaniach i modlitwach minęły dwa dni, podczas których Marta straciła trzy kilogramy, aż w końcu zadzwonił ich znajomy kapitan.

Chrobry wraz z częścią uratowanych rozbitków na pokładzie był już bezpieczny. Całą załogę witano w porcie na Bermudach jak bohaterów.

Tysiące kilometrów dalej, na ulicach Gdańska, Marta tańczyła z radości.

Są bezpieczni! Nic im się nie stało! Jurek wraca! Jest zaręczona, wkrótce wyjdzie za mąż. Ba, nawet pozdawała wszystkie egzaminy. Jedyne żal, że żaden z chłopaków nie wysłał żadnych listów oprócz kartek z początku rejsu. Ale to nie było ważne. Już za dwa tygodnie mieli być z powrotem w Gdyni.

– Marto! Czy ty nie przesadziłaś z tym strojeniem? Nie bolą cię nogi na tym wysokim obcasie? – karciła ją matka, kiedy stały na Skwerze Kościuszki, czekając na wpłynięcie żaglowca.

Tym razem były tylko we dwie. Teresie nie udało się zamienić dyżuru w szpitalu.

– Nie, mam. Jest mi wygodnie. Lubię wysokie obcasy.

Marta trzymała kurczowo swój bukiet, na który składały się dwie wiązanki pełnych kwiatów, zebranych tego samego dnia nad Jeziorem Kamiennym.

– Rób, jak chcesz. Dzięki Bogu, koniec tego rejsu. Los żony i matki marynarza nie należy do łatwych. Mam nadzieję, że ty znajdziesz sobie męża z innym zawodem – oświadczyła nagle matka, kiedy spostrzegły zbliżającą się do portu sylwetkę żaglowca.

– Nie wiedziałam, że to tak mamie wcześniej w życiu przeszkadzało.

Przecież zakochaliście się w sobie z ojcem, prawda?

– Oczywiście, że kochałam twojego ojca – obruszyła się Wentowa.

– Bardziej niż tatę Piotra? – Nagle Martę zaczęły bardzo obchodzić wszelkie tematy związane z przeżywaniem uczuć przez innych.

Matka spojrzała na nią surowo.

– Jak można to stopniować! Każdy z nich był zupełnie inny. Ja również. Pierwszego spotkałam, będąc jeszcze nastolatką, drugiego jako dojrzała kobieta. Powiem ci tylko, że rodzajów miłości jest wiele.

Marta, mimo iż pochłonięta widokiem zbliżającego się Chrobrego, z zaskoczeniem słuchała tych słów.

– Nawet tej prawdziwej? – spytała cichym głosem.

– Co to za głupstwa ci chodzą po głowie? Zabrzmiało to jak połajanka, a Marta miała dosyć bycia karconą córką. Wpatrywała się w żaglowiec i coraz bardziej widocznych żeglarzy. Nie, nigdzie nie widziała Jurka.

Zobaczyła go dopiero, kiedy stali na pożegnalnej zbiórce. Tym razem Jurek stał dalej od Marcina. Marta machała do nich obu i wysyłała im całusy, podrygując, podskakując i zupełnie nie zważając na kwaśne miny matki.

Po chwili po trapie schodził już brat. Ależ zmężniał! Minęło zaledwie parę tygodni, a Marcin wyglądał teraz na znacznie starszego niż przed wyjazdem. Kiedy obejmował matkę, widać było, jak w ogorzałej od słońca twarzy wyraźnie odznaczają się niebieskie oczy. Marta ze zdumieniem dostrzegła, że były jakieś zgaszone i bez wyrazu. Czyżby Marcin żałował, że rejs już się skończył? Mało mu było przeżyć?

– Braciszku kochany! – Marta uwiesiła mu się na szyi i dojrzała schodzącego z workiem żeglarskim Jurka. Nie patrzył w jej stronę.

Oswobodziła się z objęć brata.

– Jurek! – krzyknęła, unosząc do góry wiązankę kwiatów.

Dopiero w tym momencie jego wzrok spoczął na niej. Nie było to jednak to samo ciepłe, pełne miłości spojrzenie co wcześniej. Patrzył na nią... jak na daleką znajomą. Jego prawa ręka uniosła się w górę czapki marynarskiej i.... zsalutowała jej.

Marta oniemiała. Wpatrywała się osłupiałym wzrokiem, jak Jurek, zupełnie nie zwracając na nią uwagi, przeszedł obok. Chciała do niego krzyknąć, ale z wrażenia zaniemówiła.

Dopiero po chwili dostrzegła, że młody żeglarz idzie w kierunku machającej do niego grupki osób. Jedna z tych osób, kobieta, wyrwała się do przodu i pobiegła na jego powitanie. I po chwili... Jurek unosił ją do góry i całował. Uśmiechał się. On się uśmiechał!

Marta nie zauważyła, że jej palce zacisnęły się kurczowo na ramieniu brata.

– Jurek?

Czy to był na pewno on? Ten sam, z którym miała brać ślub i kupiła już nawet materiał na sukienkę?

– Ach, daj spokój – odpowiedział chłodno jej brat. – On ma teraz co innego na głowie. Nie będzie się witać z wami, kiedy przyjechała jego narzeczona.

– Narzeczona?

– Aha. Żeni się tego lata.

– Marcin. Zajmij się Martą, nie najlepiej się czuje. Bardzo silnie przeżyła ten twój rejs – zarządzała matka, która zawsze wiedziała, jak się zachować. I niczemu nie dziwić. I, na szczęście, tym razem nie zadawać

pytań.

A Marta? Ona nadal widzi wysokiego chłopaka, który ubrany w mundur marynarski przechodzi obok niej ze stalowym, nieruchomym obliczem. I salutuje jej! Salutuje... Łzy lecą jej po policzkach coraz szybciej.

Serce zmienia się w oszalałą rybę, która wali ogonem w jej piersiach.

– Cii. Marto! Już dobrze – pociesza zapłakaną Martę Piotr, którego obudził w nocy jej szloch. – Nie martw się, siostró. Wszystko będzie dobrze – mówi, kiedy ona próbuje ustalić granicę pomiędzy snem a rzeczywistością. – Kiedyś wszystko się ułoży.

Dobrze, że on sam miał taką nadzieję, pomyślała Marta. Jej jednak nigdy się nie udało.

Wspomnienie o Jurku nigdy nie przekształciło się w saszetkę z ulubionym zapachem, którą od czasu do czasu wyciągało się z szuflady i napawało jej aromatem. W tym wypadku szuflada powinna być już na zawsze zamknięta.

## ROZDZIAŁ 10

– Marysiu, bardzo słabo cię słyszę, ale tak, oczywiście, możesz mieszkać u mnie – niemal krzyczała do telefonu Marta. –Całe lato możesz...

Tak. – Kątem oka dostrzegła, że rozmowie przysłuchuje się matka. – Powiedz, kiedy będziesz, to przyjadę z kluczem. Dopiero pod koniec miesiąca? No, dobrze.

Matka stała na jej drodze, niemal zasłaniając przejście, i nie dała się zignorować.

– Co Mary chce robić w Warszawie? – zażądała natychmiastowej odpowiedzi.

– Chce się podciągnąć w polskim i dostała letnią pracę w kancelarii adwokackiej. Przyjeżdża tu z koleżanką, która ma matkę Polkę.

– Ale dlaczego praca w Warszawie? A nie w Nowym Jorku? – zdziwiła się matka. – Czy to się jej do czegoś przyda? Strata czasu.

– Słabo było słyszeć, mamó. Jak zadzwoni jeszcze raz, to się więcej dowiemy. Poza tym nie sędzę, żeby coś traciła. Przynajmniej zdobędzie praktykę w innym kraju. To z pewnością jej się przyda.

Wentowa jednak była wyraźnie niezadowolona z decyzji wnuczki. Z kwaśną miną relacjonowała teraz nowiny synowi, który słuchając jej, apatycznie kiwał głową. Jego siostra była pewna, że i tak nic do niego nie dociera. Żył w swoim świecie.

Po chwili znów patrzył tępo w telewizor, w którym premier opowiadał o osiągnięciach swojej nowej koalicji.

Telefon od Mary przeszkodził Marcie w ubieraniu się i teraz czuła się zagubiona. Czy miała włożyć tę beżową bluzkę czy tamtą zieloną? Podjęcie decyzji wydało jej się nagle fizycznie niemożliwe. Lepiej zostanie w pizamie. Nie, nie, nie może tego zrobić. Przecież obiecała Ludce, że pojedzie do prokuratury spojrzeć na te szwedzkie dokumenty. Z kolei po południu miał ich odwiedzić Eryk. Z nim nie musiała się spotykać.

Przetłumaczony list może przekazać matka. Ta poprzedniego dnia kilka razy próbowała skierować rozmowę na temat Borzewskiego. Bardzo nieudolne próby i

zupełnie zignorowane przez Martę. Choć z drugiej strony... Sama nie wiedziała, jak to możliwe, ale miała ogromną ochotę się z nim spotkać. I zobaczyć, jak jego oczy nabierają takiego bezradnego wyrazu, kiedy wspomina tę swoją Szwedkę. Trochę masochistyczne, no ale cóż?

Wzrok Marty skupił się w końcu na beżowej bluzce.

Do Gdańska pojechała tramwajem i ponieważ było to już po porannym komunikacyjnym szczycie, mogła nawet usiąść. Pochłonięta myślami nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się przy Bramie Wyżynnej. Stamtąd skierowała się ku białemu budynkowi, gdzie obecnie mieściła się prokuratura, a wcześniej siedziba komitetu wojewódzkiego.

Jednakże jak wkrótce się przekonała, po korytarzach dawnej siedziby partii nie mógłby się wałęsać żaden duch polityczny byłego systemu, gdyż przynajmniej górne kondygnacje były zbyt dobrze monitorowane. Aby przedostać się na piąte piętro, gdzie znajdował się wydział do walki z przestępczością zorganizowaną, Marta musiała się zgłosić do wartownika, a potem czekać na pojawienie się Ludki. Patrząc na szybę oddzielającą ją od korytarza, czuła pewien niepokój. Przecież jeszcze parę miesięcy temu prokuratura zainteresowała się również nią samą. Na szczęście rozeszło się po kościach.

– Martusia! Kochana moja, jak ty wychudłaś! – Ludka przycisnęła się do niej całym swoim dziewięćdziesięciokilogramowym ciałem.

– Co się z tobą dzieje?

Ludka, mimo tuszy, wyglądała świetnie. Była lekko opalona, w ciemnobrązowej tunice i brązowych lnianych spodniach. Pomiędzy okazałymi półkulami jej piersi podskakiwała egipska biżuteria.

– Tak, byłam z małą na urlopie w Hurghadzie – odpowiedziała na nieme zapytanie Marty. – Ale mów, co z tobą, biedactwo!

– Ach, nic takiego – zbyła. – Chyba miałam zwyczajnego doła.

Marta nagle stwierdziła, że chyba tak rzeczywiście było. Na szczęście tym razem nic nawet nie przypominało tamtego stanu, w którym każdy rodzaj jej inteligencji osiągnął stadium embrionalne. Stanu, w którym całymi tygodniami bolała ją każda



tkanka ciała, kiedy nie chciała nikogo spotykać, nienawidząc każdego głosu, nawet tego wychodzącego z jej własnej krtani. Teraz wszystkie strachy niewidy dość pospiesznie poznikały.

Była wprawdzie bezrobotna, ale to można szybko zmienić. Utrzyma się bez problemu. Sprawa Karola nagle również wydała jej się banalna.

– No to wspaniale. Będę musiała cię rozerwać. Koniecznie musisz przyjechać do mnie na upojny weekend na wieś – namawiała Ludka, prowadząc dawną koleżankę do swojego pokoju.

– Czemu nie?

– Trzymam za słowo. Upijemy się jak za dawnych czasów. Marcie przed oczami stanął obraz szczupłutkiej i roześmianej Ludki zjeżdżającej po poręczu w domu, gdzie mieszkały na stacji.

– Tak, dwadzieścia lat później. – Uśmiechnęła się. Ludka otworzyła drzwi do swojego biura, w którym na pierwszy rzut oka panował absolutny chaos. Wszędzie leżały różne teczki, segregatory i opasłe prawnicze tomy. Marta okrążyła dwie spore górki akt, zanim znalazła się przy biurku.

– Siadaj, kochana. Ten fotel to może trochę niezbyt, co? Może być?

Kawy? Albo ziółka?

– A co? Znowu jesteś na diecie?

– Trudno się poddać – westchnęła Ludka.

Mimo promiennego usposobienia miała wprost fiksację na punkcie powiększonej po porodzie wagi.

– Żadnych ziół i ludowej medycyny. – Marcie przypomniało się słynne ziele szwagra, „herbaria”.

– OK. – Ludka się roześmiała i zanim włączyła elektryczny czajnik, zrzuciła na kolana Marty grubą teczkę. – To o tym pogadamy. Będiesz mi mówić, czego dotyczy każdy dokument, a jak mnie coś zainteresuje, to się przy nim zatrzymamy, dobrze? Ale najpierw zrobię kawę. To może trochę potrwać.

Kiedy tylko Ludka sięgnęła po dokumenty, wcześniej wkładając na czubek nosa śmieszne okrągłe okulary, nastąpiła natychmiastowa transformacja osobowości. Nagle

znikła gdzieś roztrzepana, chaotyczna śmieszka. Na Martę zerkała poważna twarz, a surowy, prokuratorski głos zadawał pytania.

Ludka nie wtajemniczyła Marty w prowadzoną sprawę, zapewne chcąc, aby przy tłumaczeniu zachowała obiektywizm i niczym się nie sugerowała. Jednak po jakimś czasie Marta zaczęła się domyślać, czego dotyczą papiery. Ułożone były w bardzo starannym porządku z początkowym spisem treści. Marta chciała go przetłumaczyć, ale Ludka wolała poznać każdy dokument z osobna, niektóre pomijając, a przy innych robiąc krótkie notatki.

Sprawa dotyczyła zatrzymania przez szwedzkie służby celne Polki przewożącej w swoim samochodzie narkotyki. Prawdopodobnie robiła to wiele razy, gdyż jak sama przyznała, często odwiedzała siostrę mieszkającą w Karlstad. Na to jednak żadnych dowodów nie było. Tamten raz zapewne również skończyłby się bezproblemowym przekroczeniem granicy, gdyby szwedzcy celnicy nie zwrócili uwagi na nerwowe zachowanie kobiety. W pierwszej chwili podejrzewali, że musiała wypić tej nocy na promie i obawiała się kontroli alkoholowej. Okazało się jednak, że alkomat niczego nie wykazał, a po badaniu kobieta stała się jeszcze bardziej nerwowa.

Zauważyli, że nie było z nią kontaktu wzrokowego i uznali takie zachowanie za podejrzanе. Kiedy zapytano ją, czy jej coś dolega, zaczęła się łapać za serce. Ponieważ wyglądała najwyżej na trzydzieści lat, celnicy nie dali jej wiary i skierowali samochód na bok do szczegółowej kontroli przy użyciu psa. Skrytka znajdowała się w nadkolu i zawierała prawie pięć kilogramów amfetaminy.

– O rany! Jak już późno. A muszę jeszcze polecieć do sądu! – Pani prokurator po nagłej transformacji stała się znów Ludką.

Marta zerknęła na zegarek. Nie wiadomo kiedy minęło półtorej godziny.

– Martuś, kochana moja! Czy ja cię mogę jeszcze raz zaprosić do mego ponurego zamczyska? Nie będzie tego teraz aż tak dużo. Tylko przesłuchanie tej kobitki, co? A potem pogadamy.

Ludka w pośpiechu porwała teczkę, wypełniała ją dokumentami, dorzucała do niej coś jeszcze. Wyłaniającą się paczkę z podpaskami zakryła jakimś kodeksem i była gotowa.

– I oczywiście ci zapłacę.

– Z pewnością będą to krocie – zauważyła Marta z przekąsem.

– Ale zrobisz dobry uczynek. Ja muszę złapać tego faceta, rozumiesz.

Mam na jego punkcie obsesję.

– Jakiego faceta? – Przecież cały czas mowa była o kobiecie.

Aresztowanej i czekającej na wyrok, jak Marta zapamiętała z początkowych dokumentów.

– Jest w tym facet. Jest. O wszystkim pogadamy następnym razem.

Będiesz odbierać ode mnie jeszcze telefony czy już mnie znienawidziłaś?

– Będę, będę. Już się tak nie kryguj – mówiła Marta, gdy zjeżdżały windą na parter.

– To ja lecę! – Ludka pocałowała ją w policzek i pognąła co sił w nogach w stronę starego Żaka.

Marta stała na schodach gmachu niezdecydowana. Popatrzyła pod słońce w kierunku Starego Miasta i dopiero po chwili zauważyła idącego z przeciwka Eryka.

– A to niespodzianka! – szczerze się ucieszyła, a on jeszcze bardziej.

– Co tutaj robisz?

– Spotkałam się z moją dawną koleżanką. Jest teraz prokuratorem.

Niesamowita. – Marta pokręciła głową porażona energetycznością Ludki. –

A ty co porabiasz?

– Chciałem iść na seminarium w Holiday Inn, ale skoro ciebie spotkałem, to może się urwę. Masz czas?

Była trzynasta, niegdyś, w stanie wojennym, najbardziej radosna godzina. Martę również przepelniało błogie zadowolenie. Zapewne był to wynik wysiłku intelektualnego przy tłumaczeniu. Przyczynił się do tego, że patrzyła teraz o wiele optymistyczniej na świat. Czowała się tak dobrze po raz pierwszy od dwóch miesięcy.

– Mam. A co proponujesz? – spytała z niewinnym uśmiechem, biorąc go pod ramię.

Minęli pomnik Sobieskiego, Teatr „Wybrzeże” i przeszli przez pasaż Zbrojowni

na Piwną, do „Pikawy”.

– Nie, na pewno nie chcę obiadu – ponownie tłumaczyła Erykowi, który chciał ją zaciągnąć na wystawne żarcie. – Ale kawa i „Malinowa ekstaza” z pewnością dobrze mi zrobią. Jeśli sam nie konasz z głodu, oczywiście.

Okazało się, że Eryk idzie wieczorem na kolację i zamierza wytrzymać na deserze do tego czasu. Usiedli w kawiarni na wygodnych, starych fotelach przy okrągłym stoliku z siatkową narzutą i po chwili przed nimi znalazły się zamówione słodkości.

Eryk zostawił na wieszaku błękitną kurtkę. Miał na sobie jedwabne, ciemnogrnatowe polo i jasne spodnie. Był naprawdę przystojny, stwierdziła po raz kolejny Marta, żałując trochę, że swojemu wyglądowi nie poświęciła tego ranka więcej uwagi. Beżowa bluzka nie wyglądała zbyt dobrze. W mijanych witrynach zaobserwowała, że dodaje bladości jej policzkom.

Dziwne, że Eryk nie włożył marynarki, skoro wybierał się na seminarium, pomyślała. Może to było jednak mniej formalne spotkanie? Za chwilę Marta przestała rozmyślać, gdyż Eryk uporał się galopem z „ekstazą” i spojrzał na nią. W jego wzroku wyczytała niepewność.

– Ten list... – zaczął.

– No właśnie. Umawialiśmy się na dzisiaj, ale w domu.

– Ale to znacznie lepiej, że się teraz spotkaliśmy.

– Oczywiście. Masz rację. Mogę ci go przemejlować na twoją pocztę.

A oryginał oddam przy okazji.

– Tak, oczywiście. Nie ma sprawy – odpowiedział pospiesznie Eryk.

Marta zauważyła, że jest zdenerwowany, a co dziwniejsze, jego nastrój udzielał się również jej. Nagle poczuła się trochę zażenowana tą dziwną sytuacją.

– Bo ja wyjeżdżam jutro.

– Tak, mówiłeś. Prześlę ci go, jak tylko wrócę do domu.

– Nie, nie musisz się tak spieszyć. – Eryk pochwycił jej rękę. – Ale bardzo mi zależy na tym, co o tym sądzisz.

– O treści listu? – spytała ostrożnie.

– Tak – odpowiedział i spuścił oczy. Nie wypuścił jednak ze swoich rąk dłoni

Marty. Delikatnie gładził jej serdeczny palec.

Biedak, wpadł po uszy, rozczuliła się kobieta. Poklepała go życzliwie po grzbiecie dłoni i powoli pozwoliła swoim ręką zsunąć się na kolana.

– To jest bardzo piękny i szczerzy list – odpowiedziała.

– Tak myślisz? – Eryk uniósł wzrok znad stołu.

– Dlaczego mi nie wierzysz? To wspaniale, że tak otwarcie potrafisz mówić o swoich uczuciach. To nie jest proste.

– Masz rację, zupełnie nie jest proste. Mówić jednak nie umiem, dlatego napisałem. I jak ci się wydaje... co ona na to?

Patrzył jej teraz prosto w oczy, a ona najchętniej uciekłaby spojrzeniem za góry, za lasy. Zbierała w niej złość, że stała się powiernicą Eryka. Nie miał, do licha, innych przyjaciół? Musiał ją wygrzebać z dziecięcego archiwum wspomnień?

Marta jednak nie okazała po sobie żadnego zdenerwowania i próbując zmierzyć się z Erykiem spojrzeniem, odpowiedziała mu miłym, ale zdecydowanym tonem.

– Jak to co? Ona również musi być w tobie zakochana.

– Naprawdę?

Czy ten facet był biznesmenem w średnim wieku, czy też jakimś zadurzoną uczniakiem?

– Tak, Eryku. Wydaje mi się, że musisz dać jej teraz trochę czasu i nie naciskać. Musi zrozumieć, że twoje intencje są szczerze. Ale generalnie nie masz się czego obawiać. Rób tak, jak serce ci podpowiada, a z pewnością wszystko się znakomicie ułoży. – Marta dla poparcia swych słów zdecydowała się na poświęcenie osobiste oraz dotyk drugiej osoby i ścisnęła rękę swojego rozmówcy spoczywające na blacie stolika. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę – dorzuciła zupełnie bez sensu, ale z dużą dozą obłudy.

Po tych słowach Eryk jakby się rozluźnił i zaczął poruszać inne, bardziej neutralne tematy. Marta, która przez ostatnie godziny była bardzo skupiona, natychmiast wyłączyła uwagę i przełączyła się na automatycznego pilota. Odpowiadała czasem bez sensu, ale za to z czarującym uśmiechem.

W pewnej chwili zrozumiała, że wyraziła zgodę na jakiś zagraniczny wyjazd.

– Tak bardzo się cieszę. Podobno Sztokholm jest taki piękny latem.

Mogłabyś mi go pokazać.

Ona? Chyba się zagalopowała.

– A co z Marią?

– Co Marią? – zdziwił się Eryk i zaczął się śmiać. – W końcu będziecie musiały się poznać.

– A ona mieszka w Sztokholmie? – drażzyła Marta.

– Nie, ale przyjedzie, jeśli ją o to poproszę. Skoro mówisz, że ona też może być, to...

– To będziemy jeszcze musieli to przedyskutować – Marta wykpiła się starym tekstem Wróblewskiego, który rzucał go na posiedzeniach zarządów, oprzytomniawszy po alkoholowym zamroczeniu.

– Oczywiście! – przystał ochoczo Eryk.

Marta spojrzała wówczas z wdziękiem na zegarek, udając, że się tak bardzo dziwi, jak ten czas leci, i stwierdziła, że musi jechać do domu.

– Zawiozę cię. Jadę do Oliwy – natychmiast znalazł się Eryk.

Byłoby głupotą nie skorzystać z tak miłej propozycji i wkrótce Marta znalazła się w wozie terenowym Borzewskiego.

– Ależ to smok!

– Dobry do jeżdżenia po błocie na budowie. Ale ma bardzo dobre głośniki. Posłuchaj.

W samochodzie zabrzmiały dźwięki harmonijki ustnej.

– Słuchasz country? – zdziwiła się Marta.

– Dobrze do podróżowania.

Jakie ci mężczyźni mają dziwne gusty, pomyślała Marta, kiedy skręcali na Hucisku w stronę Wrzeszcza. Taki Mierzejewski uwielbiał na przykład coś tak dziecinnego jak musicale. Kochał się w śpiewie Sarah Brightman i jeszcze śmiał mówić, że Marta mu ją przypomina. Kompletnie wariactwo. Ona sama najbardziej lubiła jazz. I to nie takie łagodne, stare standardy Armstronga czy Fitzgerald, ale nowoczesną muzykę „z pazurem”, jaką grał na przykład Moźdźer.

Jednak w tym momencie słońce świeciło, Eryk uśmiechał się do niej, a Marta, mimo że na chwilę pojawiło się w jej myślach nazwisko Karola, czuła się zrelaksowana. Stan ten utrzymywał się zaledwie parę minut, gdyż w okolicach dworca kolejowego utknęli w korku. Nacisnęła przycisk opuszczający szybę i wyjrzała przez okno. Przed kinem „Krewetka” kłębił się tłum osób wchodzących i wychodzących z tunelu. W pewnej chwili Marta zmartwiała. Przed schodami stał mężczyzna sprzedający kwiaty. Miał na sobie dość szmatławę ubranie i dłuższe włosy. Nie, nie był to jednak mężczyzna, o którym przed chwilą pomyślała. Mogłaby przysiąc, że przypominał jej Jurka Więcka. W tej samej chwili Borzewski ruszył do przodu. Czy ten Jurek był prawdziwy, czy też stanowił wytwór jej wyobraźni? Żadna z odpowiedzi nie była dla niej przyjemna.

## ROZDZIAŁ 11

Ostre promienie słoneczne wygoniły ją z łóżka już o szóstej rano.

Dłużej nie mogłaby tam wytrzymać, gdyż pozbawione zasłon miejsce, w którym spała, stało się nagle rozgrzaną sauną. Pobiegnęła pod chłodny prysznic, a potem owinięta w szlafrok wróciła do sypialni i usiadła w fotelu.

Oprócz niego oraz łóżka innych mebli w pokoju nie było.

Marta spędziła już drugą noc w swoim własnym mieszkaniu. To było interesujące. W zasadzie mieszkała tu wcześniej jedynie przez parę miesięcy przed przeprowadzką do Warszawy. Wspomnienia były więc nie najlepsze, ale z pewnością można to było jeszcze zmienić. Przecież kiedy po raz pierwszy weszła do tej zapuszczonej kamienicy na Batorego, mieszkanie wywarło na niej duże wrażenie. Jakby przeniosła się w czasie. Marta nie miała takiej książkowej wyobraźni jak jej starsza siostra, ale po przekroczeniu progu przez moment wydawało jej się, że korytarze i pokoje wypełniają nieznanne osoby w staromodnych strojach. Nie, oczywiście, że nie były to te same postacie co podczas ataku choroby. Te wydawały się bardzo przyjemne i przyjaźnie do niej nastawione. Teraz, po dwóch dniach czyszczenia po lokatorach, którym przecież wydawało się, że sprzątnęli mieszkanie, Marta za pomocą szczotek i szmat pozbyła się jakiegokolwiek śladu obcej obecności.

Przede wszystkim miała tu spokój, do jakiego była przyzwyczajona i którego tak bardzo zaczynało jej brakować w mieszkaniu matki i Piotra.

Wprawdzie telefony od rodziny sprawdzające jej samopoczucie dzwoniły zdecydowanie zbyt często, ale grzechem byłoby narzekać.

Marta przeszła do kuchni, która była najbardziej umeblowanym pomieszczeniem tego stumetrowego mieszkania, gdyż tu znajdowały się szafki robione na jej zamówienie jeszcze przed ośmiu laty.

Kawa! Jeśli ma tu pozostać dłużej, koniecznie musi kupić ekspres, postanowiła, wsypując neskę do filiżanki. I oczywiście zasłony, jeśli nie chce codziennie budzić się z kurami! I pomyśleć, że jeszcze niedawno zrywała się do pracy o jeszcze



wcześniejszej porze! Marta wolno sączyła kawę, rozkoszując się jej orzeźwiającymi właściwościami. I po co komu praca?

Poprzedniego dnia ponownie odwiedziła Ludkę w prokuraturze.

Zdążyły przejrzeć razem zaledwie kilka dokumentów, gdy jej przyjaciółka została pilnie wezwana przez kierownictwo. Niemniej jednak Marta dowiedziała się trochę więcej o sprawie. Już na początku protokołu z przesłuchania Małgorzaty, kobiety przemycającej narkotyki, pojawił się obiecany przez Ludkę „facet”. Kobieta poznała go na wieczorku dla singli w „Cristalu”. Potem umówili się jeszcze kilka razy. Według niej był bardzo pociągającym mężczyzną około czterdziestki. Któregoś dnia pożyczył od niej samochód.

Można było sobie doskonale wyobrazić, co nastąpiło dalej, prychnęła Marta, stukając kubkiem z kawą o kuchenny blat. Wszyscy tacy sami! Za każdym razem, kiedy kobieta zaufa, kiedy naprawdę da im całą siebie, nie zawahają się przed najgorszym kłamstwem i oszustwem. Marta wiedziała, że generalizuje, jednak w jej wypadku zawsze tak było. Przemawiało więc przez nią doświadczenie. Oj, oczywiście, mogło ją spotkać jeszcze wiele gorszych rzeczy , jak na przykład Małgorzatę, czekającą na rozprawę w szwedzkim więzieniu.

Czarne myśli przesłoniły natychmiast horyzont jasnego letniego nieba.

Marta się skrzywiła. Teraz już wiedziała, po co chodzi się do pracy! Żeby unikać rozmyślenia na swój temat. Niewątpliwie kuszące, ale nie powinna się temu poddawać. Szybko do okna, do promieni słonecznych i jeden głęboki oddech, drugi... I nagle... To chyba niemożliwe.

Po jej ulicy spacerował... Karol Mierzejewski. Wolnym krokiem. Co chwila przystawał i rozglądał się na wszystkie strony. Marta uszczypnęła się w rękę, a potem obróciła na pięcie i podeszła do zlewu nalać sobie szklanek zimnej wody.

Po tych wszystkich zabiegach, które miały na celu rozproszenie potencjalnych zwidów, spojrzała za okno, ale...Mierzejewski nadal kręcił się pod jej domem. Poza tym można było się zorientować, że gapi się w stronę jej mieszkania. Zatem był jak najbardziej prawdziwy. Ale skąd on wiedział, że tu mieszka? Nie, to niemożliwe. Nie wiedziałby. Może przyjechał załatwić coś w konsulacie rosyjskim obok jej domu? No

ale co i dlaczego o szóstej trzydzieści?

Nie zdążyła wymyślić żadnego powodu, gdyż nagle ku jej wielkiemu zdumieniu Mierzejewski zaczął do niej machać. W jaki sposób dostrzegł ją w kuchni? To nie było możliwe. Ale kiedy odczytała swoje imię na jego wargach, zdecydowała się otworzyć okno.

– Mogę do ciebie wejść? – rozdarł się, zapewne budząc sąsiadów z parteru. A może zadzwonią teraz po ochronę konsulatu, która zwinie Karola i oszczędzi jej nieprzyjemności? Skinęła jednak głową i pokazała, żeby podszedł do domofonu.

Sama doszła do holu na miękkich nogach. Myśl, że za chwilę go ujrzy, sprawiła, że jej ciało pod szlafrokiem nagle zawrzało. Chryste, przecież ona była goła.

– Marto...

Jego głos. Ciemny, miękki, głos, którego samo brzmienie potrafi być pieśczętą.

– Czego chcesz?

Jej głos. Ochrypli, nerwowy, niegrzeczny.

– Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Ze mną? O tej porze?

– Proszę, wpuść mnie – zniżył głos. – Widzę za szybą twarz twojej sąsiadki z parteru. Zerka na mnie podejrzliwie.

W dodatku jeszcze ją skompromituje. Pomyślą sobie, że ledwie się sprowadziła, a obcy mężczyźni wrzeszczą pod jej domem o świcie.

– Wchodź. – Nacisnęła drżącą dłonią na przycisk domofonu.

Znalazł się przed nią niemal w ułamku sekundy. Marta jedną ręką ścisła kurczowo górę szlafroka, drugą w kieszeni ma zaciśniętą w pięść.

– Marto!

I jeszcze zębami przytrzymuje dygoczącą górną wargę i oddycha wolno, żeby zwalczyć to nieznośne pieczenie w powiekach.

– Proszę. Wejź – mówi, próbując na niego nie patrzeć.

Ale i tak widziała, że jest blady i wygląda na niewyspanego. Nie miał na sobie garnitur, do którego widoku przywykła, tylko dżinsy i koszulkę polo z krótkim rękawem. Poza tym przez te dwa miesiące nic się nie zmienił.

– Ja cię bardzo przepraszam, że tak rano i bez uprzedzenia. Chciałem przyjechać o wiele wcześniej, ale uznałem, że...

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – przerwała mu obcesowo.

– Z kadr.

– Z kadr? To dziwne. Nigdy im tego adresu nie zostawiłam. – Marta poczuła, że jej policzki oblewa krwawy rumieniec.

– Ktoś mi podał twój adres. – Karol obrócił lekko twarz i widziała doskonale, że kłamie jak z nut. Znowu kłamał! – A ponieważ nie odbierasz ode mnie telefonów, postanowiłem przyjechać osobiście.

– Mogłeś napisać list. Czy ja nie wspominałam, że nie chcę cię już więcej widzieć?

Karol spuścił oczy i wlepił wzrok w nagie stopy Marty.

– Nie dałaś mi nigdy szansy się wytłumaczyć.

– A teraz uznałeś, że godzina wpół do siódmej jest do tego najbardziej odpowiednią porą.

– Przyjechałem najszybciej, jak się dało. Jechałem od dwunastej w nocy z krótkimi postojami. Mogłem wyjechać dopiero tak późno, bo obiecałem mojej najstarszej, Magdzie, że spędzę z nią ten wieczór. Dla niej to było okropne przeżycie. Upiła się, biedactwo, i wymiotowała potem przez parę godzin. Nie mogłem jej zostawić samej. Musiałem doprowadzić ją do porządku. Sam też trzeźwiałem.

Marta teraz obejmowała się obiema rękami, gdyż cała dygotała.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja ci zaraz wszystko wytłumaczę. Mogę tylko najpierw do łazienki?

Oślupiała pokazała mu kierunek i czym prędzej zawróciła do sypialni.

Może ona była nienormalna, ale Mierzejewski z pewnością jej nie ustępował. Tylko że ona nie potrafiła się go pozbyć z domu. Na tyle przydała jej się asertywność i umiejętność zarządzania.

Zaczęła zdejmować szlafrok. Głos Karola spod drzwi sprawił, że niemal podskoczyła.

– Czy mogę się wytrzeć w twój ręcznik? Zmieniałem po drodze koło.

Nie mogę doczyścić rąk.

Czym prędzej otuliła się szlafrokiem i z gniewnym spojrzeniem obróciła się stawić czoło Mierzejewskiemu. Nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż znalazła się w jego objęciach. Trzepotała się w nich jak pochwycony motyl, ale po chwili przyłgnęła do jego ramienia. Przez chwilę wsłuchiwali się w bicie swoich serc, a potem Karol spojrzał jej prosto w oczy.

– Jechałem jak najszybciej, żeby ci o wszystkim powiedzieć. Wczoraj odbyła się rozprawa. Rozwiedliśmy się z Elą. Nie zdążyłem ci o tym wówczas powiedzieć. Ale teraz już nic nas nie dzieli. Nie ma niczyjej krzywdy.

Oczy Karola niemal wtapiały się w jej własne. O czym on mówił? Że się rozwiódł? Dlaczego ona nie potrafi się skupić? To nie tylko o rozwód chodziło, prawda? Były też przecież inne sprawy. Zaraz mu o nich przypomni. Nie wystarczy jej tylko takie wytłumaczenie.

– Kocham cię, Martuniu.

O czym mu powie? Że już dawno straciła nadzieję, że jeszcze będzie kogoś w taki sposób całować? Tak jakby chciało się oddać komuś całą swoją duszę... Gdy całe ciało pali od najdelikatniejszego dotyku jego ręki, a nogi zmieniają się w watę.

– Zostaw mnie. – Odskoczyła od niego jak oparzona, dotykając wierzchem dłoni pulsujących warg. – Nie mogę tu z tobą rozmawiać – wyjąkała, patrząc na jego zdziwioną minę.

– A ja muszę wiedzieć...

– Przejdźmy się na spacer – zaproponowała.

– Na spacer? – powtórzył za nią.

– Tak, na spacer. Nad morze.

O tak, tam powinno być o tej porze chłodno. Taka temperatura koi rozgrzane do czerwoności zmysły...

Aleś ty głupia, Marto, usłyszała nagle swój wewnętrzny głos. Czemu nie chcesz się z nim przespać? Zrobiłaś się nagle taka święta jak twoja matka? Wykorzystaj go teraz ty! Ale ty już tego nie umiesz, prawda? Bo znów zadurzyłaś się po uszy, tak jak wtedy w Jurku. Ale pamiętasz? Wtedy ci nie wyszło. Myślisz, że teraz będzie lepiej?

– Świetny pomysł – nieoczekiwanie ucieszył się Karol. –Pójdziemy nad morze i wszystko ci wyjaśnię.

Nad morzem było rzeczywiście chłodno i nawet dżinsowa kurtka nie potrafiła skutecznie chronić jej od wiatru. Karol jednak wydawał się odporny na zimno. Ku jej zdumieniu natychmiast po wejściu na plażę w Sopocie zrzucił spodnie i bez wahania ruszył na spotkanie z falami. A potem jeszcze bardziej zdziwiła się, widząc, jakim profesjonalnym kraulem odpływa od molo w kierunku Gdyni. Po chwili zanurkował i zniknął jej z oczu.

Zupełnie niepoważny facet. Jeszcze się utopi po nieprzespanej nocy!

Marta kręciła ze zdumienia głową, stwierdzając, że nagle jej życie stało się znów pełne niespodzianek i nieoczekiwanych zwrotów akcji. Karol wprawdzie nie zdążył jej jeszcze niczego wyjaśnić – przyjechali tu na jej żądanie dwoma samochodami – ale Marta uwierzyła, że to wyjaśnienie wkrótce nastąpi. I będzie ono przekonujące. Na palcach numerowała sobie sprawy, które Karol musi jej wytłumaczyć. To tak na wszelki wypadek, gdyby znów na jakiś czas pożegnała się z rozumem.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, ale prawie momentalnie znikł. Czy to było normalne? Te całe dwa męczące miesiące, które ulotniły się jak ręką odjął po jednym zdaniu Mierzejewskiego. I nic już się więcej nie liczyło?

Poczuła nagle rozczarowanie sobą, że jest aż tak emocjonalnie nieskomplikowana. Nie, nie. Wcale tak nie było. Nie była ani prosta, ani ufna. Karol musi jej wszystko dokładnie wytłumaczyć. Zwłaszcza swój romans z Alicją i przeniesienie do ministerstwa.

Marta podeszła do samej wody i rozejrzała się dokoła. Nigdzie, ale to nigdzie nie mogła dostrzec Karola.

Chyba nie mógł się utopić? A gdyby? Przecież doskonale wiedziała, że wystarczy jeden gwałtowny skurcz. Atak serca? Po nieprzespanej nocy...

Wiadomo, mężczyzna po czterdziestce. Wprawdzie kątem oka zauważyła, gdy się rozbierał, że bardzo schudł, więc pewnie zaczął uprawiać jakiś sport.

Ale może tym razem przesadził. Woda była zbyt zimna tego dnia. Nie. Tak nie może być. Nie on!

– Karol! – wrzasnęła z całej siły.

Dwaj trzydziestolatekowie biegnący wzdłuż plaży obejrzeni się przez ramię. Już chciała krzyknąć do nich, by wezwali pomoc, gdy nagle usłyszała za sobą:

– Jednak się o mnie niepokoisz. – Stał za nią i energicznie wycierał się ręcznikiem.

Musiał wyjść z wody po drugiej stronie moła i zejść od tyłu do pozostawionych na piasku ubrań.

– Tak, trochę – odpowiedziała, szcękając zębami.

– Dobrze, że choć tyle – odpowiedział, naciągając spodnie. – I zimno ci. A ja myślałem, że się przy tobie rozgrzeję.

I znowu ją pocałował. I znów był to pocałunek, po którym powinno się natychmiast pójść razem do łóżka. Więc Marta ponownie zapomniała o jakichkolwiek wyjaśnieniach.

– Nie było czym się chwalić. To dlatego ci o niczym nie wspominałem. I tak nie zwracałaś na mnie uwagi, więc gdybyś się dowiedziała, że jestem rogaczem, z pewnością nie zwiększyłoby to moich szans. Prawda, moja kochana?

– Nieprawda! – oburzyła się Marta i wyrwała rękę Karolowi, którą trzymał od blisko kwadransa.

Wykorzystał więc okazję i wepchnął do ust ostatniego croissanta. Po kąpieli miał ogromny apetyt. Podczas śniadania w „Grand Hotelu” zjadł już ich pięć. Marta przypatrywała się Karolowi. Piła tylko kawę, ale nawet płyn przepływał przez jej ściśnięte z emocji gardło z dużą trudnością. Nie podobało jej się, że Karol opowiada o swoim zakończonym związku małżeńskim tak lekkim tonem. Musiał wyczuć jej nastrój, gdyż nagle stwierdził: – Nauczyłem się o tym opowiadać jak o jakiejś obcej historii. Jeśli przez chwilę pomyślę, że jest to prawda i w dodatku taka, która przydarzyła się mnie samemu, od razu wypadam z roli.

Marta dotknęła ręką nadal wilgotnych włosów mężczyzny i delikatnie pogładziła go po skroniach. Karol przytrzymał jej dłoń przy policzku i pocałował ją.

– To było dla mnie jak grom z jasnego nieba. Stare, dobre, zgodne małżeństwo. Trójka dzieci. I nagle, półtora roku temu, żona zakochuje się w innym. Wierz mi, długo nie mogłem do siebie dojść.

– Dopóki Alicja cię nie pocieszyła – dodała złośliwie Marta.

– Ona też się wtedy rozwodziła. Ale nie, nie pocieszyła – odpowiedział twardo – gdyby tak było, bylibyśmy razem. Zrozumiałem wtedy, że szukam zupełnie czegoś innego i... kogoś innego. – Na szczęście złagodził ton, patrząc jej głęboko w oczy. – Jednak przez tyle czasu byłaś dla mnie tak dostępna jak księżniczka zamknięta w wieży.

– Karolu, ja jestem starsza od Alicji przynajmniej o trzynaście lat. – Marta postanowiła się popisać szczerym wyznaniem.

– Wiem, ile obie macie lat. Ja jestem jednak najstarszy. – Zaśmiał się i pocałował wewnątrz ręki swojej towarzyszki.

Gwałtowna fala gorąca spłynęła do dolnych partii ciała Marty.

– Uwielbiałem być twoim podwładnym. Chciałem spełniać twój każdy kaprys – opowiadał, bawiąc się jej palcami. – Wiem, że niektórzy mogliby przypuszczać, że jestem masochistą – mrugnął do Marty – no, ale cóż...

– Przecież cię nie biłam. – Marta z udawanym zdumieniem uniosła brwi.

– Zamiast tego kopałaś po kostkach. Od twoich obcasów mam uszkodzone wszystkie nogawki. Przez ciebie nigdy nie kupiłem garnituru Armaniego. Od razu by się zniszczył.

– Czyli wszystko dla masochizmu. To tego poszukiwałeś. Karol uniósł jej podbródek.

– Moja mądra pani doktor. Nie do końca ma pani rację. Och, wprowadziłem wiele różnych kryteriów ocen i przeprowadzałem analizy SWOT. Nie na wiele się one wszystkie przydały.

– Dlaczego niby?

– Bo i tak nagle znalazłem coś, czego się nie spodziewałem, czy raczej na co wcale nie liczyłem. Nie przypuszczałem nawet, że na coś takiego trafię.

– No proszę. A to coś to...

– Pasja, namiętność i miłość – wyrecytował Karol.

Marta zbladła. Wcale jej się to nie spodobało. To byłoby zbyt proste.

Trudno jej było uwierzyć, że mężczyzna, który ma uczciwe zamiary, może się do

tego stopnia odsłonić. Było w tym coś podejrzanego. Nagle zorientowała się, że siedzi z nim w hotelu już od paru godzin, a do tej pory rozmawiają w zasadzie o niczym. A chciałyby wiedzieć na przykład, dlaczego zdradził ją, przenosząc się do ministerstwa. Karol zamilkł, szykując się do odpowiedzi na to pytanie. W tej chwili zadzwonił telefon komórkowy Marty.

– Eryk? Wróciłeś już? Jeszcze nie wyjechałeś?

Patrząc na twarz Karola, Marta stwierdziła, że niepotrzebnie odebrała telefon od Borzewskiego. Jakoś niezręcznie się poczuła. Ale Eryk prosił ją o przysługę. Zepsuł mu się jego wspaniały samochód terenowy i chciał pożyczyć jej polo na wyjazdy do wykonawców.

– Oczywiście, że ci pożyczę. Mnie on teraz zupełnie niepotrzebny. Ale jak wrócisz, to wykorzystam cię przy zakupie mebli.

Eryk odpowiadał jej pogodnym, roześmianym głosem. Umówili się na następny dzień. Kiedy Marta skończyła rozmowę, zauważyła, że Karol wygląda na zirytowanego.

– Kim jest ten cały Eryk, co?

– Moim krewnym. Zajmowałam się nim, jak był dzieckiem.

– Ale teraz dorósł, co?

– Zazdrosny?

– Martunia, moja kochana. Ja nie chcę być już zazdrosny. To jest takie okropne uczucie – powiedział, biorąc ją za rękę.

– Proszę cię, pojedźmy do twojego domu i do tego łóżka, które widziałem po drodze do łazienki. Możesz mnie wykorzystać na tym meblu – powiedział, nawiązując do jej rozmowy z Borzewskim. – A potem za jakiś czas porozmawiamy.

No, przecież obiecał, że porozmawiają, mówiła do siebie Marta, kiedy Karol szukał kelnera, by zapłacić za śniadanie. Oczywiście musi go spytać o to jego zdradzieckie przejście do obozu Nagórskiego. Koniecznie powinna to zrobić. Ale... to dziwne. Kiedy mieszkała w Warszawie i była wiceprezesem agencji, intrygi ministra wydawały jej się sprawą wielkiej wagi i godną zainteresowania. A teraz, dwa miesiące po zakończeniu dotychczasowej kariery, problemy te oddaliły się od niej. Co ją



obchodził ten cały Nagórski? I co z tego, że Karol pracował teraz dla niego? Pewnie i słusznie, skoro ona sama opuściła agencję. W tej chwili interesowało ją zupełnie co innego.

Spojrzała na zbliżającego się Karola i musiało to być bardzo wymowne spojrzenie, bo jego reakcja była natychmiastowa.

– Idziemy razem natychmiast na bok, może do toalety –energicznie wziął ją pod ramię. – Męskiej lub damskiej. Sama wybierz. Do tego Wrzeszcza jest za daleko.

Marta zdążyła się roześmiać – pochlebiała jej ta jego gotowość – kiedy tym razem telefon zadzwonił do Karola. Chciał go wyłączyć, ale nagle zobaczył imię dzwoniącego.

– Magda?

Tak chyba miała na imię jego córka.

– Żartujesz chyba? – Zatrzymał się nagle przed wyjściem z restauracji.

Nagle z całej siły uderzył ręką w futrynę.

– Żartujesz! Nie możesz go złapać? – Słuchał przez jakiś czas podniesionego żeńskiego głosu.

Marcie wydawało się, że Magda płacze.

– Skarbie, musicie sobie poradzić. – Zerknął na zegarek. –Będę w domu za cztery godziny, dobrze?

Wyłączył rozmowę i stał przez chwilę, patrząc przed siebie w zupełnym osłupieniu.

– Coś się stało, tak?

Karol przez chwilę milczał, a potem przesunął ręką po włosach, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Z Elą dzieje się coś złego. Ma okropne bóle. Magda zaczęła histeryzować, bo nie wie, co ma robić. Ten cały... facet Eli jest za granicą z wykładami. Będę musiał wracać. Jasna cholera! – Popatrzył na Martę z tak ogromnym smutkiem w oku, jakby to ona sama była autorką tych wszystkich nieszczęść.

I wtedy Marta zrobiła kolejną nietypową dla siebie rzecz. Zbliżyła się do Karola i objęła go na samym środku hotelowego foyer.

– Kocham cię i nie chcę nigdzie jechać. Co za pioruński pech!

Poczuła na szyi jego pocałunki.

– Nie przejmuj się. Innym razem – odpowiedziała Marta, której w tym momencie przypomniało się pożegnanie z Jurkiem i czynione sobie wówczas obietnice na przyszłość. Przypominało to scenariusze filmów, w których ukochany wyrusza na wojnę/wyprawę/do pracy i podczas sceny pożegnania obiecuje swojej miłości małżeństwo/dziecko/ kupno nowego stereo po powrocie. Oczywiście z różnych przyczyn nie udaje mu się wrócić, gdyż raz po raz coś mu staje na przeszkodzie. Tu scenariusze są bardzo pod tym względem pomysłowe. Nie, w tym wypadku tak nie będzie, postanowiła sobie, i kiedy Karol spytał, kiedy się zobaczą, odpowiedziała natychmiast: – W przyszłym tygodniu będę w Warszawie. Przyjeżdża moja bratanica. Wynajmuję jej mieszkanie na lato.

–I zostaniesz na dłużej, dobrze? Nie zdążyłem ci nawet powiedzieć, że ja teraz też mam własne mieszkanie. No może nie do końca własne, ale zupełnie niedaleko od ciebie. To było w zasadzie główne kryterium wyboru – powiedział Karol i ponownie dotknął ustami skrawka nagiej skóry na szyi Marty.

– Może...

Marta spędziła ostatnich osiem lat samotnie. Nie było jej z tym źle, mogłaby nawet pokusić się o stwierdzenie, że lubiła ten stan, w którym nie musiała się dzielić władzą. Nie usiłowała go zmieniać, bo po prostu nie spotkała na swojej drodze nikogo, na kim by jej zależało. Jednak teraz, kiedy okazało się, że ona i Karol stanowią dla siebie źródło obopólnej fascynacji, nie było sensu tracić czasu na zbędne uniki. Przez ułamek sekundy chciała nawet powiedzieć Karolowi, że pojedzie razem z nim, ale potem przypomniała sobie o spotkaniu z Erykiem.

– Najgorsze jest to, że znowu nie porozmawialiśmy. A to są sprawy, o których nie chciałbym dyskutować przez telefon komórkowy – mówił Karol, prowadząc ją pod ramię do parkingu. – Wiem, że byłaś na mnie wściekła za Nagórskiego.

– Mało powiedziane. Chciałam cię rozszarpać, jak się o tym dowiedziałam.

– To powinno się było inaczej potoczyć. Boję się, że popełniłem poważny błąd. To jest dłuższa historia.

Doszedłszy do samochodów, Karol odwrócił się twarzą do Marty i oparł dłonie na jej ramionach.

– To może usiądziesz w moim wozie i porozmawiamy?

– Karolu, to nie ma już teraz znaczenia. Musisz jechać. Nie wiadomo, co tam się dzieje. I uważaj na siebie.

– Nie chcę nigdzie jechać – powiedział, całując ją po raz ostatni, a kiedy Marta na siłę wepchnęła go do samochodu, podkreślił szybko i mrużąc oczy, szepnął: – Kocham cię.

Odjechał, a Marta miała łzy w oczach. Ta scena, a wcześniej rozmowa z Mierzejewskim toż to był absolutny życiowy kicz. Ale to właśnie jest piękne, rozmyślała. Nic nie jest piękniejsze w życiu od absolutnego kiczu. A przy udziale średnio przystojnego mężczyzny w średnim wieku i średniego wzrostu nabierał jeszcze dodatkowej intensywności. Łzy Marty przeszły w śmiech. Śmiała się do siebie przez całą drogę do Wrzeszcza.

## ROZDZIAŁ 12

– Jak to? Nie będzie cię w Gdańsku na twoich urodzinach? – matka mówiła tym swoim spokojnym, ale lodowatym tonem, od którego przebiegały ją ciarki.

Marta stwierdziła, że matka nigdy nie zamieni się w pogodną i ciepłą staruszkę. Mimo swego podeszłego wieku zachowała niezmienny charakter i umiejętność wzbudzania respektu i posłuszeństwa choćby samym głosem. Tym razem jednak Marta stanęła okoniem i oparła się jej woli.

– Nie, mamó. Najprawdopodobniej mnie nie będzie. Najpewniej zostanę w Warszawie.

– No wiesz! Jak możesz zrobić to własnemu bratu?!

– Przecież nie każde urodziny spędzaliśmy razem. Czasem on nie mógł.

– Bo akurat był w rejsie.

– Nieprawda. Dwa lata temu Jola zmusiła go do wyjazdu do Turcji w tym terminie.

– Ach, Jola – zachnęła się Wentowa. – Chcesz się zachowywać jak ona?

– Marcinowi to widać odpowiada.

Matka ciężko westchnęła. Rozmowa potoczyła się inaczej, niż tego oczekiwała. Potknęła się na tej Joli. Marta dobrze wiedziała, że matka nie znosi synowej, mimo iż stara się tego nie okazywać. Jednak brak jakiegokolwiek opinii czy komentarza na temat Jolki był już wystarczająco wymowny. Marta nigdy nie była w stanie zrozumieć, dlaczego matka zgodziła się aż tak długo mieszkać z synem i synową i opiekować się ich dziećmi. To musiało być ponad jej siły. Nic dziwnego, że uciekła do Kalifornii przy pierwszej okazji.

– Marcin wybrał, jak sam chciał. Nikt mu niczego nie sugerował. Ty też rób, jak chcesz – odpowiedziała matka i otworzyła książkę Mauriaca, dając tym samym znak, że posłuchanie dobiegło końca.

Marta wzruszyła ramionami i poszła do kuchni zaparzyć kawę. Przez chwilę

zastanowiła się nad słowami matki. Rzeczywiście tak było, jak mówiła. Nigdy ani nie skrytykowała, ani nie potępiła decyzji syna o ożenku.

A była ona zarówno zaskakująca, jak i pospieszna. Marcin poznał Jolkę tydzień po powrocie z rejsu Chrobrym, a po miesiącu znajomości był już z nią zaręczony. Marta opłakująca w tym czasie swoją miłość do Jurka dopiero na samym ślubie spostrzegła, jak płytką i mało rozumną osobą jest jej bratowa. Było już więc za późno na jakiegokolwiek ostrzeżenie brata.

Marcin jednak wcale nie zamierzał się z nią konsultować. Nawet nie zapytał jej o zdanie. Początkowo Marta uważała, że to ona, przepełniona skrywaną rozpaczą i żalem, nie zachęca do zwierzeń, ale później zorientowała się, że ta niechęć do rozmowy wypływała ze świadomej decyzji Marcina. Po kilku miesiącach widać było już jasno. Od czasu rejsu Chrobrym jej brat się zmienił. Posmutniał i mimo młodego wieku jakby poszarzał. Już nie zależało mu na przyjaźni siostry. Marta trzymająca w tajemnicy związek z Jurkiem nie miała nawet moralnego prawa do krytyki brata i domagania się większego zaufania. I tak się stało. Ich bliźniacze dusze się rozczepiły.

Pozostał im jedynie wspólny dzień urodzin. A ten w tym roku Marta zamierzała spędzić wraz z Karolem Mierzejewskim.

Dzwonek do drzwi wyrwał Martę z zamyślenia. Z niespodziewaną wizytą wpadli Teresa i Stefan. Jej starsza siostra wyglądała jak zwykle doskonale. Granatowa sukienka z krótkim rękawem, włosy świeżo po farbie i ładnie podcięte. Stefan, który zajął fotel przy Piotrze, powiódł za żoną dumnym spojrzeniem, ale już za chwilę zaczął dyskusję ze szwagrem na temat swojego odkrycia, ziela „herbarii”. Ponownie próbował go namówić do rozpoczęcia kuracji przy użyciu tego specyfiku. Piotr, naukowiec uzależniony od „twardej” medycyny, patrzył na niego sceptycznie, traktując go niemal jak szarlatana. Poza tym był chyba zirytowany, że ktoś przeszkadza mu w oglądaniu telewizji i twarzy premiera, która tego dnia wyjątkowo wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

– Pomogę ci zrobić picie – zaproponowała Teresa i poszła za siostrą do kuchni. – A teraz mów! – rozkazała tak zdecydowanym tonem, że Marcie zdejmującej porcelanę z półki zadrżała nagle ręka.

– Co mam mówić?

– Już ja dobrze wiem. Przecież ślepy by zauważył, że inaczej wyglądasz. Aż od ciebie promieniuje. Coś się musiało zdarzyć.

Marta uśmiechnęła się do siostry. Ale jak ona mogła jej opowiedzieć o tym „absolutnym kiczu”, którego doświadczyła?

– Czyli się wytłumaczył – ucieszyła się Teresa.

– Jest już rozwiedziony. Jego żona ma innego. To taka nie-prawdopodobna historia. Po latach podjęła przerwane studia i zakochała się w swoim wykładowcy.

– Jakie to piękne! – rozczuliła się Teresa. – A dzieci?

– Dzieci są potwornie stare. Wszystkie na studiach. Do ojca żadnych pretensji nie mają.

– Tuńka, jestem taka szczęśliwa, że się wszystko wyjaśniło.

– Jeszcze nie wszystko, ale chcę pojechać do niego w czwartek.

– A urodziny?

– No właśnie. Mama się obraziła.

Jeśli były w życiu Teresy priorytety, to ich lista zaczynała się od słowa „miłość”. Dlatego też powiedziała od razu:

– Nie szkodzi. Jedź do niego.

– Dobrze robię?

– Tak, wreszcie dobrze robisz. Kochana, daj wreszcie sobie jakąś szansę. Wyjdź za niego za mąż, a nam wyślij tylko informujący telegram.

Bądź w końcu bardziej impulsywna i spontaniczna.

– Ale ja taka nie jestem.

– Głupstwa. Przecież taka byłaś. Szkoda, że to było tak dawno temu.

Boersowie zawieźli Martę do domu o ósmej wieczorem. Jej samochód był u Eryka aż do środy. W czwartek wybierała się do Warszawy na spotkanie z Mary, a potem z Karolem. Od dawna na nic tak nie czekała.

Tym razem będą mieć dużo czasu dla siebie, bo zdecydował się nawet wziąć urlop w piątek. Nie powinno być żadnych przykrych niespodzianek, tym bardziej że z Elą

wydawało się już wszystko w porządku.

Kiedy Marta weszła do mieszkania, przypomniały się jej słowa Teresy o jej promiennym wyglądzie. Podeszła więc do lustra, chcąc się przekonać, czy odpowiadają prawdzie. E tam, głupota, wyglądała tak samo jak zawsze.

Wychudła trochę przez swój chorobowy stan i kości policzkowe bardziej się zaznaczały. Czy wyglądała na czterdzieści dwa lata? Zależy pewnie, z kim porównać. Jeśli z Sharon Stone, to jak najbardziej, a jeśli z prądką indyjską, to była pewnie bajecznie młoda. Do tej pory przemijanie czasu jakoś jej nie przerażało. Jej koleżanki reagowały inaczej. Biegały na przeróżne zabiegi, próbując zatrzymać to, co nieuchronne. Marta aż do zakochania się w Karolu nie zwracała uwagi na swoją fizyczność. Oczywiście dbała o odpowiednią fryzurę, paznokcie, schludny strój, ale na tym się kończyło.

Nawet nie myślała, że może stać się jeszcze dla kogoś pociągająca. Ale teraz to się zmieniło. Pragnęła, by Karol uważał ją za najwspanialszą kobietę swego życia.

Pochyliła się w stronę lustra i dotknęła zmarszczek powstałych w kącikach oczu i tych, które coraz bardziej zarysowywały się po obu stronach ust. Alicja takich nie miała. Karol, starszy od Marty o rok, mógł mieć którąkolwiek z nich. Był dla nich jednakowo atrakcyjny. Gdyby natomiast Marta spotkała mężczyznę trzynaście lat młodszego, byłaby dla niego... niewidzialna. Jakie to wszystko niesprawiedliwe w tym życiu, uderzyła lekko pięścią w lustro.

Głupstwa. Musi przestać się mizdrzyć do siebie, tylko w końcu zająć się czymś sensownym. Tyle czasu ostatnio straciła, zupełnie się zaniedbując umysłowo. Włączyła laptopa i zaczęła przeglądać swoje stare notatki. Od pewnego czasu chodził jej po głowie pomysł napisania podręcznika dotyczącego tworzenia projektów unijnych. Może powinna się do tego zabrać.

Albo sporządzi teraz listę firm i instytucji, z którymi mogłaby się skontaktować w sprawie pracy. To też był dobry pomysł.

Zakończyła poszukiwania już po jedenastej, ale nadal nie czuła się zmęczona. Rozsiadła się więc wygodnie w fotelu, by przeczytać nagromadzone gazety. Wcześniej nie mogła się przemóc, ale od dwóch dni ponownie zaczęła kupować prasę

codzienną. Przebiegła szybko wzrokiem dział gospodarczy „Nowin Dnia”. Od kiedy w gazecie zmieniło się kierownictwo i pozbyto się najlepszych dziennikarzy, dziennik stał się mało wartościowym szmatławcem.

„Gazeta” poświęcała dużo uwagi wzrastającym cenom nieruchomości. Zamieszczono w niej nawet rozmowy z dwoma intensywnie inwestującymi deweloperami. Wypowiadali się podobnie entuzjastycznie jak Eryk. Wydawało się, że przez najbliższy czas cała ich branża będzie kuć żelazo póki gorące.

Nie miała czasu porozmawiać dłużej z Borzewskim, kiedy podjechał, by pożyczyć od niej samochód. Był bardzo zaaferowany jakimś nowym kontraktem i tylko się do niej uśmiechnął, kiedy zapytała, jak poszło mu w Szwecji z Marią. „Wydaje mi się, że wszystko jest na dobrej drodze”, skomentował.

– A czy list pomógł? – spytała.

– Oczywiście. Inaczej byśmy się nie porozumieli.

– No i co ona na to? Uśmiechnął się.

– Dobrze wiesz, Marto. Sama mi radziłaś. Muszę trochę poczekać.

Mam rację?

– Chyba tak – odpowiedziała i na do widzenia pocałowała go w policzek. Pochylił w jej stronę głowę i pocałunek wyszedł w sam kącik ust.

Eryk uśmiechnął się do niej.

– W czwartek przywiozę twoje czerwone cacko. Dasz się wówczas zaprosić na kolację?

Musiała odmówić z powodu wyjazdu do Warszawy i miała dziwne wrażenie, że Eryk jest bardzo zawiedziony.

Pochłonięta myślami dopiero po dłuższym czasie zorientowała się, na jaki patrzy artykuł. Dziwne, że od razu go nie zauważyła, choć nie był ani najdłuższy, ani najbardziej wyeksponowany grubymi literami. Ale był!

Od dawna oczekiwany MAMY WRESZCIE KONTRAKT GAZOWY

A poza tym „na zdjęciu minister gospodarki Radosław Nagórski podpisuje umowę w imieniu rządu”.

Marta w zadumie patrzyła na uśmiechniętą twarz ministra. Ha, czyli udało mu się



go podpisać. To był ten sam kontrakt, do którego nie chcieli dopuścić ten wysoki urzędnik z kancelarii premiera i jego towarzysz, których podsłuchała w Sheratonie. Jednak ich intryga nie wypaliła, między innymi za jej sprawą. Nagórskiego nie odwołano, a kontrakt, jak sama widzi, został podpisany. Czyli minister zamiast dostać kopniaka w tyłek, pozostał w rządzie, a nawet przeforsował swój kontrakt. Czy to właśnie jej osobista interwencja odniosła taki skutek?

Marta patrzyła przez chwilę na artykuł, po czym wróciła do stolika, gdzie leżał laptop. Włączyła go ponownie i wyszukała strony dotyczące kontraktu. Najstarsze wzmianki pochodziły jeszcze z czasów kampanii wyborczej. Nagórski, który postawił wówczas na rządzącą dzisiaj partię, obiecywał zupełną zmianę polityki paliwowej i negocjowanie lepszych warunków z tradycyjnymi dostawcami. I wówczas po raz pierwszy wspominał o tym kontrakcie, który miał uzupełnić umowy długoterminowe i zapotrzebowanie kraju na gaz. Studiując strony internetowe gazet, Marta odkryła, że na dwa tygodnie przed rozmową w Sheratonie krytycznie na temat kontraktu napisała „Gazeta”. Nagórski odciął się wówczas dziennika-rzowi, komentując, że gazu nie zakupuje się w Rotterdamie i na jego specyfice zakupów należy się dobrze znać. Kontrakty przygotowuje się całe miesiące czy nawet lata.

Jeśli tak było, pomyślała Marta, to wobec tego przygotowanie kontraktu mogło rozpocząć się już za poprzedniego rządu, czyli zupełnie innej opcji politycznej. Hm, bardzo ciekawe! Wstukała więc z kolei w wyszukiwarkę nazwisko ministra. Zaroilo się od stron. Nadmiar informacji powoduje absolutną dezinformację, stwierdziła po raz tysięczny i zaczęła wchodzić w strony, począwszy od tych, które wyglądały na najwcześniejsze.

Sprawdziła też oficjalny życiorys polityka. Do PZPR nie należał, był doradcą premiera w połowie lat dziewięćdziesiątych, potem przewinął się przez prezydencką kancelarię, ale podobno z powodu różnicy zdań rozstał się z nią po upływie paru miesięcy. Na rok przed wyborami stał się głównym doradcą gospodarczym lidera partii rządzącej, a potem... wiadomo.

Przy przeszukiwaniu stron z nazwiskiem ministra ukazało się kilka innych z innym imieniem. Maciej Nagórski, prezes firmy Carpetoland, zajmującej się handlem

dywanami i wykładzinami. Nigdy do tej pory Marta nie uważała, że jeśli ktoś nosi takie samo nazwisko, to musi być z tym kimś spokrewniony. A może powinna była? Dopiero teraz zaskoczyła, że być może ten cały Maciej, mąż koleżanki Teresy, jest krewnym ministra.

Marta spojrzała na zegarek. Było bardzo późno, ale postanowiła spróbować. Usiadła w fotelu i zadzwoniła do Teresy. Na szczęście siostra nie spała. Ale nie była zbyt zadowolona z tego przepytывania.

– Tunia, co tobie chodzi po głowie. Daj sobie spokój z tym ministrem.

Po co ci on? O czym innym powinnaś teraz myśleć. Zadzwoń lepiej do tego twojego zastępcy. On pewnie za tobą tęskni. – Marta przewróciła oczami.

Ach, ta jej siostra! Emocjonalnie wieczna nastolatka.

– Nie zadzwonię do niego, bo przygotowuje dziś kolację dla swoich dzieci. Ma zamiar im powiedzieć, że kogoś spotkał. No wiesz... żeby się nie zdziwili, jak zobaczą nas kiedyś razem na ulicy. Ale powiedz mi lepiej, czy ty coś wiesz o tym Nagórskim.

Teresa niewiele o nim wiedziała, jednak przypuszczenie Marty okazało się trafne. Minister Nagórski był bratem Macieja, znajomego Teresy.

– Od kiedy Iza i Maciek przenieśli się do Warszawy, mamy jedynie sporadyczne kontakty – opowiadała. – Ostatni raz pisali na święta, że chcą wpaść do nas latem na parę dni z dziećmiakami.

Marta przymknęła oczy i cierpliwie czekała, aż jej siostra zakończy temat niewidzianej od dawna czwórki pociech Nagórskich. W końcu Teresie przypomniało się, czego dotyczyło pytanie.

– Iza mi kiedyś o nim wspominała. Podobno, zanim się drugi raz ożenił, próbował swoich szans u niej. Wiesz, ten facet od tej afery Halmana, no jak on się nazywa... Raniecki, tak Raniecki... To on był kumplem Nagórskiego jeszcze w czasach studenckich.

Marta też miała dużo byłych kumpli ze szkół. Jeden z nich, kiedyś nawet miły chłopak, odsiadywał teraz wyrok za morderstwo. Zakończyła rozmowę, życząc Teresie „dobrej nocy”. Zapewne taka będzie po filizance „herbarii” pomyślała nieco

złośliwie i w tym samym momencie telefon zadzwonił jej w rękach.

– Tunia, jeszcze coś – mówiła Teresa. – Był jeszcze jeden. Adam Ołumski się nazywał. Iza z nim najpierw chodziła.

Jakaś niesłychanie kochliwa dziewczyna, pomyślała Marta.

– Miał firmę komputerową w Trójmieście, takie gdańskie Art B – ciągnęła siostra.  
– Uciekł za granicę dawno temu. On też miał do czynienia z Nagórskim.

Zastanawiające, że już po jednym telefonie zaczynały docierać do niej ciekawe informacje. Ale czy to możliwe, żeby Nagórski został ministrem, jeśli był wcześniej umoczony? Przecież ta partia miała zerwać z niechlubną przeszłością, zachichotała nerwowo. Można się było jedynie zastanawiać, czy to ludzie potracili pamięć, czy rzeczywiście nie było żadnych śladów dawnej działalności Nagórskiego. A może... a może z wyjątkiem niej samej nikogo to naprawdę nie obchodziło?

Marta postanowiła sprawdzić te „nowe” nazwiska następnego dnia.

Zanim wstała z fotela, ponownie zadzwonił telefon.

– Jesteś sama? – zapytał Karol.

Z początku chciała mu opowiedzieć o swoich poszukiwaniach i domysłach, które zaczęły się lęgnąć w jej głowie, ale po chwili stwierdziła, że nie są to sprawy, o których chciałyby mówić przez telefon komórkowy. A poza tym... poza tym to wolała poruszyć z Karolem inny temat.

– Tak, jestem sama.

## ROZDZIAŁ 13

Marta stała na Okęciu, wpatrując się w rozsuwane drzwi, za którymi za chwilę miała pojawić się Mary. Spojrzała na zegarek. Wszystko odbywało się w imponującym tempie.

Z emocji bardzo źle spała tej nocy i wreszcie o świcie postanowiła zakończyć męczarnię. Dopiero dochodziła piąta rano, gdy Marta znalazła się już na Elbląskiej, na warszawskiej drodze. Przez ten przedwczesny start miała teraz mnóstwo czasu do zagospodarowania. Po przygotowaniu mieszkania dla wakacyjnych gości i włożeniu do lodówki porcji jedzenia wystarczającej na parę dni postanowiła wykorzystać dodatkową godzinę na pójście na basen.

Wreszcie wróciła do swoich cotygodniowych praktyk. No i oczywiście już na samym początku stwierdziła, że jest w kiepskiej formie. Przepłynęła jednak osiemdziesiąt długości basenu i przed dwunastą zameldowała się u swojej ulubionej fryzjerki, potrafiącej doprowadzić jej włosy do przyzwoitego stanu. Po powrocie do domu przebrała się w letnią dość krótką spódnicę, która po kilku latach spoczynku w szafie znów na nią pasowała.

Do tego dodała bluzkę, która zbyt śmiało pokazywała dekolt i w związku z tym nie nadawała się na ubranie do pracy, i pewnie dlatego nigdy nie była noszona. Buty za to lśniły nowością. Tym razem wybrała model sandałków z trochę niższym niż zazwyczaj obcasem.

A makijaż? Nie zrobiła żadnego makijażu! Po zawiezieniu Mary na Kabaty musi pamiętać o skropieniu się Allure i dyskretnym umalowaniu.

Nie pomyślała również o rezerwacji w knajpie na obiad z Mary i jej koleżanką. O czym ona ma z nimi rozmawiać? Może Karolowi udałoby się urwać z pracy, by się z nimi spotkać? Tak byłoby najlepiej, gdyż wieczór, mimo radości ze spotkania z bratanicą, chciałyby spędzić wyłącznie z Mierzejewskim. Jakoś musi wytłumaczyć Mary, że nie będzie nocowała na Kabatach. Dla takiej młodej dziewczyny relacje seksualne osób po czterdziestce są zapewne bardzo nieprzyzwoite. Ale co tam Mary!

Marta dobrze pamiętała kolację sprzed siedmiu lat, kiedy Teresa przedstawiła jej Stefana. Zrozumiała wówczas nagle, że jej siostra musi sypiać z tym starszym brodatym facetem. Zresztą nietrudno było na to wpaść, widząc, jak się do siebie cały czas tulą i trzymają za ręce. Marta, wtedy w seksualnej abstynencji od ponad roku, czuła się bardzo skrępowana. Teresa miała przecież czterdzieści cztery lata! A Boers... jeszcze więcej. Jak to zmienia punkt widzenia – w jej osobistym, teraz już czterdziestodwuletnim przypadku, myślała Marta.

Nagle drzwi się otworzyły i do holu wysypała się cała grupa objuczonych licznymi bagażami podróżnych.

– Ciocia?

Młoda szatynka stanęła tuż koło niej. Ależ się zamyśliła, nie poznała nawet bratanicy. Ostatni raz widziała ją trzy lata temu i trzeba przyznać, że dziewczyna wyładniała. Miała delikatne rysy swojej matki. Wycalowawszy Mary, Marta zauważyła nagle, że stoi przy nich tyczkowaty chłopak.

Wyglądał na parę lat starszego od jej bratanicy.

– Hi. To znaczy cześć. Jestem Mark, to znaczy Marek. Ty jesteś Marta? To znaczy pani? – wydukał zaczerwieniony jak burak.

– Dzień dobry, Marku – odpowiedziała i rozbawiona obserwowała, jak chłopak niezdarnie próbuje pocałować ją w rękę. Stary polski obyczaj, ha!

– Twoja koleżanka jeszcze nie wyszła? – Marta zaczęła się rozglądać.

Teraz z kolei Mary poczerwieniała na twarzy.

– Ciociu... ja nie jestem z koleżanką, tylko z Markiem. Jego mama jest Polką. Z Krakowa. A tata Amerykaninem. Będziemy razem na praktyce.

– Rozumiem, że razem zamieszkacie u mnie na Kabatach – próbowała wyjaśnić Marta.

– Jeśli się zgodzisz.

Resztę mówiła szeptem, idąc przy niej w kierunku wyjścia. Mark, to znaczy Marek, zajmował się dźwiganiem walizek.

– Błagam cię, nie wydaj mnie przy babci i ojcu. Oni by się bardzo zdenerwowali, że mieszkam z mężczyzną bez ślubu. Wiesz, oni są tacy... święci.

Ciocia Marta, wkrótce przysłała grzesznica, uśmiechnęła się do bratanicy z

ogromnym pokładem tolerancji i zrozumienia. Było teraz jasne, że szybko się porozumieją, by sprawa, kto u kogo nocuje, nie została poruszona na forum rodzinnym.

Młodzież po zakwaterowaniu w mieszkaniu Marty, które wzbudziło entuzjastyczne cmokanie Marka, okazała się wygłodniała. Odrzucili jednak propozycje o charakterze narodowo–regionalnym i wybrali sushi. Karol nie mógł im towarzyszyć. Wypadło mu coś pilnego, ale obiecał, że przyjdzie do restauracji później. Zawiozą wówczas „dzieci” do Marty, a sami zajmą się sobą, prawda, Martuniu? Nie można było się z nim nie zgodzić.

– Zeznawaj, Maryśka, co się dzieje, bo sama chyba wiesz, że znajdę się w krzyżowym ogniu pytań – mówiła Marta, nakładając sobie na talerz kolejne maki.

– Nic takiego wielkiego. Poznaliśmy się na studiach i jesteśmy ze sobą już prawie od dwóch lat.

– Dokładnie od dwudziestu dwóch miesięcy i pięciu dni – wtrącił się biegły w arytmetyce Marek.

Oboje byli prymusami, ale już pod koniec studiów uznali, że nie chcieliby natychmiast po ich ukończeniu dać się zagnać do kieratu.

Postanowili, że muszą poznać Prawdziwe Życie.

Marta westchnęła lekko. Widziała jednak, że Mary jest szczerą i nie ma w tych słowach cynizmu. Mimo starannego wykształcenia była przecież jeszcze bardzo młodą kobietą. Wybór Polski był oczywisty ze względu na ich pochodzenie. Dobrze zawsze sprawdzić, jak wyglądałoby ich życie, gdyby właśnie tu się urodzili. To ma być taki pierwszy eksperyment.

– Pierwszy – zdziwiła się Marta. – A praktyka w Nowym Jorku?

– Powiedziałam im, że muszę mieć trochę przerwy, żeby być pewna swojej przyszłości.

–I?

– Odpowiedzieli, że mnie rozumieją. W pracy Marka się nie zgodzili, ale postanowił jechać mimo wszystko. Nie chce dać się zasufladkować.

Marek wziął Mary za rękę, a ona się do niego przytuliła.

– Bardzo ci dziękujemy, że zgodziłaś się użyczyć nam mieszkania.

Będziemy o nie dbać – powiedziała.

– Tylko pamiętajcie. Jak będzie jakakolwiek wpadka z twoim ojcem lub babcią, to ja, jak Piłat, umyвам ręce – zaznaczyła Marta. – I ogłaszam swoją niewiedzę.

Nagle drzwi restauracji otworzyły się i do środka weszło parę osób w garniturach.

– A teraz nie odwracajcie się, ale za chwilę sami go zobaczycie.

Przyszedł wielki amator sushi – powiedziała z uśmiechem Marta. – Premier tego kraju! – Zadowolona obserwowała ich zaskoczone miny.

Kiedy Marta wyszła na chwilę do toalety, pojawił się Karol i zdążył się już zaznajomić z Mary i jej chłopakiem. Zbliżając się do stolika, już z daleka słyszała gromkie salwy śmiechu.

– Skąd wiedziałeś, że to oni? – spytała, kiedy pocałował ją w policzek.

A jednak się spotkali! Żaden czarny scenariusz nie zepsuł im tego.

– Mam nosa.

I dobrą wodę kolońską, stwierdziła, czując typowe ściskanie w okolicach żołądka, które zagłuszało intelekt. Z półuśmiechem słuchała prowadzonej przez Karola rozmowy. Robił to z dużą lekkością i znanstwem młodzieżowych tematów. Już po paru minutach oboje patrzyli na niego z uznaniem. Z pewnością to dlatego, że ma dzieci w ich wieku, pocieszała się Marta. Jakby w odpowiedzi na jej myśli Karol zakończył spotkanie: – To wobec tego umowa stoi. Umawiamy się u mnie. Moja Magda jest w waszym wieku. Kończy teraz prawo.

– Świetnie – ucieszył się Marek.

– Pewnie z przyjemnością wam pomoże się rozeznać, dokąd pójść.

Po chwili już siedzieli w samochodzie – Karol na siedzeniu przy niej – i jechali w kierunku mieszkania Marty. Cały czas zastanawiała się, jak powiedzieć młodym, że nie zamierza nocować wraz z nimi. Nie zdążyła jednak niczego wymyślić, gdy Mary z kodem do domofonu w ręku wyskoczyła z wozu. Podeszła do przodu polo i gdy Marta zaczęła odpinać pas, by wysiąść, bratanica ją zatrzymała.

– Damy sobie radę, ciociu. A babci o niczym nie powiem – powiedziała, mrużąc oczy.

Było oczywiste, o czym miała nie mówić, więc Marta tylko zachichotała nerwowo i powiedziała, że zadzwoni do nich następnego dnia w południe.

- I jak? – spytał Karol, pokazał Marcie kupione na kredyt mieszkanie.
- Nie jest oczywiście tak idealne jak twoje...
- Jest... szalenie przytulne.

I w dużym stopniu zagracone. Wszędzie pełno książek, płyt CD, filmów, gazet, ale i różnych zabawnych ozdób. Na ścianie w pokoju urządzonym na gabinet wisiał plakat Sarah Brightman, ale na biurku znajdowało się zdjęcie Marty w ramce. Nawet ładna fotografia, więc nie powinna mieć pretensji o kradzież wizerunku. Zapewne pochodziła ze zdjęć robionych na służbowych wyjazdach. Ach, było jeszcze jedno. Ona i Karol stoją na konferencyjnym podium. Pewnie na skutek obróbki w Photoshopie Marta wygląda na niższą niż w rzeczywistości. Być może to, co widziała, było jedynie tymczasową wystawą, zorganizowaną specjalnie dla jej oczu, ale musiała przyznać, że się ucieszyła. Uśmiechnęła się do Karola i pokręciła lekko głową. Objął ją ramieniem.

– Moja Magda pomogła mi się tu urządzić – oznajmił z dumą. – Chłopcy przyszli tu raz na jedzenie i nawet po sobie nie odnieśli talerzy! – Karol uniósł oczy do góry. – Zupełnie niewychowani smarkacze.

– Powiedziałeś im, że masz zamiar spotykać się z obcą kobietą? – spytała, wstrzymując dech w piersiach.

– Tak. Dla chłopaków to jeszcze teoria, dopóki cię nie zobaczą, a Magda... jest trochę zdezorientowana. Jeszcze dwa lata temu nic nie zwiastowało tej nawałnicy emocji, które przewaliły się przez nasz dom.

– A jak twoja żona? Lepiej się czuje? – W końcu sprężyła się na tyle, by zadać to pytanie.

Karol nie zareagował na „żonę”. Podeszedł do stolika i chociaż było jeszcze zupełnie widno na dworze, zapalił małe świece. Marta liczyła uderzenia serca. Może się rozmyślił. I teraz... będzie musiała pójść spać do hotelu!

Kiedy w końcu obrócił się w jej stronę, nie było już żadnych wątpliwości, gdzie zanocuje tej nocy.

– Wiesz, Ela nie czuje się najlepiej. Ale czego to można wymagać, kiedy jest w ósmym miesiącu ciąży. I ma czterdzieści trzy lata.

– Ona... ona jest w ciąży? – Marta była tak oszołomiona, że osunęła się na



ustawiony obok stolika ogromny fotel.

– Jak najbardziej. Już wiadomo, że to chłopak – odparł Karol i uśmiechnął się naprzeciw niej.

Narzeczony Eli, czy też inaczej jej kochanek, był ze swego przyszłego ojcostwa niesłychanie dumny, gdyż do tej pory nie był żonaty. Ela, zachodząc w ciążę, zakończyła wszelkie dyskusje w jego rodzinie, która z początku była bardzo przeciwna, by ich syn wiązał się z zamężną kobietą i matką trójki dorosłych dzieci. Było już jednak po wszelkich wyrzutach i skandalach i wszyscy biegali teraz po sklepach, kompletując wyprawkę.

Wkrótce po narodzinach dziecka mieli również zamiar opuścić dawne mieszkanie Mierzejewskich i przenieść się na swoje, zostawiając na gospodarstwie Magdę, Szymona i Darka.

– Czy nie byli zaskoczeni, że będą mieli rodzeństwo?

– Oj, tak. I na początku bardzo nieprzyjemnie się zachowywali w stosunku do Eli. Ja zresztą również. – Karol pochylił głowę jakby w pokorze. – No, ale na szczęście wszystko się wyprostowało. – Nagle popatrzył na Martę badawczo. – Ty jesteś od Eli o rok młodsza.

Marta drgnęła. Jeśli za chwilę wspomni jej o rodzeniu dzieci... Ale on powiedział coś innego. Coś bardzo dziwnego, co lekko zazgrzytało w jej uszach.

– Ale my nie będziemy mieć dzieci, będziemy upajać się miłością sami. A potem... potem możemy bawić wspólnie wnuki. – Roześmiał się i jakby nieco zmieszany wstał z fotela.

Wykorzystała ten moment i wreszcie nawiązała do nurtującego ją tematu.

– Nie zagaduj, tylko natychmiast mi zeznaj, w jaki tajemniczy sposób znalazłeś się w ministerstwie. UFO cię porwało z agencji czy co?

– I to jest twoja gra wstępna! Rozmowa o ministerstwie –jęknął Karol i sięgnął do lodówki po butelkę białego wina. Otworzył je i podał pełen kieliszek Marcie. – Wiem, wiem. To moja wina. Powinienem był ci o wszystkim powiedzieć – zaczął.

Karol wiedział, że będąc podwładnym Marty, nie ma u niej żadnych szans. Pracując z nią na co dzień, mógł ją widywać, rozmawiać, dotykać jej ręki na powitanie i przy podawaniu kawy, podziwiać sposób jej pracy, oglądać kolekcję jej butów.

Jednak w chwili, gdyby w jakikolwiek sposób ujawnił swoje prawdziwe uczucia, cała ta idylla skończyłaby się natychmiast. Obawiał się nawet, że to ona mogłaby odejść z agencji zamiast niego. Pewnie ta sytuacja trwałaby jeszcze bardzo długo, gdyby pewnego dnia nie zyskał nadziei. Nie wie, z czego ona się wzięła. Może od tego długotrwałego uczucia pomieszało mu się w głowie, ale w pewnej chwili zaobserwował na jej twarzy zupełnie nowy wyraz, cień szansy, jak to sam nazwał. No i zaczął budować swój zamek na lodzie, przygotowując się za-razem do sforsowania go. Kolega rzucił kiedyś przy okazji, że mógłby mu pomóc załatwić pracę w ministerstwie, i on natychmiast się na to zgodził.

Wyszło to jednak fatalnie. Nie przypuszczał nawet, że możliwość podjęcia pracy pojawi się w tygodniu nieobecności Marty w pracy. A potem... Potem jak przyszedł do niej, to nawet o tym nie myślał. Chyba sama wie najlepiej, jak to wtedy wyszło. Niemal na progu mieszkania! A tłumaczyć jej wszystko o czwartej rano? Był przekonany, że będzie do tego mnóstwo okazji po powrocie.

– Przepraszam cię.

– A kiedy... a kiedy się we mnie zakochałeś? – spytała Marta.

Dopiła drugi kieliszek wina i przeniosła się na drugi fotel na kolana Karola.

– Kiedy przyszedł do pracy w butach na niskim obcasie – opowiadał, rozpinając powoli jej bluzkę. – To był chyba październik, a buty były ciemnobrązowe. Najbrzydsze z twojej kolekcji.

– No, wiesz! – oburzyła się, ale przytuliła się do jego piersi.

– Nie obrażaj się. Podobałaś mi się bardzo od pierwszego dnia, kiedy zacząłem pracować w agencji. Taka ostra i atrakcyjna kobieta. Ale byłaś dla mnie nieosiągalnym ideałem, jednak w dniu niskich obcasów spostrzegłem, że jesteś ode mnie o dobry centymetr niższa.

– Nie jestem od ciebie niższa. Przestań się fałszywie pocieszać.

Możemy się zmierzyć.

– Trochę później – powiedział Karol i pocałował Martę w usta. – A ty kiedy się zakochałaś? – spytał, kiedy po dłuższej chwili wypuścił ją z ramion, z których, nie wiadomo kiedy, zsunęła się bluzka.

– Zakochałam się? No, dobrze, zakochałam – odpowiedziała, zgadzając się na

wszystko, kiedy jego zdecydowana ręka oswobodziła ją z biustonosza. – To było wtedy, kiedy przygotowałeś dla mnie raport o wykorzystaniu środków ministerialnych za ubiegły rok.

– Marta!

– To był naprawdę świetny raport. Przy jego lekturze można było dostać dreszczy – zaśmiała się. – Pomyślałam sobie, że łebski gość z tego mojego zastępcy. Pomyślałam też, że ma on takie ciepłe spojrzenie. – Marta grzbietem dłoni pogładziła policzek mężczyzny, który śledził każdy jej ruch.

– Chciałem się popisać. Siedziałem nad tymi dokumentami do rana.

– A teraz nie będziemy już siedzieć, prawda? – spytała Marta i bezwstydnym ruchem wsunęła obie dłonie pod koszulkę polo Karola.

Tym razem nic nie było robione w pośpiechu. Mierzejewski powoli i metodycznie zmierzał do celu. Jego usta posuwały się po ciele Marty jakby leniwie, trafiając bezbłędnie we wszystkie czułe i spragnione pieszczoty miejsca. Było jednak oczywiste, że wszystkie jej westchnienia nie pozostawiają go obojętnym i że ostatek sił próbuje powstrzymać się przed wtargnięciem w nią.

– Proszę cię, wchodź już – błagała Marta, czując, że zupełnie traci nad sobą kontrolę. Tego zawsze bała się najbardziej.

– Jeszcze nie – odpowiedział z premedytacją i przeniósł swe pocałunki w miejsce tak czułe, że Marta musiała mu się wreszcie poddać.

Dopiero wówczas wszedł w już rozedrgane i szamoczące się ciało, a krzyk, który chciał się wyrwać z jej krtani, zdusił mocnym pocałunkiem.

– O Jezu! – powiedzieli w tym samym momencie, kiedy fala gorąca zaczęła ustępować.

Spojrzeli na siebie i się roześmiali. Śmiali się tak długo, że Martę rozboleł brzuch. Potem Karol objął ją ramieniem.

– Czyli jest życie po czterdziestce – powiedział.

– Tak wygląda. Przed chwilą miałam wrażenie, że gram w filmie porno.

– Wiesz, że przy filmie potrzebnych jest wiele powtórnych ujęć?

Tym razem Marta obudziła się o zupełnie nieprzyzwoitej godzinie dziewiątej w ramionach Karola. Spał wciśnięty w nią, a jego prawa ręka dotykała jej piersi. Słońce

padające zza żaluzji udowodniło Marcie ostatecznie, że znajduje się nie na planie filmowym, ale w łóżku z pościelą, jeszcze pachnącą – mimo ich nocnych wyczynów – świeżością. Jej wzrok padł na trzy poduszki leżące jedna na drugiej. Na szczycie znajdowało się pudełko. Sięgnęła po nie i zobaczyła, że przyczepiona jest do niego karteczka: Najdroższej Martuni z najlepszymi życzeniami urodzinowymi.

Karol. Nie wahając się ani chwili, otworzyła pakunek. Była w nim płyta CD oraz mały śmieszny amulet w kształcie podkowy z cyrkonii na srebrnym łańcuszku. Marta rozkołysała go lekko.

– Hej! Obudziłaś się, jubilatko. Wszystkiego najlepszego.

Ponownie znalazła się w ramionach Karola.

– Dziękuję! Skąd wiedziałeś?

– Ja wiem o tobie wszystko – odpowiedział, ale nie wiadomo czemu te słowa spowodowały, że Marta lekko drgnęła, kiedy zapinał jej na szyi łańcuszek.

– Na co masz dzisiaj ochotę? Zamienię się w czarodzieja, który spełni wszystkie twoje życzenia. Co chciałabyś robić?

Tak jakoś niezręcznie było powiedzieć, że najlepiej to samo co w nocy. Z jakimiś przerwami oczywiście. Na jedzenie i picie. I wizyty w toalecie, pomyślała Marta i za chwilę pobiegła w tym kierunku.

Kiedy wróciła, otrzymała biały frotowy szlafrok – był zupełnie nowy i przeznaczony tylko dla niej; drugi granatowy miał na sobie Karol – i filiżankę kawy, którą miała wypić przy muzyce z Upióra w operze. To jest dziwne, bardzo dziwne, myślała. Dlaczego „ta Ela” zakochała się w innym?

Dlaczego pozbyła się Karola? Jakaś głupia czy co?

– To była niesamowita noc – przyznała się Karolowi, dotykając jego nieogolonych jeszcze policzków.

To była noc, podczas której zniknęła zdecydowana, zarządzająca kobieta. Całą samokontrolę ćwiczoną mozolnie przez lata samotności diabli wzięli. Była znów młodą dziewczyną, która pragnęła dzielić się wszystkim.

– Coś niezwykłego zdarzyło się między nami, prawda?

– Znowu uwierzyłam – stwierdziła z całą szczerością Marta. – Boję się tego okropnie.

– Dlaczego, kochanie?

– Bo tak strasznie się poprzednio zawiodłam. Za każdym razem... – Chyba zaczęła się rozklejać na całego. W jej oczach pojawiły się łzy. – Proszę cię, nie zawieź mnie, Karolu. Jeśli jest coś, o czym powinnam wiedzieć...

Patrzyła mu prosto w oczy i nagle te jego oczy zaczęły się od niej odwracać. Poczowała, jak robi jej się chłodno w piersiach. Czyżby się pomyliła... Tak okrutnie pomyliła?!

– Martuniu. Muszę ci o czymś powiedzieć. Jak to ma być spowiedź... – chrząknął Karol – to chyba powinnaś o tym wiedzieć.

Marta poczuła, jak jej serce zaczyna bić we wzmożonym tempie.

– W zasadzie nie powinienem ci tego mówić. Ale, co tam... Ty jesteś najważniejsza. No, więc... Martuniu. Ja nie napisałem prawdy w swoim CV, kiedy zatrudniałem się w agencji.

Marta wypuściła powietrze. To chyba nie będzie jednak takie straszne.

Ale to był dopiero początek.

– Nie pracowałem w tych firmach, które tam są wymienione.

Zacząłem pracę jako asystent na uniwersytecie od razu po studiach, a potem to już była jedna firma, to znaczy instytucja. Ja wiem, że tobie mogłoby się wydawać, że taka osoba jak ja zupełnie nie pasuje do niej. Każdy, kto ogląda filmy sensacyjne, ma o niej zupełnie mylne wyobrażenie... Poza tym, ja rzeczywiście nie pasuję, bo jak sama widzisz, nie potrafię utrzymać przed tobą tajemnicy, ale prawda jest taka, że nie zajmowałem się żadnymi sprawami operacyjnymi. To, co robiłem, to nic ekscytującego. Dość nudna robota. Analityczna głównie. Raporty, papiery, wiesz...

– Karol, czy ty masz na myśli służby? – O, jak bardzo pragnęła się mylić.

– Agencję konkretnie, choć jak się tam zatrudniałem, to w nazwie był urząd – wykrztusił, z lękiem obserwując wyraz jej oczu. – Ale w końcu miałem jej dosyć. Zwolniłem się i zacząłem pracować w samorządzie, a potem... potem wybrałaś mnie na swojego zastępcę.

– A teraz? – Marta zareagowała błyskawicznie. – A jaki jest teraz charakter twojej pracy?

Karol zwiesił głowę i lekko nią pokręcił.

– Pracuję w ministerstwie.

Marta odstawiła filiżankę z kawą na stolik obok fotela.

– A kto ci kazał tam się zatrudnić? Karol, powiedz mi prawdę!

Popatrzył w jej przerażone oczy i kiwnął głową.

– OK. Dawny kolega mnie poprosił. Mówił, że szykuje się prowokacja na ministra i trzeba... Nieważne. I tak chciałem odejść z naszej agencji ze względu na ciebie.

Marta zakryła twarz rękami i nic nie mówiła przez dłuższy czas.

Początkowy chaos w jej głowie zastąpił błyskawicznie dokonujący się proces analizy faktów. Na szczęście Karol również milczał. Wreszcie odsunęła dłonie.

– Powiedz mi, kiedy zaproponowano ci przejście do ministerstwa.

– Mówiłem ci, że to było takie nagłe. To było na kilka dni przed twoją chorobą w marcu.

– Prowokacja nie była żadną tajemnicą. Nagórski przecież opowiadał w telewizji, że ktoś intryguje przeciwko niemu –podpowiedziała, niemal wstrzymując oddech.

– To było parę dni przed tym. Ten mój kolega... W zasadzie go nawet widziałas. W Sheratonie. Zaproponował, żebyśmy tam razem przyszli.

Mówiłem ci wtedy, że jestem na wieczór z kimś umówiony. To z nim.

Marta przełknęła ślinę.

– Tobie zaproponował, żebyśmy przyszli?

– Tak, mnie. Jeśli musisz wiedzieć, to wiedział, że szukam innej roboty. I chciał zobaczyć, jak wyglądasz. Z ciekawości, rozumiesz. Słyszał wcześniej o tobie, że jesteś taką ostrą i bezkompromisową kobitą.

– Tylko tyle?

– Tylko. O co ci chodzi? Powiedziałem ci wszystko, jak było.

Marta nabrała powietrza w płuca. W uszach zaczęła jej szumieć pompowana teraz z dużą szybkością krew. Od nagłego przypływu adrenaliny zaczęły dygotać jej ręce. Wstała z fotela.

– O co mi chodzi? To, że jesteś jakimś kłamliwym, nieudolnym agentem to jedna sprawa, ale nie mogę ci, Karol, wybaczyć, że jesteś zwykłym idiotą. Głupcem kompletnym. Niczego nie zrozumiałeś!

Słowa wylatywały z jej ust jak z karabinu maszynowego. Niczego nie zrozumiał.

Także tego, że ten jego kumpel specjalnie zlecił mu ją zawlec do tego Sheratona. Ta rozmowa, którą podsłuchiwała, a która dotyczyła Nagórskiego, zaaranżowana była specjalnie dla jej uszu. Bo była przecież „bezkompromisową” idiotką. Można się było spodziewać, że zacznie działać. I ostrzegać!

– O jakiej rozmowie ty mówisz?

Marta zawahała się przez chwilę. Przecież Mierzejewski nic o tym nie wiedział. Musiała mu to wyjaśnić i zacząć od nowa.

– Teraz dla mnie wszystko jest jasne. Moja rozmowa z Nagórskim była nagrywana, bo wszyscy na nią czekali. I z góry wiadomo było też, kto zadzwoni. A potem, kiedy uzyskali ode mnie, co chcieli, postanowili się mnie pozbyć. Bo jeszcze znów coś głupiego wpadnie mi do głowy.

Karol zerwał się z fotela i próbował ją objąć.

– Kochanie, wybacz mi, nie miałem o tym pojęcia.

– Nie wierzę ci.

– Przecież nie zrobiłbym ci krzywdy. Ja cię kocham. Obiecali mi...

Marta stanęła jak wryta.

– Co ci obiecali?

– Że po dwóch miesiącach dostaniesz lepsze stanowisko... – Wlepił wzrok w podłogę.

Czyli znów skłamał. Marcie wydawało się, że próbuje płynąć w wodzie, która stopniowo zamienia się w gęstniejące coraz bardziej błoto.

– Czyli mnie im wystawiłeś!

Próbował się tłumaczyć. Mówił, że od dłuższego czasu prowadzone były działania przeciwko Nagórskiemu, a szczególnie jego polityce paliwowej. Mogły naruszyć kruchą równowagę i spowodować brak gazu w całym kraju.

– Żeby jeszcze to był kto inny... Ale Nagórski – jęknęła Marta. – Chociaż, czemu ja się dziwię. Swoich się broni. Kruk krukowi oka nie wykolę.

– Jakich swoich? – zdumiał się Karol, ale Marta tylko machnęła ręką.

Zadała jeszcze ostatnie pytanie.

– A było to chociaż legalne? Ze zgodą prokuratora?

– Na działania operacyjno–dochodzeniowe?

– Polegające na podsłuchiwaniu moich rozmów telefonicznych, na śledzeniu mnie. Tak, widziałam tego pana w białym opłu... Kolejny z twoich kumpli zapewne.

– Marto, ciebie nikt nie śledził.

– Nikt, prawda? Tak jak nikt nie znał mojego nowego adresu we Wrzeszczu, nie znał mnóstwa szczegółów z mojego życia, o których nie wiedziały żadne kadry, jak również tego... – w oczach Marty stanęły łzy – że nie mogę mieć dzieci!



## ROZDZIAŁ 14

– A jednak udało ci się przyjechać, jubilatko! – uśmiechnęła się Jolka, otwierając drzwi, za którymi panował gwar prowadzonych rozmów.

Tym razem zrezygnowano z werandy, gdyż w czerwcowy wieczór panowałyby tam nieźnośne gorąco, i przyjęcie urodzinowe zorganizowano w dużym pokoju.

– Patrzcie, kogo tu mam! – pochwaliła się Jolka, wprowadzając Martę.

– Marta!!! – Pierwsza była oczywiście Teresa, która zerwała się od stołu i rzuciła siostrze na szyję. – I jak? – szepnęła jej do ucha.

– Potem ci powiem – odpowiedziała Marta i poddała się procesowi obcałowywania przez rodzinę.

– Wiedziałam, Marto, że nas nie zawiedziesz. Jesteś zbyt odpowiedzialna – mówiła matka, całując jej policzki.

Otóż to. Jakieś przekleństwo na niej ciążyło. Chociaż ostatnio robiła wszystko, żeby ich zawieść. Aż do godziny dziesiątej tego ranka. Potem postanowiła zmienić zdanie.

Była to bardzo dobra decyzja, gdyż miała przed oczami pięknie zastawiony stół, specjalnie przygotowany dla niej i jej brata przez Jolkę, matkę i Teresę. Poza tym widziała te wszystkie fryzury prosto z salonu fryzjerskiego, te nowe sukienki, staranne makijaże – każdy poświęcił jej tyle swego czasu... Całe szczęście, że udało jej się tu dotrzeć.

– Jak tam Marysia? – dopytywała się matka. – Dzwoniła wprawdzie do Piotrusia, ale nie miała czasu na długie rozmowy.

– U niej i... jej koleżanki wszystko w porządku – odpowiedziała Marta.

– Koleżanki? – Na twarzy matki pojawiło się zdziwienie. – Mówiła, że ostatecznie przyjechała z kolegą, któremu załatwiłaś mieszkanie u swojego znajomego z pracy.

Maryśka mogła to jednak z nią ustalić! Ma dziewczucha fantazję ułańską. Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż w końcu przecisnął się do niej Marcin.

– Siostrzyczko. Nasze wspólne! – Uniósł ją do góry. – Wiedziałem, że

przyjedziesz. Przecież za trzy dni wypływam. Nie będzie mnie dwa miesiące.

A potem przyszła kolej na przywitanie z Erykiem.

– Ale miałaś wejście, jubilatko! Pięknie wyglądasz, jeszcze piękniej niż zwykle. Bałem się, że już cię nie zobaczę.

– Dlaczego już? – zdziwiła się Marta i usiadła na naprędcie zwolnionym przy nim (a jakże byłoby inaczej?) krześle.

– W niedzielę wyjeżdżam. A wkrótce wakacje z moimi chłopakami.

Wrócę dopiero na początku sierpnia.

– No, tak, przecież już początek wakacji.

– W Anglii jeszcze nie ma wakacji, ale jadę tam wcześniej, bo mam parę spraw do załatwienia.

– Dokąd pojedziesz z dziećmi?

– Nic oryginalnego. Na wyspy greckie.

Marta stłumiła uśmiech. Mało oryginalne może dla niego. Ona sama z pewnością byłaby takimi wyspami zachwycona.

– Nie jedziesz z Marią?

– Jakoś nie wyszło. Ale zobaczymy się trochę później. Pamiętasz, że obiecałaś mi wyjazd do Sztokholmu?

To było wtedy, kiedy Eryk zaskoczył ją w „Pikawie”. Mieli wprawdzie jeszcze porozmawiać na ten temat, ale teraz była skłonna zgodzić się na taki wyjazd. Czemu nie? Parę dni. Pozna tę jego kobietę i przekona się, czy słusznie mu doradziła.

– Tak, rzeczywiście – odpowiedziała, a Eryk z wdzięcznością dotknął jej ręki.

To dotknięcie zbytnio się przeciągnęło jak na jej gust. Po chwili oglądała prezent od niego. Perfumy „Chance” Chanel. Podarunek był również „zbyt”: zbyt osobisty i zbyt drogi. Od pozostałych członków rodziny dostała jak zawsze różnego typu drobiazgi: płyty, książki, płyny do kąpieli. Drogie prezenty nie należały do rodzinnej tradycji. Musiała zrobić niewyraźną minę, bo Eryk natychmiast się odezwał: – Jak ci się nie spodoba, to możesz je wyrzucić. – Spojrzał na nią, ale natychmiast spuścił wzrok. – Chciałbym, żebyś po powrocie pomogła mi przetłumaczyć jeszcze jedno pismo.

Aha, czyli to była premia za pracę. W takim razie wszystko w porządku. Marta

skropiła sobie nadgarstek i wciągnęła zapach do nosa.

Chance, czyli szansa, okazja, ryzyko. Dobra nazwa i dobry początek nowego etapu życia, pomyślała.

Myśl o tym, że nazwa perfum jest dla niej znakiem, towarzyszyła jej do domu i jeszcze przez parę godzin, podczas których jej przepełniony adrenaliną organizm nie dawał jej zmrużyć oka, mimo iż poprzednią noc można by uznać za nieprzespaną.

Mierzejewski nie mógł uwierzyć, że ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. Może dlatego, że poprzednim razem nie dotrzymała słowa.

Myślał pewnie, że to takie kobiece dąsy. Pomylił się. Marta zgarnęła swoje rzeczy i w ciągu pięciu minut opuściła jego mieszkanie. Po chwili jednak ponownie zadzwoniła do drzwi. Kiedy otworzył je, ukazując tę swoją głupkowato-zadowoloną twarz z początkiem uśmiechu, który zdążyła pokochać, przez moment drgnęło jej serce. Ale tylko przez moment.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę. Był w niej łańcuszek z cyrkoniami.

– Przyda ci się do kolejnych celów operacyjnych – powiedziała, dając mu w twarz za pomocą słów.

Nie chciała na niego patrzeć ani też słuchać. Karol Mierzejewski przestał dla niej istnieć. Rozpaczała po nim za pierwszym razem, teraz było jej znacznie łatwiej. Wiedziała bowiem, że nie jest żadną wariatką, nie ma zaburzeń wzroku ani wyobraźni i nie uczestniczy w żadnych tajemniczych zbiegach okoliczności. Wszystko było bardzo starannie zaplanowane i zorganizowane. Kontrakt gazowy został podpisany. A że przy okazji Marta straciła pracę, wpadła w panikę, ponownie trafiła pod opiekę psychiatry i z powodu depresji straciła ze swego życia dwa miesiące, to było w porządku.

Bo czegoż się nie robi dla kraju! Bo kogo obchodzi los czterdziestodwuletniej samotnej kobiety, kiedy w grę wchodzi interes milionów.

Martą miotało po całym domu. Nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. To z pewnością przez liczne filiżanki kawy, które pochłaniała przez cały dzień, i przez zbyt ciężkie jedzenie na przyjęciu. Nawet się sama zdziwiła, że ma taki apetyt. To był jednak kolejny znak, że coś się w niej przełamuje i zmienia. Zbierała się w niej wola działania. Nie mogła puścić tego płazem.

Ale co mogła zrobić?

– Jak będziesz do mnie dzwonić, to natychmiast pojedę do redakcji „Gazety”. Z pewnością się ucieszą z ciekawego tematu – powiedziała do Mierzejewskiego, gdy ten z uporem maniaka zaczął do niej wydzwaniać już parę minut po jej wyjściu od niego.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa nieco przerażona cisza.

– Żegnam cię – syknęła.

– Wybacz, Martuniu, proszę. Pomyliłem się.

Saper mylił się tylko raz. Powinno to dotyczyć również agenta służb specjalnych. Marta wyłączyła telefon komórkowy i wsadziła go na dno torebki, aby jego widok nie rozpraszał jej podczas jazdy.

Tak jak w tamtej chwili, tak i teraz rozumiała jednak doskonale, że nie będzie mogła pójść z tą interesującą historią do żadnego dziennikarza śledczego. Tak naprawdę, to nie miała żadnych konkretnych dowodów, aby ktokolwiek jej uwierzył. A poza tym... I to było chyba najważniejsze...

Gdyby jednak tak się stało, zadenuncjowałyby tym samym Mierzejewskiego. A ona jednak nie mogłaby tego zrobić, choć w tej chwili nienawidziła go z całego serca. Wiedziała też, że nie byłaby w stanie się na nim zemścić, mimo iż sobie na to porządnie zasłużył. Po co zresztą się mścić? To zakładałoby zbyt dużą koncentrację myśli na nim. A Marta chciała się wyzwolić. I zapomnieć o swym nieszczęsnym uczuciu do Karola Mierzejewskiego.

W końcu włączyła laptopa i napisała coś przypominającego raport z zebranych przez nią informacji na temat ministra Nagórskiego. Dorzuciła do niego własne podejrzenia i hipotezy. Kiedy skończyła, przeczytała gotowy tekst, a potem wysłała go mailem do... Mierzejewskiego. Upewniła się, że plik nie wrócił i następnie weszła w ustawienia swojego serwera, blokując adres Karola.

I koniec już rozmyślań na temat, jak bardzo i jak często można się w życiu pomylić!

– Dasz jeszcze radę? – spytała Ludka.

– Jasne, jeszcze trochę pociągnę.

Marta od godziny czytała protokoły policyjnych przesłuchań pechowej Małgorzaty, która wpadła na przemyśle narkotyków i której losy zdążyły już ją zafrapować. W

sądzie pierwszej instancji zapadł wyrok: pięć lat. Nie było żadnych wątpliwości. Przy kobiecie znaleziono narkotyki. Jej zachowanie przed odkryciem skrytki wskazywało, że doskonale zdaje sobie sprawę, co przewozi. W śledztwie sprawiała nieustannie kłopoty przesłuchującym policjantom. Kręciła, wycofywała zeznania, wpadała w histerię. Przysięgała na wszystkie świętości, że jest niewinna, a całą winę zrzucała na tajemniczego mężczyznę imieniem Robert, którego spotkała w „Cristalu”.

Marta stopniowo dawała się wciągnąć w tę historię i coraz bardziej rosło w niej przekonanie, że nieszczęsna Małgorzata stała się ofiarą. Losy tej kobiety w dziwny sposób przypominały Marcie o jej własnych ostatnich przeżyciach.

Wydawało mi się, że wypięłam za dużo na promie. Boję się podróży morskich. To dlatego byłam nerwowa, tłumaczyła się Małgorzata bezdusznemu aparatowi sprawiedliwości. A Robert pewnie gdzieś radośnie hasał i korzystał z usług innej samotnej kobiety. Numer telefonu, którym się posługiwał i który zapisany był w aparacie Małgorzaty, był telefonem na kartę. W żaden sposób nie można go było wytropić.

– A to łajdak! – nie wytrzymała Marta i skomentowała czytane dokumenty.

– Aha, czyli uwierzyłaś w Robercika? – zachichotała dziwnie zadowolona Ludka.

– Oczywiście, że tak – oświadczyła Marta. – Jestem przekonana, że ta kobieta jest niewinna. Jej szczęście, że nie znaleźli jej celnicy jakiegoś innego kraju, bo zapłaciłaby za to odkrycie dożywociem.

– To prawda. Więzienia szwedzkie bardzo mi się podobają. Jednak nie do tego stopnia, żeby tam siedzieć tyle lat – westchnęła Ludka. – Poczytaj jeszcze moment, a potem zapraszam cię na kawę. O zobacz, tu jest chyba opis twego ulubieńca.

Rzeczywiście, Małgorzata odpowiadała na konkretne pytania dotyczące Roberta. Jaki on był? Zwyczajny. Przeciętny mężczyzna około czterdziestki. Przystojny raczej. Ciemne oczy. Szczupły. Wzrost metr osiemdziesiąt pięć, chyba? Dlaczego pożyczyła mu samochód? Bo ją o to poprosił. Nie był żadnym ubogim naciągaczem. Tych parę razy, kiedy się umówili, zapraszał ją do kolacji do „Dworu Oliwskiego”, „Pod Łososia”, do „Świata według Franka” i płacił za wszystko. Na urodziny dostała od niego drogie francuskie perfumy. Dlaczego miałyby przypuszczać, że chce ukraść jej dziesięcioletni samochód audi?

– Idziemy stąd! Bo mi кишки w brzuchu marsza grają – zarządziła Ludka, chwytając torbę.

Pomaszerowały w kierunku Madisona. Galeria handlowa, której „swojska” nazwa niezmiernie irytowała Martę, zaczynała się zapełniać piątkowymi kupującymi.

– Za chwilę wszyscy będą mówili po angielsku, co mi niesłychanie ułatwi robotę – skomentowała to Ludka, kiedy usiadły na wygodnej sofie w... „Coffee Heaven” i zamówiły mrożoną kawę.

– Następnym razem przyjdiesz do mnie. Kiedy byłeś u mnie ostatnio?

– spytała Ludka, sącząc łąpczywie przez słomkę ożywczy płyn.

– O nie, tym razem ty przyjdiesz do mnie. Podpowiesz mi, co mam kupić do mieszkania na Batorego. Teńka chce jechać ze mną na zakupy, ale obawiam się, że musiałabym potem mieszkać w rózu i falbankach. – Marta przewróciła oczami. – Ja i ty mamy bardziej zbliżony gust.

– Oj tak. Szczególnie jeśli chodzi o dobór damsko-męski – ucieszyła się Ludka.

– Trudno byłoby się licytować – przyznała Marta. Tylko że te „dobory”, które zaliczyła do teraz, wysysały z niej energię, radość i serdeczność w stosunku do otoczenia. Ludka była z natury pogodna. Po ciosach podnosiła się, uznawała, że to niepowtarzalny przypadek losu, i parła do przodu.

– I jest jeszcze coś. Ja, podobnie jak ty, wierzę w Robercika. Rok temu mój kolega prowadził sprawę przemytu narkotyków i anaboliów, w której również została zatrzymana kobieta, ale tym razem przez polskich celników.

Ona również zeznawała na temat tajemniczego narzeczonego.

– O imieniu?

– Ten z kolei miał na imię Artur. Spotkała go na siłowni. Fanatyczka fitnessu. – Ludka, mówiąc z pogardą te słowa, dumnie wyprężyła brzuch.

– A wygląd?

– Wygląd można zmienić. Nie sporządzono portretu pamięciowego.

Kobieta zmarła nagle na tętniaka w areszcie śledczym. – Ludka potrafiła błyskawicznie spoważnieć. – Pomyśl tylko, że taki Robert czy Artur chodzi sobie spokojnie po świecie i być może naciąga już kolejną ofiarę – ciągnęła po chwili milczenia. – Te dwie wpadły, ale ile wykonano przerzutów? Ile było kobiet? Dlaczego

nasza płeć jest tak głupio naiwna? – Skierowała to pytanie do Marty, która ze wstydu spuściła wzrok. – Kiedy się zakocha, to natychmiast żegna się z komórkami mózgowymi. Wymyśla, upięknia, racjonalizuje, wybacza... eh, co tu gadać! – Ludka machnęła ręką. – Tak, ten Robercik może być nawet gdzieś niedaleko nas.

Po jej słowach Marta zaczęła się podejrzliwie przyglądać siedzącemu w kącie samotnemu mężczyźnie. Kiedy zwrócił wzrok na nią i się uśmiechnął, niemal podskoczyła na sofie.

– Dlaczego nikt nie chciał uwierzyć tym kobietom? – spytała, odwracając się prawie demonstracyjnie od potencjalnego uwodziciela.

– Oj chciał, chciał. Ale moja droga, od czasów rzymskich obowiązuje twarda zasada dostarczenia dowodów. Zeznania tych kobiet to jedynie hipotezy. Które jednak do niczego konkretnego nas nie doprowadziły. Ale ci obiecuję, kochana, że jak go dorwę, to... – Palce Ludki zamieniły się w szybko tnące nożyce.

Po wypiciu kawy Marta postanowiła odprowadzić Ludkę do kolejki.

Chciała jeszcze wysłać parę listów w sprawie pracy. Lipiec nie był najlepszym czasem na szukanie zatrudnienia, ale postanowiła odpowiedzieć na kilka ofert, które wydawały się odpowiednie. Nie wierzyła wprawdzie, że coś z tego wyniknie, ale musiała się zabrać do szukania pracy. Oszczędności topniały, bo z czegoś trzeba było żyć, a poza tym chwilowo zniknęło dodatkowe źródło dochodów z wynajmu jednego mieszkania.

– Nie możesz kogoś ze znajomych spytać o pracę? – spytała Ludka.

Marta pokręciła głową. Trójmiejscy znajomi w trakcie jej pobytu w Warszawie pozmieniali pracę, poprzenosili się do innych miast, natomiast w stolicy Marta nie nawiązała żadnych bliższych kontaktów. Oprócz jednego.

Oczywiście byli znajomi, z którymi miło się rozmawiało, czasem nawet szło na kawę lub piwo, ale Marta nie bardzo wyobrażała sobie, że miałyby kogoś z nich prosić o pracę.

– A te twoje rady nadzorcze? Zdałaś przecież egzamin. Marta uśmiechnęła się pod nosem. To pytanie Ludki świadczyło nieoczekiwanie o jej dużej politycznej naiwności. Do rad nadzorczych państwowych firm bynajmniej nie wchodzi się dzięki wiedzy i kwalifikacjom, tylko przez układy polityczno-towarzyskie. Wymagało to

wielu zabiegów i to niekoniecznie takich, po których milej patrzyło się na siebie w lusterku. Ale sama Marta, podchodząc do tego pioruńskiego egzaminu, też była naiwna.

– Wiesz, co? Nie marnuj teraz czasu na to! – nagle zainspirowana Ludka zatrzymała się na chodniku. – Wykorzystajmy wakacje! Pojedziemy na tygodniowe last minute. Mam mnóstwo urlopu. Możemy jechać w przyszłym tygodniu. Jeden tylko feler. Musimy wziąć moją Ankę.

Ludka tak gorąco zaczęła namawiać Martę do wyjazdu, że ta już przed wejściem do tunelu skapitulowała. Rzeczywiście, to jest chyba dobry pomysł. Przecież chciała wypocząć, pojechać gdzieś na urlop, a potem parę miesięcy przesiedziała w otumanieniu na kanapie u matki. A pieniądze...

Jakoś to będzie. Po raz kolejny przypomniała sobie, że ma na utrzymaniu tylko siebie. Czas pójść na całość!

Przy schodach wiodących do budynku dworca PKP przybiły piątkę i miały się już rozejść, gdy nagle serce Marty się zatrzymało. Po schodach schodził Jurek Więcek. Od razu go poznała, mimo iż wyglądał zupełnie inaczej, miał przyprószone siwizną włosy, lekko nalaną twarz, pochylone plecy. Jednak była pewna, że to on. W pewnej chwili odwrócił głowę i spojrzał wprost na nią. Marta zobaczyła nagły popłoch w jego oczach. Też ją poznał! Zanim zdążyła się zastanowić, co ma robić, zatrzymał się na moment przy nich i powiedział:

– Dzień dobry pięknym paniom! – i pospiesznie odszedł. Marta patrzyła chwilę za nim z otwartą buzią, myśląc, że znajduje się na Skwerze Kościuszki sprzed ponad dwudziestu lat.

– Ty go znasz? – Głos Ludki wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak mi się wydaje. To kolega Marcina ze szkoły morskiej – odpowiedziała, nadal nieco zamroczonego nieoczekiwanym spotkaniem.

– Chyba się nieszczęśnikowi w życiu nie powiodło – odparła Ludka i stanęła w kolejce do kiosku z pieczywem Pellowskiego.

– Skąd wiesz?

– Nie widziałaś, jak on wyglądał?

– No, postarzał się.



– Nie, nie to mam na myśli. Ja czasem go tu widzę, jak się kręci i próbuje sprzedawać kwiaty. On jest chyba bezdomny, Marta!

Po rozstaniu z Ludką Marta nie poszła na pocztę, tylko dalej tunelem, w stronę, w którą skierował się Jurek. Bezdomny? Chyba ta Ludka jednak przesadziła. Więcek wyglądał na zaniedbanego – teraz, jak sobie dokładnie przypominała – nawet bardzo, ale żeby tak od razu wysnuwać wnioski, że jest bezdomny?

„Ja się trochę na nich znam”, odpowiedziała ta zrozumiwała Ludka.

Marta przebiegła cały tunel, rozglądając się szczególnie za osobami handlującymi kwiatami, ale Jurka wśród nich nie było. Weszła po schodach na górę, pod kino „Krewetka”, gdzie poprzednio zaobserwowała swojego dawnego ukochanego, ale rezultat był podobny. Jurek Więcek wyparował bez śladu.

## ROZDZIAŁ 15

Pomysł szybkiego wyjazdu na wakacje został zrealizowany niemal natychmiast. Wybór miejsca był wprawdzie bardzo ograniczony ofertą wylotów z Gdańska, ale ostatecznie okazało się, że na najbliższy wtorek są wolne trzy miejsca do Antalyi. Marcie wydawało się, że ledwie zdążyła spakować walizkę, kiedy już o godzinie czwartej rano zajechała po nią taksówką Ludka z Anką.

Towarzystwo dwunastolatki okazało się zupełnie nieszkodliwe.

Znajdowała się ona w fazie nałogowego czytania książek i z dużą niechęcią podnosiła głowę, kiedy dwie czterdziestoletnie panie piszczały z zachwytem, zachwycając się widokami. Z Alanyi, gdzie zamieszkały w hotelu, wybrały się tylko na jedną wycieczkę, resztę czasu spędzając na plaży i w hotelowym barze, gdzie Marta odkryła zamiłowanie do ginu z tonikiem. Ludka zaciągnęła ją też do hotelowego spa, a kąpiele i masaże sprawiły, że z dnia na dzień czuła się coraz bardziej rześka.

– Widzisz, zawsze mówiłam – rozprawiała Ludka za plecami swej małej córki. – Po co komu chłop, skoro jest świetny masażysta i doskonała pedikiurzystka.

Wprawdzie Marta uważała, że Karol Mierzejewski, z innym życiorysem, mógłby z nimi śmiało konkurować, ale skoro nie było to możliwe, musiała przyznać rację Ludce.

– Chociaż jeszcze raz w życiu chciałabym przeżyć romantyczny pocałunek – marzyła na głos Ludka. – Taki, po którym mógłby zaśpiewać Bocelli...

– I Sarah Brightman – skończyła za nią z przekąsem Marta. Osobiście wolałaby solówkę Bottiego. Była jednak przekonana, że u Mierzejewskiego odtwarzacz milczał, kiedy mówiła mu swoje „goodbye”.

Nie wspomniała o nim Ludce. Znając ją, nie odpuściłaby tego tak łatwo i za chwilę z pewnością napisałaby skargę do samego szefa ABW lub premiera.

– A swoją drogą, to jaka ty jesteś skryta! Nigdy mi nie mówiłaś o tym Jurku – zarzuciła jej koleżanka, gdy w końcu po trzech ginach Marta przyznała się jej, jakie

relacje łączyły ją kiedyś z osobą obecnie uznaną za bezdomną.

– Kiedy zaczęłyśmy mieszkać razem na stacji, minął rok od tamtego rozstania. Wcześniej się tak blisko nie trzymałyśmy – wyjaśniła.

To prawda. Znały się niemal zawsze, ale ich bliższa zażyłość zaczęła się od momentu, gdy jadąc autobusem do domu, zgadały się, że poszukują na stację współlokatorki.

– To dziwna historia – skomentowała Ludka sprawę Jurka.

– Gdyby nie była taka dziwna, już dawno bym o niej zapomniała.

– Ale czemu nie skonfrontowałaś tego z nim, nie zapytałaś, o co chodzi? Dałaś mu tak po prostu odejść? – pytała pani prokurator.

Marta potrząsnęła głową. Siedziały przy stoliku w cieniu przy basenie z błękitną wodą, ich uszu dochodziła przyjemna chilloutowa muzyka, ale gdy tylko Marta przypominała sobie scenę na skwerze sprzed lat, przechodził ją zimny dreszcz.

– Nie wiem. Uznałam, że jednak mnie nie kocha.

– No, tak – westchnęła Ludka, która nie przyjęła męża do domu, kiedy po półrocznym romansie z inną błagał ją o drugą szansę. – W zasadzie zrozumiałe, ale myślę, że powinnaś zagadać do niego na ulicy.

– Ja? Kiedy?

– Jak go znowu spotkasz. Jestem pewna, że tak się stanie, skoro się kręci w okolicy dworca.

– Nie wierzę, że tak z nim źle. Przecież studiował! Ludka prychnęła śmiechem.

– Byś się zdziwiła, ilu z nich jest dobrze wykształconych. Najczęściej to przez chorobę albo... inne okoliczności – powiedziała, rozglądając się dokoła. – Jak myślisz, który z tych panów tutaj pasowałby do obrazu naszego Robercika? – rozpoczęła znów grę, która podczas ginowego szaleństwa doprowadzała przez cały tydzień obie kobiety do paroksyzmów śmiechu.

Marta niesłuchanie się zdziwiła, kiedy na lotnisku zobaczyła Piotra.

Uśmiechnął się nawet do niej, jak również uprzejmie przywitał się z Ludką i chowającą się za matką Anką.

– Czym przyjechałeś? – spytała brata, gdy ładował ich bagaż na wózek.

– Zacząłem znów jeździć. Pożyczyłem wóz od Joli specjalnie na wasz przyjazd.

– To mamy szczęście, prawda, Anka?

Patrząc na lekko opaloną i ożywioną twarz Piotra, nie można było mieć wątpliwości, że jazda z nim samochodem jest już zupełnie bezpieczna.

Musiał więc jakiś czas temu odstawić leki. Jeszcze bardziej zdumiał Martę, mówiąc:

– Zazdroszczę wam tego wyjazdu. Szkoda, że nie pomyślałyście o mnie. Może bym się wam do czegoś przydał.

Marcie zrobiło się smutno, że planując wakacje, nawet przez sekundę nie wzięła brata pod uwagę, ale Ludka natychmiast wypaliła: – Za miesiąc mogę jechać znowu. Może w pierwszym tygodniu września, to Anka nie straci wiele z lekcji. Był pan już na Krecie?

– Dawno temu – odpowiedział Piotr – Taki krótki postój statku wycieczkowego w porcie...

– Och, trudno – przerwała mu niezrażona Ludka, ale Piotr natychmiast dopowiedział: – Ale ja chętnie jeszcze raz pojedę. Wiem, że jestem bardzo stary, ale proszę mówić mi po imieniu.

A to heca, pomyślała Marta. Nie ma jej w domu przez tydzień i od razu takie dynamiczne zmiany. Czy to wpływ lipcowego słońca i podwyższonej temperatury? Kiedy po odwiezieniu Ludki i Anki Piotr zabrał ją do swojego mieszkania na powitalny obiad, okazało się, że niektórych ludzi potrafi napędzać również zupełnie co innego.

Matka, witająca ją w drzwiach, triumfowała. Ona również wyglądała na młodszą i bardziej wypoczętą.

– Tyle ciekawego działo się podczas twojego wyjazdu.

– A co? – Zmęczone niemal całonocnym balowaniem w barze oczy Marty gwałtownie się otworzyły.

– Mamy nowego premiera – odpowiedziała poważnym głosem.

Po chwili na Martę z ekranu telewizyjnego ze smutkiem spoglądał odwołany już szef rządu. Mówił jednak, że cieszy się z zaproponowanego mu nowego stanowiska.

Obserwowała go bez jakiegokolwiek empatii.

– To teraz się złączą prawdziwe zmiany. – Matka ze złożonymi jak do modlitwy

rękami patrzyła w telewizor. –Wreszcie!

W życiu Marty również pojawiły się zmiany i to tym razem nie w formie niechcianych fajerwerków, jak ostatnio bywało, ale powolnego, choć uporczywego kształtowania nowych przyzwyczajzeń. Zaczęło się od porannego biegania po zalesionych górkach za domem, chodzenia na plażę, gdy świeciło słońce, czytania książek, które kiedyś ominęłyby z daleka. A jeśli czasem do tego dochodziło słuchanie musicalowej muzyki, to w zasadzie można by te nowe zwyczaje uznać za prawdziwie rewolucyjne. I wszystko by się doskonale układało, gdyby... nie trzeba było pracować. Ale i w tej materii zaczynało coś się dziać. Okazało się, że dla chcącego nie ma nic trudnego i któregoś dnia stary znajomy zaproponował Marcie etat w prywatnej wyższej szkole w Trójmieście. Umówili się na rozmowę po piętnastym sierpnia.

Może rzeczywiście praca naukowa byłaby odpowiednim rozwiązaniem? Ostatnio przekonała się na własnej skórze, że nie ma wycucia, jeśli chodzi o kontakty międzyludzkie. Mogłaby więc się znów zaszyć w badaniach. Kiedyś już to zrobiła i nawet była przekonana, że zostanie profesorem przed czterdziestką. Jednak to oznaczało, że z życiem warszawskim musiałaby się bezpowrotnie rozstać. I to głównie dlatego nie była w stanie się zdecydować, gdyż Trójmiasto kojarzyło jej się wyłącznie z klęską życiową. Chociaż... po ostatnich wydarzeniach w Warszawie wychodziło na remis!

Chwilowo jednak musiała się skoncentrować na kwestiach bardziej praktycznych, takich jak wyposażenie mieszkania. Na sierpniowe święto Teresa zaprosiła do siebie całą rodzinę, a Marta obiecała spędzić u niej parę dodatkowych dni. Mary zupełnie się nie odzywała. Wszelkie próby dodzwonienia się do niej o różnych porach spełzały na niczym. Ale któregoś poranka laptop Marty ożywił się, przy imieniu „Maryśka” niespodziewanie zaświeciła się zielona ikonka i rozległ się sygnał nadchodzącej rozmowy.

– Ale wyglądasz, ciocia! Kompletny odlot!– powiedziała bratanica Marty, mogąc ją obserwować dzięki kamerze.

– Słyszę, że już świetnie władasz polskim!

– Ha, wcale to nie jest takie proste. Wszyscy chcą ze mną rozmawiać po angielsku. Ostatnio zaczęłam mówić, że jestem z Wysp Owczych i wtedy nie mają wyboru. Ale

naprawdę fajnie wyglądasz. Widać od razu, że miałaś udane wakacje. A ja tu ręce po łokcie...

Mary wcale nie wyglądała na przepracowaną. Najwyżej na nieco przemęczoną różnymi atrakcjami przygotowywanymi przez nowych znajomych. Temat pracy w kancelarii zgrabnie zignorowała. Marta miała wrażenie, że traktuje praktykę jedynie jako letnią przygodę.

– Aha, mogłabyś powiedzieć tacie, że przyjeżdżam do cioci Teresy na długi weekend?

– Z Markiem? – spytała Marta, zastanawiając się natychmiast, gdzie upchnąć „dryblasa”.

– Sama. Z nim byłoby niezręcznie. Zaraz by z niego zrobili mojego narzeczonego – odpowiedziała, wykazując tym samym głębokie znawstwo rodziny. – On będzie miał co robić. Jest zaproszony na chrzciny.

– Marek? Do krakowskiej rodziny?

– Nie, do państwa Mierzejewskich. To znaczy innych państwa, ale nie pamiętam, jak się oni nazywają. Bo pani Ela urodziła synka dwa tygodnie temu.

– I Marka zaprosili? – Marta, wiedząc, że jest widoczna, za wszelką cenę usiłowała utrzymać spokojny wyraz twarzy.

Skąd się w życiu Maryśki wzięli wszyscy Mierzejewscy? No cóż...

Dzięki jej własnej inicjatywie. To ona spowodowała, że bardzo się zaprzyjaźnili zarówno z rodziną starą i nową, na co ewidentnie wskazywało zaproszenie na chrzciny.

– Szkoda tylko, że nie będzie tam Karola. On jest naprawdę super, ciociu! Pokazał nam tyle fantastycznych rzeczy.

Aha, w to akurat gotowa była uwierzyć. Cholerny Mierzejewski! Nie rezygnuje, prawda? Teraz zabrał się do inwigilowania jej rodziny. Jeszcze chwila, a spotka go „przypadkiem” na herbatce u własnej matki.

Martę zaczynały boleć mięśnie twarzy rozciągnięte w przymusowym uśmiechu.

– Wszyscy cię, ciociu, pozdrawiamy. Przełknęła ślinę.

– A jest tam ktoś jeszcze?

– Nie, tylko ja, ale za chwilę lecę do pracy i... – zamilkła na chwilę – mam dla

ciebie przesyłkę.

– Przesyłkę?

– Plik. Odbierzesz przez Skype?

– Jasne – odpowiedziała Marta.

To był plik z muzyką. Po chwili słuchała *Away from you* w wykonaniu, jakżeby inaczej, boskiej Sarah. Nie było sensu pytać, od kogo ta piosenka. Jakież to słodkie, mogłaby powiedzieć językiem Teresy, ale Marta nie zamierzała zmieniać zdania. Z dała od ciebie już na zawsze.

Marta pamiętała o słowach Ludki, że powinna spróbować porozmawiać z Jurkiem. Nie chciała nawet liczyć na jakikolwiek przypadek i parę razy podjechała tramwajem z Wrzeszcza pod dworzec, aby rozejrzeć się po okolicy. Nigdzie go jednak nie było. Ani przed kinem „Krewetka”, ani też przy dworcu. Zaczęła podejrzewać, że mężczyzna, który przywitał się z nią i Ludką w tunelu, wcale nie był jej dawnym narzeczonym. Mógł być do niego podobny. Przecież od czasów, kiedy się znali, minęło ponad dwadzieścia lat. Tamten mężczyzna – bezdomny, według Ludki – mógł po prostu przywitać się z nimi z czystej sympatii. Jeśli rzeczywiście był bezdomnym, mógł to zrobić pod wpływem alkoholu. Marta przypomniała sobie, jak przechodząc w mieście rodzinnym przed knajpą „Kaszubską”, była regularnie pozdrawiana przez wszystkich drobnych pijaczków.

Tego dnia postanowiła pojechać do Gdańska pod pretekstem kupienia płyty w empiku. To będzie ostatni raz i tym samym zaniecha tych wypraw, które powoli mogłyby się przerodzić w jakieś natręctwo. Marta czytała teraz interesującą książkę na temat buddyzmu i miała w sobie wiele spokoju. W związku z tym jej wzrok przeczesujący tereny przydworcowe zupełnie nie był nerwowy. W pewnym momencie kątem oka dostrzegła znajomą sylwetkę.

– Marta! Jaka niespodzianka.

– To prawda. Znowu się spotykamy w tej okolicy.

– Pięknie wyglądasz!

Eryk zbliżył się do niej i pocałował ją w policzek.

– Byłam w Turcji – wyjaśniła, trochę zła, że Eryk w ogóle się do niej po powrocie nie odezwał. – Myślałam, że jeszcze jesteś na wakacjach.

– Tak jakoś wyszło. – Eryk wlepił wzrok w brudny chodnik przy przystanku autobusowym, gdzie się zatrzymali. – Pojechałem z chłopakami tylko na tydzień. Szkoda, ale rozumiesz sama, sprawy służbowe.

Niby tak, ale tydzień wakacji z ojcem dla dzieci mieszkających z dala od niego to z pewnością zdecydowanie za mało.

Marta w milczeniu przyglądała się Erykowi. Jak na wakacje na wyspach greckich, to nie był on nawet w połowie tak opalony jak ona. Jasne spodnie, koszulka polo i ponieważ był to dość chłodny dzień, nieodłączna błękitna wiatrówka.

Eryk wyglądał na zmieszanego i miała wrażenie, że unika jej wzroku.

– Coś się stało? – spytała.

– A... – zawahał się – nic wielkiego. Zwykłe służbowe sprawy, ale jak się spiętrzą, to...

Marta obdarzyła go ośmielającym uśmiechem.

– Ech – westchnął – wszystko dlatego, że nie mogę cię namówić do pracy u mnie.

Zdziwiła się, ale nie dała po sobie poznać. Wprawdzie raz jej wspomniał, że mógłby ją zatrudnić, ale zupełnie nie można było tego nazwać namawianiem.

– No cóż – odpowiedziała dyplomatycznie.

– Jesteś teraz bardzo zajęta, Marta? Gdzieś jedziesz? Rozłożyła ręce.

– Nic sensownego. Kręcę się po mieście. Nagle twarz Eryka pojaśniała.

– A mogę cię zabrać do siebie do domu? Zanim zdążyła się zdziwić, dodał szybko:

– Obiecałem ci kiedyś pokazać mieszkanie. Moglibyśmy coś zjeść po drodze albo zrobić szybko jakieś spaghetti.

To bardzo przyjemne, że zapraszał ją na obiad, ale zapewne takie pichcenie zajmie sporo czasu, a Marta nie wiedziała, czy będzie chciała spędzić z Erykiem całe popołudnie. Może lepiej się nie uzależniać?

– To może wskoczmy do KFC? – zaproponowała, a potem obserwowała, jak naburmuszony Eryk przebiera wśród kawałków kurczaka.

Widać było, że nie znosi fast foodów i jest tam tylko z chęci towarzyszenia Marcie. Chciało jej się śmiać z jego miny. Sama nigdy nie była specjalną entuzjastką takiej żywności, ale nie uważała również, że zjedzenie kurczaka w panierce czy hamburgera natychmiast zabije jej układ trawienny.



Wyszli z KFC tak szybko, że nie zdążyła się rozejrzeć dokoła. Eryk jednak zauważył jej błędzący wzrok.

– Szukasz czegoś albo kogoś?

Marta potrząsnęła głową.

– Parę dni temu natknęłam się tutaj na osobę, której nie widziałam od wielu lat. Ale może się pomyliłam. Poza tym gdyby tak rzeczywiście było, ta osoba nie mogłaby mnie poznać.

Eryk ujął łokieć Marty, by poprowadzić ją w stronę parkingu.

– Ja cię od razu poznałem na tej konferencji inwestycyjnej.

– Na konferencji? – zdumiała się Marta. – Przecież spotkaliśmy się w „Morskim Oku”.

– Tylko dlatego, że byłaś tam oblegana przez tłumy. Na szczęście miałem zaproszenie od Stefana na otwarcie i założyłem, że się zjawisz również w Brzeźnie.

Założyłem! Marta spojrzała na swego „wychowanka” z dzieciństwa innymi oczami. Nigdy wcześniej jej o tym nie wspomniał. Zachowuje się tak, jakby chciał zrobić wrażenie głupszego, niż jest. Prawdziwa cicha woda z tego Eryczka. Spostrzegła, że ujmując dłoń jej łokieć, mimo iż doszli do samochodu.

– Nadal chcesz jechać ze mną?

Czy coś podejrzanego było w propozycji pokazania jej mieszkania?

Może powinna czytać między wierszami. Na wszelki wypadek dodała: – Ale odwiedź mnie, co? Teresa obiecała, że wpadnie do mnie wieczorem.

– Oczywiście. Będzie tak, jak sobie życzysz – powiedział i gestem dżentelmena otworzył drzwi dla pasażera.

Oliwskie mieszkanie Eryka nie zawiodło Marty. Wprawdzie mieściło się w starej przedwojennej kamienicy, ale urządzenie wnętrza w niczym nie przypominało o starych czasach. Nieliczne designerskie meble, kilka niezłych obrazów na ścianach, które nie wyglądały na kupowane hurtem, oszczędny wystrój i o dziwo, sporo światła dochodzącego przez dwa, połączone z balkonem, okna. Podsumowując, sama podpisałaby się pod takim wystrojem. Jej gust i smak. Z zadowoleniem skomentowała kilka detali wyposażenia, a Eryk promieniał z każdą jej uwagą.

– Napijesz się kawy?

– Jasne. – Poszła za nim do kuchni, zakładając się ze sobą w myślach, jakiej marki będzie czajnik elektryczny.

Wygrała. Alessi. Z tym że Eryk nie zamierzał z niego korzystać. Miał prawdziwy ekspres, również włoskiej produkcji, z którego po chwili zaczęła płynąć smakowicie wyglądająca cappuccino.

– A gdzie są twoje słynne kwiaty? – spytała, wciągając w nozdrza aromat kawy, i w tej samej chwili ugryzła się w język.

Wzmianka o kwiatkach znalazła się przecież w liście do Marii i zupełnym nietaktem było o tym przypominać. Ona przecież miała przeczytać ten list i natychmiast zapomnieć o jego treści. Marta poczuła, jak na jej dekolt wypełza zdradliwy rumieniec.

Eryk jednak niczego nie zauważył, gdyż ucieszył się z jej zainteresowania.

– Lubisz rośliny?

– Owszem – odpowiedziała nieco wymijająco.

Lubiła ogródki, ale nigdy nie przepadała za doniczkowymi. To był nawet jej wykręt, by niczego nie kupować do mieszkania. Poza tym łatwiej i poręczniej. Można swobodnie wyjeżdżać bez potrzeby zaprzyjaźniania się z sąsiadami.

Eryk otworzył drzwi balkonowe. Ku jej zdumieniu ukazał się cały ogród.

– Jaka tu przestrzeń – zdziwiła się Marta, widząc, że oprócz stojących i pnących się kwiatów na balkonie, a raczej tarasie, zmieściłaby się nawet mała knajpka. – No i tyle zielonego!

Eryk opowiadał jej o pielęgnacji różnych zgromadzonych tu roślin, a ona z zaciekawieniem obserwowała widok z tarasu. Spokój i cisza. Jedynie mały kot usiłuje złapać płożące się gałązki krzewu. Nieprawdopodobna enklawa stworzona została przez odwrócone do siebie tyłem bloki. A na tarasie można by się opalać. A nawet... zmieściłby się spory plastikowy basen.

– O...!

– Tak jest – przyznał Eryk. – Znasz się.

Trochę zagrała. Na kwiatkach znała się znacznie gorzej od Teresy, która uwielbiała spędzać w ich ogródku długie godziny.

– Kiedy to zdążyłeś zrobić?

– Część przywiozłem ze sobą, część kupilem.

– Wyglądają niezwykle dorodnie. – Spojrzała na Borzewskiego, który miał rozanieloną minę. Dotknął jej ręki leżącej na balustradzie. Bezwiednie ścisnęła ją lekko, a on uniósł ją do ust.

– Jednak żaden z tych kwiatów nie może się równać z tobą. – Powiedział to z tak absolutną powagą, że Marcie nie w głowie był histeryczny chichot. Poczwała to charakterystyczne napięcie, które pojawia się nagle pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy chcą być sobie jeszcze bardziej bliscy. Niemożliwe. Chyba jej się wydawało. Toż Eryk był jej „dzieckiem”.

Nie był. Zupełnie niemożliwe, aby tak było. Nie po tym pocałunku, który wycisnął z niej ostatni dech. Chciała coś powiedzieć. Zdziwić się.

Skomentować. Zastanowić się nad tym, że po tylu latach celibatu całowała w ciągu paru miesięcy już drugiego mężczyznę. I co gorsza, nawet jej się to bardzo podobało. Jednak kiedyś trzeba było zacząć oddychać.

– Marta! Nie masz pojęcia, od jak dawna marzyłem o tej chwili – wyjąkał Eryk i ponownie wziął ją w ramiona.

Mgła wywołana odurzeniem hormonalnym lekko ustąpiła i do Marty doszły jego słowa. Zdumiona, wysunęła się pospiesznie z jego objęć.

– Ale przecież...Eryku, a co z Marią?

– Z Marią? – Uśmiechnął się jakby lekko zakłopotany. –Ach, z tą Marią?

– A jest jeszcze inna? – Rozbawiona uniosła brew.

– No wiesz, to był taki mój niewydarzony pomysł. Zupełnie nie wiedziałem, jak sprawić, byś się mną zainteresowała. Wówczas wymyśliłem ten list, żeby móc się z tobą zobaczyć bez rodziny. A ja przecież w tym liście pisałem o tobie! Nie zorientowałaś się? Wydawało mi się, że doskonale wiesz, o kim mówię. Te twoje rady...

Marta przytuliła płonące policzki do jego ramienia. W żadnym wypadku nie mogła pozwolić, by zobaczył teraz, jak jest wzburzona i zażenowana. A to całe zawirowanie emocjonalne zostało wywołane kolejnym przejawem jej kompletnej ślepoty i nieumiejętnością odczytywania ludzkich zamiarów i intencji. Jej psychiczny układ immunologiczny zupełnie szwankował w kontaktach z innymi ludźmi. To tak jakby

była Marsjanką na wyprawie na planetę Ziemia. Przełknęła wolno ślinę i zwróciła się do przedstawiciela innego gatunku: – Pewnie, że się zorientowałam. Nie wiedziałam tylko, ile będziesz to jeszcze ciągnąć.

Eryk nie musi przecież wiedzieć, że jest głupia i mało spostrzegawcza.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że trzeba poczekać, więc niczego wcześniej nie próbowałam. Czekałem na jakiś znak... –Dotknął palcami jej policzka. – Wydaje mi się, że dzisiaj go dałaś. Mam rację?

– Oczywiście. Mam wrażenie, że rozumiemy się bez słów – ciągnęła oszukańczo.

Eryk chyba też tak uznał, gdyż już za chwilę zaczął się z nią komunikować w formie pozawerbalnej. Marta chętnie dołączyła do niej, jednakże jej myśli krążyły ciągle wokół jej „marsjańskiego” rodowodu.

## ROZDZIAŁ 16

– Marto, bardzo ci dziękuję, że zabrałaś nas na dzisiejszy koncert. To bardzo uprzejme i miłe z twojej strony – powiedziała matka podniosłym tonem, jakby wygłaszała mowę w związku z Noblem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Marta wiedziała, czego się od niej oczekuje, ale mówiąc to, puściła oko do siedzącej naprzeciwko Teresy, która nerwowo zachichotała w chusteczkę.

Przywiozła matkę i siostrę po koncercie organowym w katedrze oliwskiej na herbatę do „Morskiego Oka”. Dom kuracyjny, mimo zbliżającego się końca sezonu, był oblegany przez turystów i kuracjuszy.

Jako rodzina współwłaściciela obiektu zajęły w kawiarni honorowe miejsce na podwyższeniu, z którego rozpościerał się widok na morze. Ubrane były stosownie, jak na taką okazję przystało. Teresa w pastelową garsonkę z lnu i naszyjnik z turkusów, matka w sukienkę w swoim ulubionym granatowym kolorze i perły, a Marta... Tym razem poszła na całość i mocno zielony kolor jej bluzki zwracał uwagę nawet niedowidzących. No i te buty na kilkunastocentymetrowym obcasie. Teraz już nie musiała się obawiać o swój wzrost.

– Widzę, że interes się rozkręca. – Matka skinęła głową z aprobatą w sposób, który, Marta była niemal pewna, musiała podpatrzeć u królowej angielskiej.

– Stefan jest zadowolony – rozanieliła się Teresa. Po raz pierwszy matka nawiązała do spraw zięcia. – Są pomysły, aby budować podobne ośrodki w innych miejscach, ale on uważa, że to pójdzie w zbyt dużą komercję.

Marta, by powstrzymać się od komentarzy, spojrzała w sufit. Nie aprobowała sposobu prowadzenia interesów przez szwagra, ale matka była zadowolona.

– Całkiem słusznie. Lepiej zyskać najpierw dobrą markę. Ale że można zarabiać na takim zielsku i szafach wodnych?!

– To nie są szafy, tylko kapsuły. Powinnaś, mamo, wziąć parę zabiegów. Gwarantuję lepsze samopoczucie. Odmłodnieje nam mama – gorąco namawiała

Teresa.

– Dziękuję ci bardzo. Wystarczy mi, że zmuszasz mnie do picia tego szarlataństwa, „herbarii” – odparła matka. – A młodzień nie mam już po co.

Dobrze mi, tak jak jest.

Jako emerytowana lekarka nie wierzyła w jakiegokolwiek remedia niemające błogosławieństwa medycyny konwencjonalnej. Stale dziwiła się, że Teresa jest podatna na takie gusła tego „antropologa”, jak wyrażała się o swoim zięciu Stefanie Boersie.

– Ja się chętnie poddam – nieoczekiwanie zgłosiła się Marta. – Stefan może mnie zapisać.

– Ty? – Teresa udała zdumioną. – A tobie po co? Nic tobie, moja droga, nie dolega. Po prostu kwitniesz. Wystarczy trochę miłości – kontynuowała, jakby nie widząc, że Marta przewraca oczami – prawda, mam?

– Co prawda?

– Że Marta świetnie wygląda. Taka zakochana!

– Ja zaraz sobie pójdę – zagroziła młodsza Wentówna wściekła, że rozmowa zesłała na jej temat.

– Zakochana – powtórzyła matka, jakby zadawała pytanie. – No może...? Ale Eryczek wprost promienieje. No, któżby pomyślał, że się jeszcze w życiu zejdziesz. Bardzo się cieszę. Dobrze, że w porę tutaj przyjechałam...

Czy matka uważała, że związek z Erykiem to jej osobista zasługa?

– Bo Piotruś też się lepiej miewa – usłyszała i westchnęła z ulgą.

Całe szczęście, miała na myśli jej brata. Piotr rzeczywiście miewał się coraz lepiej i co więcej, szykował się do wyprawy... na Kretę. Z paru spontanicznie rzuconych przez Ludkę słów wyrósł prawdziwy plan wycieczki. Był on skrupulatnie przygotowany już na trzecim spotkaniu przedwycieczkowym przez panią prokurator i pana profesora, który teraz z każdym dniem zyskiwał lepszy kontakt z rzeczywistością. Marta miała jedynie nadzieję, że jej koleżanka nie rozpocznie z Piotrem dysput politycznych, bo cała wakacyjna idylla może się źle skończyć. Ich poglądy były całkowicie odmienne, a Ludka należała do wygadanych i zapalczywych osóbek.

– Na wszelki wypadek uświadomiłam jej, że jest od niego o piętnaście lat młodsza  
– oznajmiła Marta siostrze.

– No i po co ją odstraszasz? – oburzyła się Teresa. – Jeszcze się do niego źle nastawi.

– Akurat. Wiesz, co powiedziała? „Zawsze podejrzewałam, że są jeszcze ludzie, dla których jestem młodą laską”. Pani prokurator, a zupełna wariatka. No cóż, nasz brat też ma niezbyt równo pod sufitem.

Oczywiście pewnie nic by z wycieczki nie było, gdyby ten pomysł nie spodobał się matce. Stwierdziła, że syn musi pojechać na wakacje, bo przecież od następnego semestru wraca na uczelnię. Wynikało więc z tego, że jednak nie poszedł jeszcze na emeryturę. Marta z całych sił kibicowała bratu w jego zmaganiach ze sobą. Miała nadzieję, że oderwanie od matki może jedynie przyspieszyć proces ozdowieńczy.

– Marto! – Głos matki wyrwał ją z zadumy. – Czy widziałaś, jaka Mary była zamyślona podczas pobytu u Teni?

Chyba rzeczywiście tak było, ale pewnie Marta jak zawsze wysnuła mylne wnioski. Wydawało jej się, że bratanica ma kłopoty ze zrozumieniem mówiących naraz kilku osób i że kontakt z tuzinem krewnych, których od dawna nie widziała, stanowi dla niej poważne wyzwanie. Matka jednak uznała inaczej.

– Marysia ma jakieś kłopoty.

– Dlaczego mama tak uważa?

– Z jej spojrzenia. Zastanawia się, co ma robić. Mam tylko nadzieję, że nie spotkała tu kogoś, kto naplótł jej głupstw i namówił do pozostania.

Matka miała czasem fantazję. Takie pomysły snuły jej się po głowie pewnie dlatego, że nikt jej nie powiedział, iż kolega, z którym Mary przyjechała, jest jej chłopakiem. To, że z nim sypia, matce pewnie nie przyszłoby do głowy.

– To jej z pewnością nie grozi – wzięła bratanicę w obronę Teresa. – Rozmawiałam z nią parę razy. Byłyśmy nawet u stryja i na spacerze nad jeziorem.

– Mam nadzieję. Stale muszę się martwić o któreś z was – westchnęła matka.

– Zupełnie niepotrzebnie. Powinna mama wypoczywać – naciskała Teresa.

– Teńka, dziecko. Przestań do mnie mówić tak, jakbym już była w domu starców, dobrze?

Teresa spuściła głowę, gdyż nie lubiła nikomu sprawiać przykrości.

Ale matka miała inną naturę. Skończywszy ze starszą córką, zaczęła nowy wątek dotyczący młodszej:

– Jestem jednak już dosyć stara i nie wiadomo, jak długo tu z wami będę. Dlatego chciałabym znać, Marto, twoje plany. Czy Eryk ci się oświadczył? Kiedy zamierzacie się pobrać?

Pytania były absolutnie przedwczesne. Jej związek z Erykiem nie trwał nawet miesiąc, jednak przez to, że w ubiegłym tygodniu gościli u Boersów jako para, zwiększył niewątpliwie apetyty rodzinne i przyspieszył tempo rozgrywających się wydarzeń.

Sprawy nabrały szaleńczego tempa po ich pierwszym pocałunku, kiedy pojechali na cztery dni do Szwecji. Dwie noce spędzili na promie, a dwie w Sztokholmie. Marta dziwiła się, że Eryk nie chce polecieć samolotem, co niewątpliwie oszczędziłoby mu mnóstwo czasu, ale on odparł, że chce ten wyjazd traktować również jako prywatną wycieczkę. Jazda samochodem jest znacznie ciekawsza, a poza tym będą mogli porozkoszować się widokami szwedzkiej przyrody.

Bezrobotnej Marcie nie pozostało nic innego, jak się zgodzić na ten układ. Szkoda, że zapomniała, że podróż promem nie jest tak romantycznym przeżyciem, na jakie liczył Eryk. Niestety, nie udało im się w szczycie sezonu dostać większej kajuty, a ta, do której trafili, była tak mała, że trudno się było w niej okręcić dokoła. Opuścili ją więc tak szybko, jak się dało, by zjeść kolację w promowej restauracji. Kiedy wrócili do niej po północy, już po paru minutach zorientowali się, że z jakichkolwiek wątków romantycznych tej nocy będą nici, gdyż z korytarza dobiegają głośnie śpiewy i międzynarodowe rozmowy prowadzone pijackim tonem. Wszelkie próby uciszenia towarzystwa spełzły na niczym. Nie pozostało więc nic innego, jak przykryć sobie głowę poduszką.

Na szczęście następnego dnia Karlskrona przywitała ich wspaniałym słońcem i błękitnym niebem, a po odprawie paszportowej szybko znaleźli się w Szwecji. Marta, pomna przygód nieszczęsnej szmuglerki Małgorzaty, rozglądała się dokoła, poszukując wzrokiem celników, ale jej ciekawość nie została zaspokojona. Widać samochód terenowy Eryka nie był w ich guście.



Jej towarzysz, na promie nieco zachmurzony, na stałym łądzie wreszcie się rozluźnił i podczas jazdy stale nadskakiwał Marcie. Niestety, nie potrafiła mu się odwdziaczyć, gdyż ukołysana monotonną jazdą usnęła.

W Sztokholmie jednak wszystko poszło po myśli Eryka. Zamówiony pokój w Grand Hotelu z widokiem na Zamek Królewski już na nich czekał. Marta była zachwycona. Zawsze marzyła, aby choć raz spędzić noc w tym hotelu, ale nigdy wcześniej nie było to możliwe. I to przede wszystkim ze względów finansowych. Eryk zdawał się nie przejmować takimi „drobiazgami” i obracał się wśród tego luksusu z pełnym spokojem. Kiedy w centrum miasta zapłacił za parking zabójczą kwotę, nawet nie uniósł brwi ze zdziwienia. Po raz pierwszy Marta się zorientowała, że Borzewski musi być rzeczywiście zamożny. Zaczęła pluć sobie w brodę, czemu nie spytała go wcześniej o ten handel mieszkaniami. W tej chwili tego rodzaju pytanie byłoby co najmniej nie na miejscu. Jak się jednak okazało, nie było czasu na jakiegokolwiek rozmowy.

– Kochanie, nie pogniewasz się, że zniknę teraz na parę godzin? Mam umówione spotkanie.

– Już dzisiaj? – zdziwiła się. Nic jej o tym wcześniej nie wspominał.

– Lepiej dzisiaj, bo może jutro już nie będę musiał z nimi rozmawiać.

– A wiesz, jak tam jechać? – Była przekonana, że będzie towarzyszyć Erykowi również podczas jego spraw biznesowych.

– O tak. Mam nawigację w samochodzie, zapomniałaś? Skocz sobie do spa albo na zakupy. Ile pieniędzy potrzebujesz?

I zostawił ją niemal z otwartymi ustami jak jakąś... kurtyzanę. Ją, Martę, doktora nauk ekonomicznych. Tego się po Eryczku nie spodziewała!

Nie mieściło jej się to w głowie, że taki spokojny mężczyzna zgotuje jej niespodziankę i zostawi ją na lodzie od razu po przyjeździe.

Miotając pod nosem przekleństwa, wyniosła się z eleganckiego pokoju z widokiem na zamek na włóczęgę po Starym Mieście i po starych kątach, których tak dawno nie odwiedzała. Wstąpiła do Moderna Museet, pojechała do Djurgården, aby zobaczyć obrazy Muncha i Carla Larssona w Thielska Galleriet. Do hotelu wróciła dopiero koło dziewiętnastej. Zmęczona i obładowana zakupami z muzeów weszła do pokoju

hotelowego, ciesząc się z góry na minę Eryka. Mina była, ale jej własna. Bo samego Eryka nie można było uświadczyc. Po prostu nie wrócił z tych swoich biznesowych rozmów. Marta nie chciała dawać mu satysfakcji i ślać za nim SMS-ów, była jednak zbyt zmęczona, aby ponownie pałętać się po mieście. Wzięła więc prysznic, a potem rozsunęła podwójne łóżko i rzuciła się na jedno z nich. Momentalnie zasnęła.

Kiedy się obudziła, było jeszcze całkiem ciemno. Dopiero po pewnej chwili zorientowała się, że obudziło ją własne ciało. Było całowane, pieszczone i gotowe na więcej. Erykowi podczas jej snu udało się ponownie złączyć łóżka, a teraz dążył do połączenia ich ciał.

Do tej pory jeszcze ze sobą nie spali. Godząc się na wyjazd do Szwecji, Marta nie miała wątpliwości, że stanie się to podczas wspólnej podróży. Tak zresztą oboje sugerowali. Im więcej upływało czasu, tym bardziej się obawiała, czy będzie w stanie to zrobić. To, co z Mierzejewskim wyszło zupełnie spontanicznie, tu zamieniało się w problem podjęcia odpowiedniej decyzji. Jednakże w tej chwili cały proces decyzyjny wziął w łeb.

Zaskoczona zupełnie poddała się Erykowi, który wziął ją z nieoczekiwaną gwałtownością. Zachowywał się, jakby od dawna nie miał kobiety. Załkał, kiedy upadł w końcu na jej piersi, a ona wzruszona jego namiętnością gładziła go po włosach.

Po ośmiu latach celibatu w ciągu paru miesięcy spała już z drugim mężczyzną... No tak, nie będzie ich ze sobą porównywać.

– Proszę, nie bądź na mnie zła. Tak bardzo cię przepraszam, że tak to dzisiaj zeszło. Musiałem iść z nimi na kolację. A ty? Jadłaś coś?

– Nie przepraszaj mnie, Eryku. Wszystko w porządku.

– Jutro będę z tobą cały czas. Wybaczysz mi?

– No, zastanowię się, czy można ci zaufać – zażartowała, ale zauważyła, że Eryk się nastroszył.

Już wcześniej dostrzegła, że Borzewski nie zna się zbyt dobrze na żartach.

On był bardzo poważnym facetem. Czy za poważnym nawet dla niej?

Pozycja, w której leżała, nie skłaniała jednak do jakichkolwiek głębszych rozważań.

Czy Eryk się oświadczył, czy zamierzali się pobrać? W willi „Morskie Oko” pod ostrzałem pytań matki Marta wiała się i coraz bardziej czerwieniała. Nie była przyzwyczajona do takich bezpośrednich ataków rodzicielki, która zazwyczaj posługiwała się sugestią i manipulacją. Przecież te wszystkie pytania były zupełnie przedwczesne. Oboje z Erykiem mieli zbyt dużo doświadczenia, żeby podejmować pochopne decyzje. Poza tym dopiero zaczynali się poznawać. Marta nie zdążyła jednak udzielić żadnej odpowiedzi, gdy Wentowa postanowiła zaspokoić swą ciekawość w kolejnej kwestii: – Czy dostałaś wreszcie odpowiedź z kurii w sprawie o unieważnienie małżeństwa?

Marta spuściła wzrok i dołała z czajnika do filiżanki resztę herbaty.

– Nie, nie dostałam – odpowiedziała, zagryzając dolną wargę.

Czy kiedykolwiek zbierze się na odwagę, żeby powiedzieć matce, że nigdy nie wystąpiła o unieważnienie małżeństwa? Miała nawet nadzieję, że ona dawno już o tym zapomniała i nigdy więcej nie będzie dyskusji na ten temat. Ale gdzież tam! Fakt, że kiedyś się rozwiodła, nigdy nie został przez matkę zaakceptowany. Może nie było w tym nic dziwnego, skoro to ona sama doprowadziła do tego nieszczęsnego małżeństwa.

Teraz, po latach, Marta rozumiała tamte wydarzenia o wiele lepiej.

Wówczas, nadal psychicznie obolała po nieoczekiwanym rozstaniu z Jurkiem, w niewielkim stopniu koncentrowała się na rzeczywistości. Tym razem lekarstwem dla niej stała się nauka. Uznając, że języki obce jej naprawdę nie interesują, od października rozpoczęła równoległe drugie studia, ekonomiczne. Przynajmniej teraz miała co robić. Czytała grube tomiska ekonomii socjalizmu, starając się odcedzić informacje od propagandy. Ryła po nocach i w kolejce SKM, a kursując non stop pomiędzy Oliwą a Sopotem, studiowała angielskie pisma. Kilka razy spędziła wakacje, pracując na farmie w Szwecji i w Norwegii. Była bardzo zajęta i nie miała czasu na jakiegokolwiek „uczuciowe głupoty”.

Na Darka nigdy nie zwróciłaby uwagi, gdyby nie przyszedł do jej domu. A w zasadzie przyjechał wraz ze swoją babcią, która była znajomą matki jeszcze z jej panięńskich czasów w Wilnie. Kobiety miały mnóstwo wspólnych tematów, bo chodziły do tej samej szkoły i niegdyś obracały się w tych samych towarzyskich

kręgach. Darek Wajchrowski umarłby pewnie z nudów, słuchając o tych wszystkich nieznanym mu ludziach, o których prowadziły rozmowy, gdyby nie Marta, która z litości zabrała go na spacer nad jezioro. Na szczęście nie męczył jej rozmową. Był poważny, grzeczny, dobrze wychowany, skończył studia politechniczne. Kiedy więc parę dni później zadzwonił na stancję i zaprosił ją do teatru, nie odmówiła mu.

Spotkali się jeszcze parę razy z okazji różnych imprez, na które ją zapraszał, a kiedy po obronie pracy magisterskiej wyszła z sali gmachu ekonomiki transportu, czekał na nią z wielkim bukietem róż.

– Skąd wiedziałeś? – spytała zarumieniona od wysiłku intelektualnego, który spotkał się przed chwilą z komplementami ze strony komisji egzaminacyjnej.

– Przecież to była główna informacja we wszystkich gazetach – zażartował.

Wzruszyło ją wówczas, że zadał sobie tyle trudu. A potem widywała go coraz częściej. Pojawiał się na różnych uroczystościach rodzinnych, sam lub ze swoją babcią. Matka błyskawicznie zaczęła traktować go jak członka rodziny.

– Najważniejsze są dobre geny – podsłuchiwała ją kiedyś w rozmowie Marta. – Człowiek z góry wie, co dostanie. To przecież medycznie sprawdzone. – Domyśliła się, że mówi o młodym Wajchrowskim.

Poza tym Darek był tak bardzo przydatny. W domu naprawił stary telewizor, a gdy Marta miała problemy ze szwankującym na stancji piecem gazowym, zawsze usłudźnie proponował jej pomoc. Pierwszy ich pocałunek nie wiązał się z żadnymi szaleńczo romantycznymi okolicznościami, ale był początkiem tego, na co wszyscy bliscy czekali. Stali się wreszcie parą, a pół roku później mieli przypieczętować swój związek ślubem. Jednakże w tym samym czasie Marta uzyskała możliwość kontynuowania studiów doktoranckich w Szwecji.

Matka była bardzo niezadowolona, dowiedziawszy się, że planowany ślub został przełożony do czasu powrotu córki z Uppsali.

– Sprawa rodziny powinna być dla ciebie najważniejsza – surowo zganiła Martę.

– Ale ja jeszcze nie mam rodziny! I dlatego chcę jak najszybciej zrobić doktorat. Potem może już nie zdążę.

– Czyli przedkładasz karierę nad swoje życie z Darkiem. To nie jest godne kobiety.

Wówczas po raz pierwszy Marta usłyszała od matki uwagę na temat robienia

kariery. Na szczęście jej narzeczonemu okazał się bardziej racjonalny.

Uważał, że stypendium Marty to doskonała szansa dla jej zawodowego rozwoju. Sam już pracował w nowej spółce i dobrze zarabiał, a podczas nieobecności Marty zamierzał kupić dla nich mieszkanie, do którego ona mogłaby przyjeżdżać w czasie przerw w nauce.

Wszystko doskonale się układało i wreszcie w sierpniu 1991, ku obopólnemu zadowoleniu obu rodzin, Marta została w końcu panią Wajchrowską. Oboje z Darkiem z dużym entuzjazmem włączyli się w ówczesną polską rzeczywistość rodzącego się kapitalizmu. Jednym z jego przejawów stała się założona przez nich firma produkcyjno-handlowa. Czas leciał jak zwariowany. Zajęcia ze studentami na uniwersytecie, praca w banku, a później w instytucie, pomaganie Darkowi w prowadzeniu przedsiębiorstwa i nagle okazało się, że trzy lata minęły jak z bicia strzelił.

Dopiero wtedy Marta nagle zwróciła uwagę na mimochodem zadawane im pytania:

– A dzieci państwo nie mają?

Rzeczywiście nie mieli, mimo iż od dłuższego czasu postanowili się nie zabezpieczać.

– Tenia, chciałabym zrobić badania – poprosiła Marta w wielkiej tajemnicy siostrę, a ta podała jej parę nazwisk swych kolegów po fachu w Gdańsku.

„Nie ma powodów do niepokoju”, usłyszała po podstawowych badaniach, które obejmowały również pobranie spermy od Darka. Z poświęceniem zniósł całą procedurę, której decydująca część odbywała się w szpitalnej ubikacji pozbawionej zamknięcia. Ale Marta nadal nie zachodziła w ciążę.

– Za bardzo koncentrujesz się na pracy – odkryła przyczynę matka.

Tym razem postanowiła jej posłuchać i zwolniła tempo – Darek musiał sam dawać sobie radę w firmie – ale bez rezultatu.

Marta coraz bardziej desperackim wzrokiem wodziła za swoimi bratankami Asią i Bartkiem. Omijała też z daleka swoje dawne koleżanki pchające wózki z niemowlakami. Stopniowo rodziło się w niej smutne przecucie.

– Widać kobiety w naszej rodzinie nie mają szans na rozmnożenie się – zauważyła kiedyś gorzko w rozmowie z Teresą, która przeżywała wówczas gorący romans, ale

bez perspektyw na macierzyństwo.

– Nie martw się. Jak o tym zapomnisz, to od razu zajdziesz! – Siostra rzuciła uwagę, którą słyszała już... ile to razy?

Ciekawe, w jaki sposób miała o tym zapomnieć. Babcia Darka na łożu śmierci zaklinała Martę o rychłe przedłużenie rodu Wajchrowskich. Matka przy każdym spotkaniu przenikliwym wzrokiem lustrowała szczupłą jak zawsze figurę córki i radziła wybrać się na pielgrzymkę do Częstochowy.

Doszło do tego, że gdy zbliżał się termin miesiączki, Marta zamieniała się w kłębek nerwów, była płaczliwa i byle co wyprowadzało ją z równowagi.

Stopniowo było więcej badań, coraz bardziej specjalistycznych. I było też coraz więcej prób, do których oboje podchodzili z coraz mniejszym entuzjazmem.

Kiedy po powrocie z wakacji w Hiszpanii okres Marty się spóźnił, tym razem nie pobięła jak zwykle do apteki po test ciążowy. Z wizytą u ginekologa zwlekała ponad miesiąc. Wówczas zyskała pewność dzięki typowym objawom, takim jak nudności czy opuchnięte piersi. Lekarz zbadał ją, a potem nieco zdziwiony postanowił wysłać ją na badanie ultrasonograficzne. Rezultat był zadziwiający:

– Jest pani w ciąży. To będą trojaczki.

Marta z ogromnym wzruszeniem przekazała tę informację Darkowi, który po początkowym entuzjazmie zaczął się martwić, jak sobie poradzą z taką gromadką, która niewątpliwie zburzy ich dotychczasowy spokój.

Przejęta nowiną Teresa wysłała siostrę natychmiast do najlepszego w Trójmieście specjalisty. Ale wynik kolejnego badania nie brzmiał już tak optymistycznie.

– No tak. Trojaczki? Wątpię... Proszę się nie przyzwyczajać do tej myśli. Ta ciąża jest zagrożona – oświadczył brutalnie wielki rekomendowany specjalista.

Usłyszawszy to, Teresa zmarszczyła ze złości brwi i natychmiast wysłała siostrę do innego lekarza. Jednak nikt nie mógł jej pomóc. Marta poroniła.

– Nie martw się. Najważniejsze, że możesz już zejść w ciążę.

Następnym razem się uda – próbował pocieszać żonę Darek i nie mógł zrozumieć, dlaczego ta odwraca się od niego.

Nie przypuszczała, że jest aż tak pozbawiony uczuć. Wprawdzie ich związek nie obfitował w sinusoidalne, romantyczne uniesienia – nikt za nikim nie szalał, nikt

nikogo nie nienawidził, jednak do tej pory funkcjonował zupełnie zgodnie. Oboje preferowali spokojny tryb życia i niezbyt często spotykali się w szerszym gronie przyjaciół. Wystarczało im własne towarzystwo, w pracy i w domu, przy pieczołowitym meblowaniu eleganckiego mieszkania w Sopocie, lekturze książek, na koncertach. Zimą były narty, latem pobyt w jakimś „przyjemnym, ciepłym kraju”, wszystko bez psujących krew niemiłych niespodzianek. Ale informacja, którą otrzymała Marta od lekarza niecały rok po poronieniu, zupełnie zburzyła ich codzienną rutynę. – Ma pani endometriozę.

Najpierw próbowano leczenia, ale choroba była tak zaawansowana i o tak gwałtownym przebiegu, że nie było wyjścia, jak poddać się operacji, która na zawsze pozbawiłaby Martę macierzyństwa.

Kiedy mówiła o tym Darkowi, patrzył na nią z niedowierzaniem.

Potem zadawał pytania. Jak to? Nie było innego wyjścia? To niemożliwe.

Nie może zrozumieć, jak do tego mogło dojść. Przecież jej własna siostra była ginekologiem. Pewnie to dlatego, że nie próbowali mieć dzieci od razu, jak im sugerowała jego babka i matka Marty. Zawsze powtarzała przecież, że nie ma co czekać i myśleć o karierze. Jakaż to ogromna tragedia, powtarzał, swoimi słowami przekręcając nóż w piersi Marty. Adopcja? Nie, nie. Na to się nigdy nie zgodzi. Może Marta powinna jednak poczekać? Na miłość boską, ma dopiero trzydzieści cztery lata. Przecież nie musi tak na ich pierwszy gwizdek dawać się kroić.

I Marta czekała. Dobrych kilka miesięcy. Krwotoki i bóle podbrzusza zmieniły jej życie w koszmar. Od środków przeciwbólowych dostała zapalenia żołądka. O żadnych kolejnych próbach zajścia w ciążę nie było mowy. Żeby nie budzić po nocach Darka, przeniosła się na kanapę w salonie. W końcu musiała uznać swoją porażkę. Zalana łzami poszła do Teresy. W następnym tygodniu operowano ją w Akademii Medycznej.

A potem wszyscy do niej przychodzili z bardzo poważnymi minami, plotąc bardzo poważne banały. Nawet matka miała zaczerwienione oczy i tym razem powstrzymała się przed wygłaszaniem swych prawd objawionych. Marta zdrowiała bardzo powoli, gorączkowała i do domu powróciła dopiero po dziesięciu dniach. Przywiozła ją Teresa, gdyż Darek, który już parokrotnie z powodu Marty przekładał swój wyjazd,

pojechał służbowo do Warszawy. Miał jednak wrócić następnego dnia.

– Zostanę tu z tobą – zaproponowała jak zawsze chętna do pomocy Teresa.

Marta jednak była przyzwyczajona do samotności. Ułożyła się jak najwygodniej na kanapie przy telewizorze. Oświadczyła siostrze, że doskonale da sobie radę, będzie popijała soczki i rosół z prawdziwej kury i w końcu dobrze się wyśpi we własnym łóżku.

– Nie będziesz rozpamiętywać, dobrze? – niepokoiliła się Teresa, patrząc na papierowo białą twarz siostry.

– Nie będę.

– Zostawili ci jeden jajnik, więc niedługo będziesz już normalnie funkcjonować. Tymczasem nie wolno ci niczego podnosić i zapomnij o jakichkolwiek porządkach. Widzę, że Darek przyszykował mieszkanie na twój przyjazd.

O tak! Nawet przesłał kwiaty przez kwiaciarnię. Miło z jego strony, prawda?

– On jest do ciebie bardzo przywiązany. – Teresa poklepała jej rękę.

– Dobrze to, Teńka, ujęłaś – odpowiedziała Marta, czując, że jej racjonalność się nagle wyczerpała. Miała już dosyć myślenia, że wyjazd Darka, gdy ona ma wrócić ze szpitala, jest uzasadniony i że go akceptuje.

Wcale tak nie było. Powinien być teraz przy niej. Głaskać jej rękę i obejmować. Trzymać jak najmocniej, żeby się nie rozpadła na kawałki.

Płakać z nią, jeśli trzeba. Całować ją i przede wszystkim mówić jej, że kocha ją najbardziej na świecie i nic nigdy tego nie zmieni.

Teresa siedziała przy Marcie do wieczora, zabawiając ją opowieściami z dzieciństwa, a w końcu po namowach siostry zostawiła ją i pojechała do swojego domu.

Może to błąd, pomyślała Marta, ale wkrótce zaczęły się jej kleić oczy i postanowiła wreszcie przenieść się z kanapy do swojego łóżka. Tak bardzo się za nim stęskniła.

Sypialnia była również nienagannie posprzątana i uporządkowana.

Darek, chcąc jej zrobić przyjemność, rozłożył nawet przy łóżku zapachowe potpourri. Jednak od słodkawego zapachu zrobiło się jej trochę mdło. Marta ściągnęła kapę po swojej stronie łóżka i ostrożnie, żeby nie urazić brzucha, położyła się.

To nie w porządku, że jest tu bez niego, pomyślała po raz kolejny, ale ten raz



spowodował, że poleciały jej z oczu łzy. Dlaczego go nie ma, zachlipała i wyciągnęła rękę na stronę Darka.

Nie mogła się pogodzić z niesprawiedliwością życia, które zabrało im szansę posiadania dziecka. Miałoby u nich wszystko, czego mogło zapragnąć, ale... ale się żadne nie urodziło.

Ręka Marty głaskała puste prześcieradło. W pewnej chwili nie było już puste i dłoń jej zamknęła się na drobnym przedmiocie.

Następnego dnia Darek wrócił dopiero w południe. Wszedł do pokoju z naręczem tulipanów dla Marty.

– Bardzo mi przykro, że nie mogłem cię przywieźć. – Nachylił się nad nią leżącą na kanapie i pocałował ją w policzek.

– Tak się zdarzyło – odpowiedziała drewnianym głosem.

– Jest coś do jedzenia? Bo za chwilę, niestety, muszę jechać dalej.

Przychodzą do firmy ci przedstawiciele od producenta maszyn. Bez przerwy harowa.

– Jest rosół.

– A możesz podgrzać? Muszę wziąć prysznic i zaraz lecę.

Obolała Marta zwlokła się z łóżka i na trzęsących się nogach poszła do kuchni. Po chwili, wycierając ręcznikiem włosy, wpadł tam Darek. Z apetytem rzucił się na zupę. Przysiadła na krześle i spojrzała na niego. To niemożliwe, myślała. To jedynie jakieś majaki. Z pewnością jest na to jakieś racjonalne wytłumaczenie. Chciała je od niego usłyszeć, ale czuła się nadal bardzo słaba.

– Darek? – zaczęła mimo wszystko.

– Tak? – W pośpiechu łykał rosół, a resztkę makaronu została mu na brodzie.

– Czy zepsuł ci się wzrok?

– Wzrok? No coś ty? Nadal mam sokoli. Serce Marty dudniło coraz szybciej.

– Aha. W takim razie co robiło szkło kontaktowe w naszym łóżku?

Przełknęła tak głośno ślinę, że słysząc ją było chyba na sąsiedniej ulicy. Dopiero po chwili zorientowała się, że w kuchni panuje zupełna cisza.

Darek przestał jeść i wierzchem dłoni wytarł usta. Marcie zaczęły drżeć wargi.

– A więc ty je znalazłaś! – powiedział dopiero po dłuższej chwili. – No, dobrze –

uderzył pięścią w stół, aż podskoczył talerz z resztką rosołu – a więc nie ma sensu tego dłużej ukrywać. Sprawa powinna być jak najszybciej rozwiązana.

– Jaka sprawa? – pytała Marta, ale odpowiedź przeczuwała od wielu godzin. Prawdę mówiąc, nie był to najlepszy dla niej dzień na usłyszenie prawdy.

– To jest soczewka mojej przyjaciółki. Powiedziałbym ci o tym wcześniej, ale nie chciałem cię denerwować przed operacją... Chyba sama doskonale wiesz, że nasze życie małżeńskie było bardzo puste.

No i on zapełnił je prawdziwą miłością i idealnym seksem uprawianym z dziewczyną kontrahenta, którą ten, na swoją zgubę, zabrał któregoś dnia do firmy Darka. Związek ich trwał już od wielu miesięcy.

Oboje postanowili w końcu, że chcą go zalegalizować, i dlatego sprawa rozwodowa powinna zostać jak najprędzej przeprowadzona. Nie może być z tym żadnych problemów, bo przecież Darek i Marta nie mają ze sobą dzieci i nie wchodzi w rachubę jakiegokolwiek alimenty. Prawdę mówiąc, to bardzo zależy mu na czasie, bo jego przyjaciółka jest w trzecim miesiącu ciąży.

– Sama chyba rozumiesz. Zawsze zależało mi na dzieciach.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spokojnie spytała Marta.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to chłopak – odparł z dumą Wajchrowski. – No to lecę, a ty pomyśl, jak najlepiej to załatwić. Nie musimy brać prawników. Nie będziesz chyba stawać na drodze naszej przyszłej rodzinie.

Ja nie będę ci sprawiał kłopotów. Myślę jednak, że mieszkanie powinno zostać przy mnie, skoro będę miał wkrótce nową żonę i dziecko.

Po chwili nie było go w domu, a głowa Marty osunęła się na blat stołu.

Leżała tak kilkanaście minut, a potem podniosła się i spakowała reklamówkę z kosmetykami i bielizną. Podtrzymując pokrojony brzuch jedną ręką i zginając się w pół z bólu, zeszła po schodach na dwór.

Wyprowadziła swój samochód z garażu i pojechała prosto do Teresy. Nie powiedziała siostrze, co się stało. Nikomu innemu również. Oznajmiła tylko, że zamierza się rozwieść z Darkiem. Nikt nie powinien się dowiedzieć o jej wielkim upokorzeniu. Kolejnym! Wówczas też, podczas jazdy do swego rodzinnego domu, po raz pierwszy zauważyła, że stale jedzie za nią nieznanemu samochód. Po paru dniach

dołączył do niego drugi... Tak to się zaczęło, a raczej skończyło. Potem były całe tygodnie spędzane w łóżku, sekundy, minuty i całe godziny wypełnione bólem. A jeszcze znacznie później ostatkiem sił wzięła się za siebie. Po niemal siedmioletnim małżeństwie pozostał wyrok rozwodowy, a po Darku nawet nie „w komodzie szalik”. Tak gruntownie wysprzątała.

Od tamtego dnia Marta nigdy nie wzięła do ust rosołu.

## ROZDZIAŁ 17

Marta patrzyła na ubierającego się Eryka. Był szczupły i miał zgrabne pośladki, dobrze prezentujące się w dżinsach, które na siebie w tej chwili wciągał.

– I co, obserwatorco? – Musiał spostrzec jej wzrok. – I co cię tak zainteresowało?

– Całość – odparła z uśmiechem i umościła się wygodnie na poduszce.

– Co chcesz dzisiaj robić po południu? Może pojedziemy się wykąpać?

Woda jest jeszcze ciepła. Albo wiesz co? – spojrzał na Martę zakopaną w pościeli.

– Może jednak zostaniemy w domu?

– W którym? – spytała Marta rzeczowo.

– To może u ciebie? Czy dasz się zabrać do mojej pracy? Może cię namówię na posadę, co?

– O nie! Nic z tego. Nie będziemy razem pracować, ale chętnie zobaczę, czym się zajmujesz.

Eryk spoważniał tak, jakby momentalnie stał się kimś obcym.

– To dlatego, że pracowałaś ze swoim mężem, prawda?

Marta roześmiała się, ale widząc, że Eryk niczego nie rozumie i zaczyna się obrażać, szybko wytłumaczyła: – Kto ci takich historii naopowiadał? Tak było na samym początku, kiedy pracowałam na uniwersytecie, potem robiliśmy zupełnie co innego.

Kochanie, wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej, ale dostałam etat w wyższej szkole biznesowej. Zaczynam pracę od października.

Klamka zapadła. Marta zdecydowała się pozostać w Gdańsku.

Oczywiście, jak to zwykle w życiu bywa, tego samego dnia, po rozmowie z rektorem i załatwieniu wszelkich formalności, zadzwoniły do niej dwie firmy headhunterskie ze wspaniałymi ofertami pracy. Trudno. Widać tak musiało być. Poza pracą na uczelni Marta zamierzała otworzyć własną firmę konsultingową.

Na wcześniejszych stanowiskach zyskała spore doświadczenie w pisaniu i obsłudze projektów unijnych i z tą dziedziną wiązała teraz największe nadzieje.

– Marta, wiesz, że jeśli w ogóle nie będziesz chciała pracować, to nie musisz? – Spojrzenie Eryka było tak poważne, że tym razem nie wybuchnęła śmiechem.

– Dziękuję ci – odpowiedziała uroczyście.

– Naprawdę. Nawet byłoby mi miło, gdybyś nie pracowała. I nie musisz tego wiązać, no wiesz... z małżeństwem. Ale ja i tak mam stale nadzieję. – Eryk pocałował ją w kącik ust.

Tak niby nic, a znów nawiązał do małżeństwa. Po raz pierwszy zaczął temat jeszcze w Sztokholmie, ale wtedy łatwo go było zbagatelizować.

Teraz z każdym tygodniem sprawa wyglądała o wiele trudniej. Po co Erykowi ślub?

– Wiesz, twojej mamie sprawiłoby wielką przyjemność, gdybyśmy się pobrali – powiedział i zamiast pójść już do pracy, usiadł koło niej na łóżku.

Nie było ucieczki. Musiała ponownie podjąć ten temat.

– Tak, gdyby to był ślub kościelny, a to nam nie grozi. – Na szczęście nie ona była tu kozłem ofiarnym, stan cywilny Eryka był taki sam jak jej własny.

– Ja mogę wziąć z tobą ślub kościelny w każdej chwili. Brałem tylko cywilny.

Aha! Teraz zaczynało do niej wszystko lepiej docierać. Matka musiała o tym doskonale wiedzieć i dlatego cały czas faworyzowała Eryka. I stąd te jej pytania o odpowiedź z kurii! Marta nigdy nie wystąpiła o unieważnienie małżeństwa, do czego matka usilnie ją namawiała. Wystarczyło jej, że musiała w sprawie swojego małżeństwa chodzić do sądu i prawników.

Gdyby miała ponownie zeznawać na temat rozpadu związku przed kolejną instancją, pewnie tym razem by się psychicznie nie podniosła.

– Podejrzewam, że ciocia Emilia nie była zadowolona, że się rozwiodłaś – zauważył Eryk.

– Mało powiedziane – prychnęła Marta.

To, co usłyszała od matki po ucieczce od Darka, w zasadzie mogłoby wystarczyć, żeby nigdy już nie odezwać się do niej ani słowem.

Dlaczego zostawiła swojego męża i swój dom? Czy ona uważa, że małżeństwo to jakaś zabawa? I dlaczego jej starsza córka Teresa przetrzymuje Martę u siebie, zamiast przemówić jej do rozumu i odesłać czym prędzej do domu.

Nawet gdy po wielu miesiącach matka dowiedziała się o dziecku Darka, nadal wydawało się, że nie akceptuje postępowania córki. Odzywała się do niej tylko z musu, a ich wzajemne kontakty były lodowate jak noc polarna.

– Powinna była walczyć o swego męża. Dlaczego się poddała, zupełnie tego nie rozumiem. Jak się kogoś kocha, to należy tego bronić za wszelką cenę. Nie powinna go tak po prostu oddać obcej kobiecie. – Kiedyś w kuchni Marta podsłuchiwała strzępki rozmowy matki z Teresą. – To przecież mogło się okazać dla nich bardzo korzystne. W sumie mogła im nawet zaproponować, że zajmie się tym dzieckiem. Może jakaś adopcja. Ja po prostu nie wierzę, aby Darkowi zależało na takiej pierwszej lepszej.

Słowa te padły w czasie, gdy Marta dochodziła już do siebie po załamaniu. Natychmiast nastąpiło pogorszenie. Jednakże szczęśliwym trafem spotkała wówczas psychiatrę, która potrafiła wyprowadzić ją na prostą. A mało brakowało!

– Wiesz, twoja mama została zupełnie inaczej wychowana – próbował dalej bronić ciotki Eryk.

– Myślę, że szybciej bym się podniosła, gdybym miała wówczas jej wsparcie – wyszeptała Marta w zasadzie do siebie samej, kiedy Eryk wyszedł z domu.

Nie chciała już słuchać o jakichkolwiek życiowych komplikacjach. To było zgoła tragiczne, by w kontekście słowa „ślub” tak nagle znalazło się inne – „rozwód”. Czy nie wystarczało im to, co tak niedawno zaistniało między nimi?

Zebrała się i wyskoczyła z łóżka. Potem szybki prysznic, ubranie, makijaż – wersja podstawowa i w zasadzie była już gotowa. W mieszkaniu Eryka czuła się nadal gościem i nie zamierzała przebywać w nim dłużej, niż było to konieczne. No, może z wyjątkiem dodatkowych paru minut na przygotowanie cappuccino. Ten ekspres do kawy bardzo jej się podobał.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby utrzymanie dwóch mieszkań, zaczęła ponownie rozmyślać w samochodzie, jadąc do Wrzeszcza. Powinna zdecydowanie oznajmić Erykowi, że nie chce się z nim jeszcze wiązać na stałe. Jeszcze? Prawdę mówiąc, to małżeństwa w ogóle nie miała już w planach. Nie da się też sterroryzować matce, która z pewnością potępi związek „na kocią łapę”.

W tym bojowym nastroju dojechała na Batorego. Mimo iż w mieszkaniu było nadal niewiele mebli, czuła się tu o wiele swobodniej. Po prostu była u siebie. Poczowała

się nagle głodna, dochodziła już dziewiąta.

Wrzuciła więc chleb do tosteru i sięgnęła do lodówki po masło i dżem.

Nastawiła głośno radio i kiedy wyskoczyły tosty, zaczęła je smarować.

Dopiero po chwili zwróciła uwagę na melodię, której tony wznosiły się coraz wyżej, niemal pod sufit kuchni. Think of me z Upiora w operze śpiewała, no któż by, oczywiście Sarah.

Zamówił sobie ten utwór czy co? Marta zamarła z nożem i tostem w ręku. Nagle grzanka zaczęła dziwnie dygotać, jakby falowała. Ręka kobiety zadrżała jak podłączona do prądu.

– Nie! – rzuciła tosta na blat stołu wraz z nożem z takim impetem, że stukła się stojąca w pobliżu kryształowa szklanka.

Boże, co się ze mną znów dzieje?

Marta, siedząc przy stole, ukryła twarz w dłoniach, ale i tak łzy znajdowały jakąś drogę ewakuacyjną i spływały na blat. Dlaczego musiała pomyśleć o Karolu Mierzejewskim? Tak jej dobrze szło to zapominanie. I nagle opóźniona reakcja... i Niagara łez. I na dodatek te wszystkie obrazy, które szybko przewijały się w jej głowie jak w jakimś oszalałym kalejdoskopie. Sceny, kiedy razem z Karolem śmiali się ukradkiem z jednego z prelegentów plotącego bzdury na konferencji we Wrocławiu, kiedy nie zdążyli na samolot w Kopenhadze i spóźnili się na kolejny, gdyż przysnęli na fotelach. Potrafili uzupełniać za siebie niedopowiedziane kwestie. Tak doskonale się rozumieli... Do czasu, kiedy okazało się, że nie ma między nimi żadnego porozumienia, bo wszystko zatrute jest kłamstwem. Chyba sam to pojął, skoro dał za wygraną i nie starał się z nią skontaktować. Plik z muzyką otrzymany przez Skypea był ostatnim znakiem od niego.

Marta wiedziała, że rozumuje zupełnie irracjonalnie. Gdyby Karol się odezwał, z pewnością nie chciałaby z nim rozmawiać, ale teraz cierpiała jak potępieniec z tego właśnie powodu, że Mierzejewski ją ignoruje. Jeszcze trochę i popadnie w paranoję. Trzeba się przestawić na zupełnie inny sposób myślenia. Karol Mierzejewski był kolejnym facetem, który zdołał ją oszukać. Trzecim w zasadzie, więc do trzech razy sztuka. Poza tym sam pragnął być oszukiwany przez takiego wytrawnego gracza jak Nagórski. E-mail Marty na temat ministra nie wywołał w nim żadnej reakcji.

Wstrętny oportunistą!

W jej życiu liczy się teraz tylko Eryk – mężczyzna w jej typie: szczupły, wysoki i na dodatek w niej zakochany. Trochę niezrozumiałe.

Poza tym sprawy łóżkowe... Te układały im się bardzo dobrze. Eryk – miał chyba sporo doświadczeń – doskonale wiedział, co robić z kobietą, a Marcie wszystkie te czynności bardzo odpowiadały. Podobno z wzajemnością, jak jej dawał nieustannie do zrozumienia. Poza tym chciał z niej zrobić uczciwą kobietę, ha!

Dopiero po wyjściu z budynku Eryk zauważył, jak bardzo jest zdenerwowany. Nie był zadowolony z przeprowadzonej rozmowy. Od samego początku wszystko szło nie po jego myśli. Mężczyzna, który z nim rozmawiał, żuł ostentacyjnie gumę i sprawiał wrażenie zupełnie niezainteresowanego wspólnym przedsięwzięciem. Jeszcze niedawno stał na rogu ulicy i handlował walutą, a teraz wielki z niego biznesmen i deweloper!

Eryk z wściekłości uderzył pięścią w słup od latarni. Aż zaboląło go w nadgarstku. Dotknął ręką czoła. Było wilgotne od potu. Czuł, że również cała koszula jest przepocona, a on sam ma lekkie zawroty głowy. Doskonale jednak zdawał sobie sprawę z tego, że te wszystkie objawy to nie są początki grypy.

Wsiadł do samochodu i wystartował z piskiem opon. Co ma robić?

Przez ostatni miesiąc żył w zupełnej ułudzie. Wydawało mu się, że gdy przestanie się angażować w bieżące sprawy, problem zniknie bezpowrotnie.

Jednak wcale nie zniknął, wręcz przeciwnie. Przeczuwał, że za chwilę może być za późno na wszelkie rozwiązania. Czuł, że traci wiarygodność.

Powinien więc coś zrobić. Udowodnić im, że jest jeszcze „na chodzie”.

Jadąc w stronę Starego Miasta, minął budynek prokuratury okręgowej, gdzie niegdyś natknął się na Martę. Mówiła wówczas, że spotkała się tam ze swoją koleżanką. Może mógłby się o nią podpytać? Nie, nie i jeszcze raz nie! To byłoby zbyt podejrzane. Sam musi załatwić tę sprawę. Przecież i wcześniej zdarzały mu się kłopoty. Teraz w zasadzie wystarczyłby jedynie łut szczęścia, i wygrzebie się z tego bagna raz na zawsze. I nie wdepnie w nie już nigdy. W zasadzie dobra passa już się pojawiła.

Marta! Uśmiechnął się do siebie. Kto by pomyślał, że to się tak ułoży?



Na początku chodziło wyłącznie o jego robotę. To dlatego poszedł na tę konferencję i siedział na wszystkich wykładach. Ziewał z nudów, zakrywając usta folderem inwestycyjnym. Jediną rozrywką było obserwowanie Marty przy stole prezydialnym. Wyglądała na bardzo poważną i zasadniczą osobę. A potem ona wygłaszała prelekcję i Erykowi natychmiast odechciało się spać. Nagle przypomniał sobie, co kiedyś tak bardzo fascynowało go w tej starszej o pięć lat dziewczynie. Była energiczna, pewna siebie, promieniująca. Jej twarz jak magnes przyciągała jego wzrok. Teraz wiedział już, że brakowało mu właśnie tego typu kobiety.

Z taką nie byłoby żadnych problemów. Ledwie wytrzymał na krześle do przerwy. Niestety, nie miał żadnej szansy, by się do niej zbliżyć. Była wprost obłąkana przez innych. Kiedy już wydawało mu się, że ostatni „wielbiciele” się rozpierzchli, drogę do niej zastąpił mu jeden z pracowników agencji. Do Marty zwracał się słodkim głosem, ale kiedy obrócił głowę i zauważył podchodzącego Eryka, rzucił mu dość wrogie spojrzenie.

– Marto, musimy jeszcze podejść do prezydenta miasta – powiedział.

Nie szkodzi, pomyślał wówczas Eryk, będzie jeszcze kolejna szansa.

Wszystko w swoim czasie. W tej chwili czuł zaś, że nadszedł moment, by zagrać kartą Marty. Choć może było już na to za późno.

Ochłonęła dopiero po godzinie. Była na siebie zła, że się tak nagle rozkleiła. Teraz też kręciła się po domu, nie wiedząc, w co ręce włożyć. Na wszelki wypadek postanowiła tej nocy wziąć lekarstwo na uspokojenie.

Marta podeszła do biurka i spojrzała na starannie ułożone dokumenty.

Ta sprytna Ludka znów ją podeszła i tym razem „wrobiła” w tłumaczenie pisemne.

– Wszyscy na urlopie. Zrobisz to, co?

Nawet nie zdążyła wymyślić jakiegokolwiek szybkiej wymówki, a już w ramionach ścisnęła plik dokumentów i była całowana przez stale pędzącą gdzieś koleżankę. Teraz z pewnością tresuje brata, pomyślała nieco złośliwie Marta, pewnie go bezlitośnie przegoni po wszystkich starych ruinach. Wpatrywała się w dokumenty, które z sekundy na sekundę stawały się coraz bardziej odpychające. Może powinna zająć się czymś konkretnym, bo myślenie było nieco ryzykowne?

Nagle przypomniała sobie, że podczas pobytu Mary w Gdańsku obiecała usmażyć

konfitury z gruszek i borówek, które zawsze tak bardzo jej smakowały. Doskonały pomysł, tylko że powinna pojechać na rynek po owoce, ale skoro był wtorek, dzień targowy, to z tymi zakupami nie powinno być żadnych kłopotów. Sam pomysł wydał jej się na tyle atrakcyjny, że natychmiast poweselała. Szybko poprawiła makijaż, pochwyciła koszyk oraz parę siatek i wyszła z domu. Z początku nie chciała jechać samochodem, ale potem przypomniała sobie, że przecież będzie musiała dźwigać parę ładnych kilogramów, i wyprowadziła polo z garażu. Ale będzie kłopot z parkowaniem, przypomniała sobie tłok w okolicach targowiska we Wrzeszczu. Jakos sobie poradzi. Zawsze sobie sama radziła.

Tym razem było podobnie. Miejsce na polo się znalazło przed akademikiem Politechniki na Wyspiańskiego i Marta, machając rażno koszykiem, przeszła na drugą stronę ulicy.

To był piękny dzień. Choć połowa września, nadal było ciepło, a nieboprzybrało intensywny, skandynawski błękit. Na szczęście targu nie odwiedzały tego dnia zbyt duże tłumy, czego Marta nie znosiła, jednakże nigdzie nie widziała borówek. Z kupnem gruszek nie było problemu, choć pewnie trzeba będzie uważnie sprawdzić gatunki. Najlepiej byłoby dostać... jej ulubione.

Zaczęła rozglądać się na boki. Borówki najlepiej było kupić od jakiegoś zbieracza, ale czy o tej porze któryś z nich będzie jeszcze tkwił z towarem na posterunku? Zaczęła przemierzać targowisko. Wydawało jej się, że ktoś stoi ze słoikami owoców. Podeszła bliżej.

– Dostanę jeszcze dwa litry borówek? – Zlustrowała towar stojący na ziemi. Tyle chyba jej nie wystarczy.

Sprzedający chrząknął.

– Niestety, to końcówka.

Coś w głosie mówiącego zaintrygowało Martę i podniosła głowę.

– Jurek?

– Cześć, Marta! – odpowiedział jej dawny chłopak, który przed laty bez mrugnięcia okiem porzucił ją na Skwerze Kościuszki.

Kiedy krążyła w okolicach dworca w Gdańsku, bardzo pragnęła z nim porozmawiać i zapytać o tyle rzeczy. Teraz ją wprost zamurowało. Patrzyła na tego

tak bardzo postarzałego i zaniedbanego mężczyznę i nie znajdowała jakichkolwiek słów, którymi mogłaby nawiązać do ich dawnych, wspólnych spraw. Nagle przyszło jej do głowy, iż w zasadzie powinna się z nim przywitać, ale w tym samym momencie zauważyła, że Jurek chowa ręce za siebie. Jednak nie na tyle szybko, aby nie zauważyła jego zdeformowanej dłoni.

– Nie przypuszczałam, że cię tu spotkam – wykrztusiła w końcu.

Więcek wyglądał jeszcze gorzej niż poprzednim razem. Miała wrażenie, że od dawna się nie mył.

– Udało mi się trochę uzbierać. No i... – Jego chora ręka na chwilę ukazała się zza pleców i wskazała na leżący dobytek, ale równie szybko zniknęła.

Jurek nie patrzył na Martę. Jego wzrok krążył nerwowo po ustawionych na folii słoikach. Był zmieszany. Czy w takiej sytuacji wypada zapytać: co u ciebie słychać? Co takiego w życiu zrobił, aby wylądować na wrzeszczańskim targowisku jako zbieracz borówek? Ręce Marty dygotały. Z całych sił zacisnęła je na pałaku koszyka.

– Weźmiesz te borówki?

Bez słowa skinęła głową, a on przesywał owoce ze słoika do plastikowej torebki i wsadził je do koszyka Marty.

– Proszę.

– Ile płacę?

– Nic. Życzę smacznego. Są świeżutkie. Sam zbierałem.

– Ależ muszę ci zapłacić. – Sięgnęła po portfel.

– Nie, Marto – powiedział stanowczo, a potem odwrócił się od niej i kucając, zaczął przestawiać słoiki.

– Dziękuję – powiedziała i wraz z borówkami w koszyku już chciała odejść, kiedy wreszcie wyrwała się z osłupienia, w które wprowadziło ją spotkanie z Jurkiem.

– Przepraszam cię. Zupełnie mnie zaskoczyłeś. Co robisz w Gdańsku?

Gdy Więcek zobaczył, że się cofa, na jego twarzy pojawił się przestach.

– Pracuję. Najpierw w ogrodnictwie, teraz trochę przy owocach sezonowych.

– Nie możesz znaleźć innej pracy? – Marta postanowiła złapać byka za rogi i dowiedzieć się prawdy. Jej palce z całej siły wbiły się w wiklinę koszyka.

– Jestem inwalidą. Trochę mi się sprawy nie ułożyły. – Jego oczy ani na chwilę nie

spojrzały wprost na Martę.

Musiał być w więzieniu. To było oczywiste wytłumaczenie jego obecnej sytuacji, myślała. Ale za co?

– Nie obawiaj się. To nic kryminalnego – powiedział nagle, jakby czytał w jej myślach.

Marta gwałtownie poczerwieniała. Dygotały nie tylko jej ręce. Ona cała się trzęsła.

– Nic nikomu nie zrobiłem. Po prostu tak jakoś wyszło –ostatnie jego słowa przeszły w szept.

– Mie... mieszkasz we Wrzeszczu? – udało jej się spytać po chwili.

– Nie, w Gdańsku. Mam tam kwaterę. Dość nędzna, ale ważne, że jest.

A co u ciebie? Widzę po tobie, że świetnie ci się powodzi. Jesteś mężatką?

– Nie, nie jestem – odpowiedziała, ale widząc jego zdumione spojrzenie, szybko dodała: – Ale mam przyjaciela.

No, to rzeczywiście błysnęła intelektem. Pani doktor po dwóch fakultetach udało się zaimponować bezrobotnemu dawnemu narzeczonemu!

Prawdziwa z niej kobieta, bo ma swego własnego chłopca, tak? Marta zezłościła się na siebie, że jest taka głupia i myśli stereotypami. Złość sprawiła, że po szoku zaczęła do siebie dochodzić.

– A ty? Słyszałam, że się ożeniłeś.

– To prawda, ale jestem rozwiedziony. To znaczy tak mi się wydaje – dodał zagadkowo i zamilkł.

Marta zrozumiała, że niczego więcej się nie dowie.

– Czasem tak bywa – powiedziała jedynie ugodowo. – Ludziom się różnie życie układa. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

– Pomóc? – Po raz pierwszy spojrzął jej prosto w oczy. Teraz wyraźnie ujrzała popękane naczynka twarzy, spierzchnięte usta, przekrwione białka.

Te nowe rysy nałożyły się na obraz sprzed lat. Wysokiego, świetnie zbudowanego chłopaka o zgrabnym nosie i ciemnych brwiach nad piwnymi oczami.

Alkoholik, pomyślała. To dlatego mu się nie ułożyło. Najczęściej tak bywa. Dziwne, bo kiedy ze sobą chodzili, nigdy nie zauważyła u niego skłonności do wódki. Pewnie się później rozpił.

– Tak, pomóc – powtórzyła już znacznie pewniejszym głosem. – Może w jakichś praktycznych sprawach?

– Nie, nie sądzę, Marta, że możesz mi w czymkolwiek pomóc.

Po raz kolejny chciała już odejść, ale w ostatniej chwili sięgnęła do portfela po swoją starą wizytówkę. Prędko skreśliła adres warszawski i napisała na niej nowe numery telefonu i adres na Batorego.

– Ale kto wie? Może ci się kiedyś przydam. Proszę. Wziął od niej wizytówkę, nieco się ociągając.

– Dzięki. Może zadzwonię, kiedy będę miał świeży towar. Skinęła głową i odeszła. W okolicach karku wyczuwała jego wzrok, ale postanowiła się już nie odwracać. Na trzęsących się nogach doszła do wyjścia z targowiska. Oczywiście o żadnych dalszych zakupach nie było już mowy. Chciała jak najprędzej dotrzeć do domu.

Jurek Więcek, po którym wylała tyle łez i który radykalnie zmienił ścieżkę jej życia, sprzedawał borówki na targu we Wrzeszczu. I do tego najprawdopodobniej był bezrobotnym alkoholikiem. W tamtym dawnym okresie łez i rozpacz niejednokrotnie na niego pomstowała, jednak nigdy, przenigdy nie chciała, by jej złe słowa przerodziły się w aż tak okrutną rzeczywistość.

Marta chodziła po domu, trzymając się za czoło, które pulsowało gorącem. W pewnej chwili wpadła na desperacki pomysł.

– Siostrzyczka? – Głos Marcina był serdecznie uradowany. – Skąd wiedziałaś, że dzisiaj przypląnąłem? Jesteś zdenerwowana?

Oczywiście, że była. Mówiła bardzo chaotycznie i połykała całe słowa, ale w końcu udało jej się zrelacjonować spotkanie z Jurkiem.

– No i co? – Marcin wydawał się zupełnie nieporuszony tą historią.

– Jak to co? Byłeś jego przyjacielem. Nie sądzisz, że powinniśmy mu jakoś pomóc?

– Chwila moment, Marta. Byłem jego kolegą. W pewnej chwili nasze drogi się zupełnie rozeszły i nic nas nie łączyło. Wiesz, ilu mam innych kolegów? Też mają różnego rodzaju problemy. Chorują, mają kłopoty finansowe, małżeńskie. Czy tobie się wydaje, że mogę im wszystkim pomóc?

– Nie wszystkim. Jemu jednemu. Chyba to nie powinno być takie trudne?

– A co? Mam go wysłać na leczenie odwykowe? Tak ci się wydaje?

– Chociaż się z nim spotkaj i porozmawiaj. Może tobie powie, co się z nim dzieje. Ma chorą rękę.

– Tuńka – głos Marcina zaczął jak stal ciąć bębny uszu Marty – daj sobie spokój. Mam już jedną siostrę świętą, Teresę, i to mi zupełnie wystarczy. O co ci chodzi? Podkochiwałaś się w nim czy co? I po jaką cholere dałaś mu swój adres. Chcesz, żeby on lub jego kumple cię okradli?

Marta wyłączyła telefon bez odpowiedzi, ale bezlitosny ton głosu brata nadal brzmiał jej w uszach. Jak on mógł być takim zimnym i nieczułym draniem. Przez całe życie matka, Teresa i ona krążyły wokół jego orbity w niemym zachwycie. Jakiż to przystojny i mądry chłopak! Tak naprawdę to kolos na glinianych nogach! Zasłużył sobie na bratową Jolunię, pomyślała rozsierzona.

Wieczorem wezmę dwie pigułki, postanowiła Marta i rezygnując ze smażenia samych borówek, usiadła przy swoim nowym biurku, na którym stał laptop, a w prawym rogu fotografia jej i Eryka. Nie, to nie ona wpadła na pomysł, aby ją tam ustawić, ale skoro przyniósł ją już w ramce, to pozwoliła mu również wybrać dla niej miejsce.

Ten dzień nie był dla niej najszczęśliwszy. Najpierw rozkleiła się nad Mierzejewskim, potem przeżyła szok, zobaczywszy Jurka. O tym drugim pomyśli trochę później. Może jakiś mądry pomysł przyjdzie jej do głowy.

Teraz zajmie się czymś konkretnym – pracą – i chwilowo zapomni o nawiedzających ją wspomnieniach.

Sięgnęła najpierw po dokumenty Ludki. Nie było tego aż tak dużo.

Szybko się z tym rozprawi, a potem zajmie się przygotowaniem do zajęć na swojej nowej uczelni. Była dopiero dwunasta. Zdąży więc popracować, a potem usmaży same borówki i przygotuje lekki obiad dla Eryka. Miał dziś u niej nocować.

Z westchnieniem włączyła Worda i otworzyła nowy plik. To może być nawet ciekawe. „Szmuglerka Małgorzata” odpowiadała, niestety w wersji szwedzkiej, na pytania postawione jej przez prokuraturę. Część odpowiedzi Marta już знаła, dzięki sesjom z Ludką, ale były tu również nowe kwestie.

Dotyczyły one głównie tropu „Roberta” i tak, chcąc nie chcąc, zagłębiała się coraz

bardziej w powikłane życie Małgorzaty. Rozwiedziona i bezdzietna.

Dwa kolejne związki okazały się fiaskiem. I wówczas po długich latach, kiedy już zupełnie straciła nadzieję, na horyzoncie pojawił się odpowiedni mężczyzna.

Marta westchnęła. Za chwilę pewnie znowu zacznie się utożsamiać z tą szmuglerką, zezłościła się na siebie. Tak naiwna życiowo to jeszcze nie była!

Życie Małgorzaty było dość nudne i wypełnione codzienną rutyną.

Jedyną atrakcją stanowiły wizyty u siostry w Szwecji, ale ponieważ szwagier lubił zaglądać do kieliszka, nie były zbyt częste. Tak, opowiedziała Robertowi o tym, że siostra mieszka w Karlstad. Okazało się, że sam odwiedził kiedyś tamtą okolicę i mogli się dzielić wrażeniami. Czy Robert nie chciał pojechać do Szwecji razem z nią? Tak, byli już tam wcześniej, ale nie u jej siostry. On tego nie chciał i całe szczęście, bo nie było tam odpowiednich dla niego warunków. Pojechali więc do Sztokholmu. Jedną noc spędzili w luksusowym hotelu w samym centrum miasta. Było więc oczywiste, że jest zamożny.

Hm, mruknęła do siebie Marta, jaka zbieżność. Wszystkie słowa, które widziała na dokumentach, zaczynały się układać w jej głowie w dość dziwne konstelacje znaczeniowe. Zaczęła z zapalem wertować kartki z odpowiedziami Małgorzaty.

Czy mogłaby opisać Roberta? Wydawał jej się dość przeciętnym mężczyzną około czterdziestki. Przystojny raczej. Ciemne oczy. Szczupły.

Koło metra osiemdziesięciu pięciu. Znacznie wyższy od niej.

Charakterystyczne cechy? Nie palił, mało pił. Uprzejmy. Tak, bardzo uprzejmy nawet. Nie, żadnych blizn, skaz. Ubierał się sportowo. Najchętniej w dzinsy i koszulki polo, chociaż parę razy widziała go w garniturze. Jego ulubioną częścią garderoby była niebieska kurtka. Taki typ lekkiej wiatrówki. Odcień prawie błękitny.

Wzrok Marty opuścił zadrukowane kartki, uniósł się i powoli skierował w stronę zdjęcia w ramce. To była bardzo udana fotografia.

Wyglądała na niej niezwykle korzystnie i co nie zdarzało się zbyt często – śmiała się. Śmiała się, a obejmował ją mężczyzna w kurtce w kolorze... błękitu.

## ROZDZIAŁ 18

– Ale się, biedaczko, naczekałaś. Mogliśmy wziąć taksówkę. Marta zwróciła natychmiast uwagę na tę niewinnie rzuconą liczbę mnogą.

– Nie tak znowu długo. Niecałą godzinę. Przy lotach czarterowych to tyle co nic – powiedziała Marta po wyczałowaniu koleżanki.

Wydawało jej się, że Ludka trochę przytyła na tych „kreteńskich” wakacjach. Fakt ten najwidoczniej wcale jej bratu nie przeszkadzał, gdyż jak błyskawicznie zauważyła, musiał już przekroczyć kolejny próg znajomości z Ludką i najwyraźniej bardzo się do niej zbliżył. W ciągu zaledwie paru minut zdążył dotknąć jej łokcia i opiekuńczo musnąć ręką jej talię. Ale czy ze względu na obecność córki mogło na tych wakacjach dojść do czegoś więcej? Anka stała jak zwykle nieco naburmuszona i ignorowała otoczenie.

– I jak tam było?

– Cudownie – jęknęła Ludka, kiedy Piotr ładował walizki na wózek.

Jeśli tak było, to z pewnością nie rozmawiali o partii rządzącej.

– Koniecznie musisz tam pojechać. Wprawdzie po wizycie w Knossos twój brat dostał lekkiego udaru słonecznego, ale sobie poradziliśmy.

Piotr, słysząc te słowa, machnął lekceważąco ręką.

– To przez te moje lekarstwa. Natychmiast je odstawiłem.

Wynajęliśmy samochód i przejechaliśmy całą wyspę.

– Zadowolona jesteś? – Marta zwróciła się do Anki.

– Może być – padła krótka odpowiedź.

– A co u ciebie?

– W porządku. Za tydzień idę do pracy – odpowiedziała Marta, kiedy zaczęli wyjeżdżać wózkiem na parking.

– Czyli nie będę cię już mogła więcej eksploatować.

– Nie ma problemu. Pomogę ci przy tej sprawie, jak będzie coś nowego.

– Aha. – Ludka wyjęła pomadkę z torebki i umalowała usta. – Widzę, że się



wciągnęłaś.

– No, może troszkę. – Marta poczuła, że słabną jej nogi. – To jakby wyjść z kina przed końcem filmu.

– Jasne, jasne. Szczególnie, gdy w finale planowana jest egzekucja.

Coś tak pobladła, Marta? Źle się czujesz?

A jak się miała czuć? Od dnia, gdy spojrzała na to nieszczęsne zdjęcie, nie zaznała chwili spokoju.

– Źle spałam.

– Ha, ha. A my wiemy dlaczego, no nie, Piotr? – Rozradowana Ludka dała mu sójkę w bok, pozbawiając go natychmiast równowagi. Przed upadkiem uratował go wózek z bagażem, którego ciężar musiał chyba przekroczyć wagę pani prokurator.

– To jak tam Eryk, też niewyspany?

Tak bardzo nie chciała, aby Ludka zaczęła rozmowę na jego temat.

Lepiej było nie odpowiadać.

– Och, jakaż z ciebie okropnie dyskretna osoba – koleżanka nie dawała za wygraną. Mrugnęła do Marty porozumiewawczo i poklepała ją po przedramieniu. – Rozumiem, nie przy ludziach. – Przewróciła oczami w stronę Piotra i Anki, którzy ładowali bagaż do polo Marty. – Musimy się same spotkać, prawda? – szepnęła.

Wentówna skinęła głową.

– Ale to w swoim czasie – Ludka podniosła teraz głos, by również Piotr ją usłyszał. – Najpierw robimy u mnie wieczór kreteński. Połowa tego bagażu to wino i różne lokalne przysmaki. A poza tym... Zrobiliśmy ponad tysiąc zdjęć, które wam pokażemy. Tak, widzę już radość w twoich oczach – dodała z przekąsem. – Zapraszam ciebie i Eryka na najbliższą sobotę.

Marta zamarła i tak bardzo ścisnęła w rękę kluczyk do samochodu, że niemal go złamała.

– Nie wiem, czy będę mogła. Jadę do Warszawy. Marysia już wyjeżdża do Nowego Jorku i zwalnia mieszkanie. – Spojrzała na Piotra, licząc na to, że skoro pretekstem jest jego własna córka, to znajdzie w nim sprzymierzeńca. – Pojedziesz ze mną?

Ale jej bratem miały teraz uczucia zupełnie odmienne od ojcowskich.

– Nie, nie pojedę. Byłem w Warszawie przed samym wyjazdem i już się pożegnaliśmy z Marysią. Ona jest teraz bardzo zajęta. Zresztą wkrótce się znów zobaczymy w domu, a ja... Ludmiła obiecała pokazać mi swój domek letniskowy. To chyba ostatnia szansa, bo niedługo będzie za zimno.

Czy to możliwe, by Piotr potrafił powiedzieć aż tyle zdań naraz?

Zawsze posługiwał się półsłówkami. A tu... eksplozja mowy. Kolejna osoba potrafiła zrobić jej niespodziankę. Tym razem niesłychanie miłą.

Marta niezbyt dobrze знаła brata. Było to dość zrozumiałe. Kiedy się urodziła, miał szesnaście lat i zanim zaczęła dobrze mówić, wyjechał do Warszawy na studia. Podczas krótkich wakacyjnych pobytów ich drogi się rozmijały ze względu na wiek i zainteresowania. Gdy zaś Marta dorosła do jakiegokolwiek rozmowy, mieszkał już za granicą.

– Kiedy Marysia wylatuje? – Ludka podczas jazdy nie dawała za wygraną i dociekała prawdy.

– W piątek – odpowiedziała Marta, bojąc się oszukać prokuratora.

– Zatem jaki problem? Wrócisz w sobotę przed południem, a wieczorem przyjdziecie do mnie. Jestem bardzo ciekawa, jaki ten Eryk jest.

Piotr nie był w stanie mi go opisać. Muszę go sama zobaczyć. Marta!

Tamten skręca!

Zahamowała w ostatniej chwili.

– Przepraszam, zagapiłam się – odpowiedziała cała roztrzęsiona.

– Mam nadzieję, że dowiezie cię całego do chaty – oświadczyła Ludka, wyswobodziwszy się z pasów.

Piotr już otwierał przed nią drzwiczki samochodu.

– No, to panie Rodziewicz. Jutro o siódmej u mnie! –oznajmiła, przyjmując od niego pocałunki w rękę, w policzek i... krótko, bo krótko, ale w usta! – A ty, kochana, powiedz swojemu Erykowi, że na niego czekam.

Nie dam mu się wymigać.

Czy w tonie Ludki brzmiał złowieszczy ton? Tego Marta nie była pewna. Wiedziała jednak, że nie może dopuścić do spotkania Eryka z przyjaciółką.

Jadąc samochodem do Warszawy, Marta czuła, że coraz bardziej pulsują jej

skronie. Z jednej strony powrót był pewnego rodzaju radosną ekscytacją, z drugiej zaś wzbudzał niepokój. Przyczyniła się do tego matka, która przed samym wyjazdem ostrzegła, że może być problem z Mary.

– Jaki? Nie odda mi klucza? – Roześmiała się do słuchawki.

– Wydaje mi się, że przeżyła zawód miłosny.

– Maryśka? – Czyżby zwierzyła się babci ze swojego sekretnego pożycia z Markiem?

– A kto inny? Marto, ty się w ogóle nie skupiasz, jak do ciebie mówię.

Może za szybko zrezygnowałaś z leków. Zobacz sama, jak Piotrowi się poprawiło.

– Mamo, mówiłyśmy o Maryśce.

– Wyobraź sobie, że ten Amerykanin, no wiesz, ten, z którym przyjechała, zostaje w Polsce.

– Mama chyba żartuje.

– Ja? – w głosie słychać było lekką urazę.

Absolutne faux pas. Matka nie miała zwyczaju żartować. Prawdę mówiąc, to dopiero teraz Marta zaczęła zauważać, że nie ma ona poczucia humoru. Kiedy zdarzała się zabawna sytuacja, matka czasami naśladowała mimikę innych i układała usta w uśmiech, ale tak naprawdę to nic jej nie śmieszyło.

– Marysia sama mi o nim powiedziała. Wspomniała też, że poznał tu jakąś dziewczynę i że zostaje w Warszawie.

Jeśli matka niczego nie pokręciła, to istniało duże praw-dopodobieństwo, że po przyjeździe na Kabaty Marta zostanie bratanicę w zupełnej psychicznej rozsypce. Ostatecznie Piotr był jej ojcem, a ona sama przyrodnią ciotką... Powinna była zabrać choć parę tabletek nasennych, stwierdziła, rozmyślając o swoich ponownie narastających życiowych problemach. Aktualnie ten największy miał na imię Eryk. Marta westchnęła głęboko.

Ale jedna sprawa potoczyła się dla niej pomyślnie. Dwa dni wcześniej Eryk ze smutną miną zakomunikował jej, że niestety, w sobotę nie będzie mógł pojechać z nią do Ludki. Musiał wyjechać do Londynu w pilnej sprawie. Spotkanie z bankiem.

– Będzie mi cię bardzo brakowało.

Przed jej odjazdem spoglądał na nią z przejmującym smutkiem. A Marcie przed

oczami przesuwają się kolejne słowa z przesłuchania Małgorzaty: „Jak często świadek spotykała się z Robertem? Nie było to zbyt częste, gdyż był bardzo zapracowany. Robił jakieś interesy z bankami.

Wyjeżdżał do Londynu”.

Ale co można było z tym zrobić? Jak rozwiązać taką zagadkę? Czy można na przykład przygotować smaczną kolację przy świecach, a podczas deseru spytać go niewinnym głosem: Czy ty przypadkiem nie zajmujesz się przemytem amfetaminy? Albo też w momencie, kiedy przestaną się kochać, spytać go, czy zna Małgorzatę.

Wszystkie te koncepcje są po prostu idiotyczne, stwierdziła. Każdy, kto by się zapoznał z hipotezą Marty, musiałby uznać, że narodziła się w zupełnie chorej głowie. Jak może, bez namacalnych dowodów, nawet myśleć w ten sposób o Eryku, a potem chodzić z nim do łóżka, choć prawdę mówiąc, od „dnia fotografii” ani razu ze sobą nie spali. Tylko że to on nie wyrażał ochoty. Wracał z pracy skonany i od razu zasypiał.

Muszę się wziąć w garść, myślała, próbując przeanalizować wszystkie fakty. Nadal nie jest zdrowa i dość zrozumiała, że w jej głowie wciąż szwankuje poczucie rozsądku oraz trwa huśtawka pomiędzy naiwnym zaufaniem a podejrzliwością. Taki stan rzeczy jest zupełnie normalny i dowodzi jedynie, że Marta obawia się ponownego zawodu w relacjach damsko– męskich. Aby więc nie zawieść się na Eryku, zaczyna podejrzewać go o najgorsze przestępstwa, które w razie czego usprawiedliwią ewentualne załamanie związku. Jest to zupełnie irracjonalne myślenie i z pewnością doprowadzi do tego, że imaginowane wady Eryka w końcu zatriumfują i dojdzie do zerwania. I dlatego natychmiast powinna z tym skończyć i zacząć myśleć pozytywnie, odnajdując przyjemność w obcowaniu z drugim człowiekiem.

Uff, ale się udatnie zdiagnozowałam, pomyślała Marta z dużym samozadowoleniem. Miała rację, że tym razem nie skorzystała z pomocy psychoanalityka. Chyba już się nauczyła obiektywnej samooceny.

W bardziej optymistycznym nastroju wjechała na Wisłostradę. Z

każdymi światłami, na których musiała się zatrzymywać, narastał w niej radosny nastrój. I to nie z powodu byłego premiera, który pragnąc zostać prezydentem stolicy, witał ją z tysiąca plakatów.

Uważnie lustrowała przechodniów, spoglądała w stronę przejeżdżających obok

samochodów. Kiedy już z wyraźnym łomotem serca zagapiła się na mijającego ją passata, domyśliła się, o co chodzi. Kolejny dowód głupoty. On przecież jest w pracy. Siedzi na ministerskim podnóżku albo też biega na posyłki ciemnych sił. Gdyby był w trasie, to z pewnością zmieniliby już swojego starego passata. Dostał przecież za wierną służbę trzydzieści srebrników. „Apage, apage, Mierzejewski”, próbowała odczytać Marta, ale serce nie służy, robiło z siebie durnia i zmieniało układ liter na „agape”. Wygłupiało się tak żenująco przez cały czas, aż dojechała na Kabaty.

– Ciocia! – Mary niemal rzuciła się na nią z uściskami. – Tak się cieszę, że już jesteś.

Marta bała się wypuścić ją z objęć. Czuła, że ramiona dziewczyny aż drżą z emocji. W myślach planowała już „reanimację” bratanicy, gdy nagle Mary się roześmiała. Nie był to gorzki śmiech ani też zduszony paroksyzm czy też dźwięk, który wydarł się z jej gardła zupełnie przez pomyłkę, gdyż miał być szloch. Był to radosny, pełen witalności śmiech dwudziestopięcioletniej kobiety.

– Wszystko w porządku, Marysiu? – spytała Marta, dokonując inspekcji twarzy Mary i ewentualnych śladów rozpacz.

– I to jak! Tylko tak bardzo mi szkoda, że muszę wyjeżdżać. Ale za dwa dni rozpoczynam pracę w Nowym Jorku. Chodź, chcesz może kawy, coś do jedzenia? Zrobiliśmy pyszną lazanię.

Zrobiliśmy? My? Czyżby matce się coś pomieszało? Była już starą kobietą i zapewne nie nadążała za szybką, niewyraźną mową młodszego pokolenia.

– A czy Marek z tobą wyjeżdża? – Marta postanowiła dowiedzieć się prawdy u źródła.

– Marek? – Mary zrobiła zdziwioną minę. Czyżby czegoś nie zrozumiała? Dziwne, bo przecież mówiła teraz po polsku z szybkością karabinu maszynowego. Ten pobyt w Warszawie bardzo jej językowo pomógł.

– Przecież tu z tobą przyjechał i o ile wiem, to nawet zamieszkał – odpowiedziała Marta z kamienną twarzą.

– A, Marek, no wiesz, ciociu... – zaczęła Mary, a Marta zadygotała, gdyż dobrze pamiętała momenty w życiu, w których bywała tą porzuconą. –

On rzeczywiście zostaje. Wkrótce po przyjeździe okazało się, że do siebie nie

pasujemy. – Bratanica mówiła spokojnym tonem, jakby opowiadała jej fabułę dość nudnego filmu. – Po paru tygodniach wyprowadził się stąd – i nagle cała jej twarz rozbłysła uśmiechem – i zamieszkał razem z Magdą. Ty ją poznałaś?

– Nie sądzę – odpowiedziała zdezorientowana Marta. – Warszawa to nie Nowy Jorku, ale jednak mieszkają tu prawie dwa miliony ludzi.

Teraz Mary się śmiała na cały głos, zginając się wpół i łapiąc za brzuch.

– To jest Magda Mierzejewska!

Marta przez moment nie wiedziała, czy wystarczy jej tchu na wyszeptanie krótkiego: „nie”. Czy ten cały „Mark, znaczy się Marek” nie mógł sobie wyszukać kogoś innego wśród tych bez mała dwóch milionów?

Nie, absolutnie nie był to żaden przypadek. To zakrawało na przemyślany akt sabotażu dokonany na ciele krewnych Marty.

– Poznaliśmy się parę dni po przyjeździe, bo Karol zaprosił nas do siebie, żebyśmy spotkali się z jego córką i synami. Było bardzo sympatycznie. I oni wszyscy tacy mili – rozczuliła się Mary. – I tak się zaczęło, Czy ona jest zupełnie normalna, że nie odczuwa żalu? Może powinna zadać jej takie pytanie wprost. Taka bezpośredniość i szczerłość jest charakterystyczna dla Amerykanów. Ale jaka z Maryśki Amerykanka; ojciec Polak, matka Kanadyjka.

– To musiał być dla ciebie szok – wycedziła w końcu Marta.

– Szok nie, ale trochę mi było przykro. Głupio powiedzieć, ale trwało to bardzo krótko. Bo wiesz, ciociu Marto, ja też się zakochałam.

Wyglądało to na epidemię. Może mieszkanie Marty to niebezpieczne miejsce? Teresa plotła jej kiedyś o jakiejś chemii. Może takie toksyczne związki chemiczne unoszą się na tych pięćdziesięciu metrach, wywołując stany zakochania u mieszkańców. Wina farby? Trzeba było od razu przemalować. Uniknęłyby się wielu niespodzianek.

Marta czuła, że za chwilę wybuchnie histerycznym śmiechem. Ale w kim zakochała się Mary?

– Nigdy, ciociu, nie uwierzysz w kim. To jest takie niewiarygodne. Jak o tym pomyślę, to stale mi się zbiera na śmiech. Szczególnie teraz, jak wspomniałaś o tych dwóch milionach. To jest tym bardziej dziwne, że jest między nami różnica wieku.

Nagle twarz Marty stężała, a w uszach jej zaszumiało. Odsunęła się od Mary i obróciła, poszukując fotela, który został przestawiony z jej ulubionego miejsca przy lampie pod okno.

– Oj, przepraszam, ty przecież przyjechałaś, a ja tu gadam, zamiast dać ci się napić. Zaraz coś przygotuję.

Marta, nie będąc w stanie wydusić z siebie słowa, machnęła przecząco ręką. Lepiej niech powie to teraz, kiedy ona już usiadła. W ten sposób, kiedy dowie się, że jej własna bratanica ma romans z Karolem Mierzejewskim, znajdzie się w pozycji horyzontalnej bez ryzyka złamania podstawy czaszki.

– Mówże, na litość boską, kim on jest?!

– Pójdiesz z nami na plażę, kotku? – Jola zajrzała do pokoju, w którym Marcin siedział niemal bez ruchu.

– Dojdę do was później, kiciu. Muszę popracować. Aha, odbierz po drodze ten mój polecony z poczty, dobrze?

Jola skinęła głową i wycofała się z pokoju niemal na czubkach palców.

Marcin usłyszał, że Maciuś w przedpokoju zaczął mówić szeptem. I tak powinno być. Jeśli pan domu mówi, że pracuje, wszyscy muszą to respektować. Jola rozumiała go całkowicie i przy niej zawsze czuł się stuprocentowym mężczyzną. O tym, jak będzie wyglądała organizacja jego przyszłego domu, postanowił już na studiach. Przede wszystkim nie miało w nim być żadnych kobiecych rządów, jak w jego własnej rodzinie.

Mężczyzna ma decydować, a nie dać sobie nałożyć fartuszek i postawić się przy garach. To kobieta ma się zająć domem i wychowaniem dzieci.

Dowodem na to, że miał rację, było jego doskonale funkcjonujące małżeństwo. A siostra bliźniaczka postawiła na zrobienie kariery i czym to się skończyło? Nawet nie spostrzegła, jak ją ten jej Daruś zaczął zdradzać pod samym nosem. Wybitna inteligencja i wykształcenie Marty wcale go nie obchodziły. Kuzynowi Erykowi też oczy na boki chodzą. Już on się na tym dobrze znał. Miał cały czas wrażenie, że facet ma coś na sumieniu. Zawsze unikał jego spojrzenia i patrzył z ukosa. Nie, wcale się nie cieszył ani z rozvodu, ani też z innych problemów Marty, przecież kochał ją i zawsze jej dobrze życzył, ale po ich telefonicznej sprzeczce sprzed paru dni był teraz

na nią bardzo cięty.

Wieść o spotkaniu z Więkiem wstrząsnęła nim. Niby to taka dawna historia, ale doświadczenie uczy, że nawet te najstarsze po latach często potrafią się odezwać nagłą czkawką. Tym bardziej że Marcin cały czas o Więku pamiętał. Nie było dnia, żeby o nim nie pomyślał, i prawdę mówiąc, zawsze podświadomie przeczuwał, że ponownie pojawi się w jego życiu.

Marcin patrzył przez okno wychodzące na ogródek z żółknącymi liśćmi i astrami na rabatach pod płotem, ale widział coś zupełnie innego.

Wzburzone morze i fale, których rozmiary przekraczały możliwości jego wyobraźni. I ten potworny łoskot. Nigdzie nie można się przed nim schować, a hałas rozrywa wprost bębni. Marcin otrząsnął się z koszmaru i oparł głowę na rękę.

Kiedy Więcek zwierzył mu się na Chrobrym ze swojej sytuacji, Marcin bardzo się zdenerwował. Oszuści, podli oszuści. I to jego siostra bliźniaczka, której zawsze zdradzał wszystkie tajemnice. Zdenerwował się, to jasne, i pewnie dlatego poradził mu, żeby napisał do matki. Podstępna, zła rada? Może. Ale to tylko replika na to, że go tak podle oszukali. Parę tygodni później Marcin gratulował sobie podjęcia dobrej decyzji i kiedy Jurek pokazał mu list, po udawanym namyśle skinął głową i powiedział: „Sorry, stary, ale to jedynie słuszne. Tak by rzeczywiście było. Znam Martę i wiem o tym”. Jeszcze nie widział, aby ktoś tak bardzo cierpiał po kilku słowach.

Źrenice Jurka się zwężyły, potem rozszerzyły, a on sam pobladł. Przez kolejne dni chodził jak zombie, ale Marcin wcale go nie żałował. Był gotów na więcej, by Więcek nie został jego szwagrem. Wiedząc, że go nie ma w pobliżu, mógł w lustrze patrzeć sobie w oczy.

I dlatego nie miał zamiaru ponownie się z nim spotykać.

– No jak to kto? Szymon oczywiście.

Marcie latały mroczki przed oczami ze zdenerwowania. Zagryzła wargę i milczała. Dochodziła do siebie po szoku. Nie mogła sobie wybaczyć, że tak ją poniosła wyobraźnia i że obraz, który namalowała przed jej oczami, bardzo ją poruszył. W końcu Mary zorientowała się, że ciotka nie ma pojęcia, kim jest jej wybranek, i cichym głosem wyjaśniła: – Szymon Mierzejewski. To on. Nie mogłam uwierzyć, że



zakochałam się w kimś młodszym o trzy lata. Ale potem pomyślałam sobie, że przecież ty i Eryk... – Spojrzała z ukosa na ciotkę.

Ten najmłodszy Mierzejewski był jednak najdojrzałszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. U jego boku czuła się spokojna i szczęśliwa.

Wszystko zaczęło się trochę przypadkowo, bo wkrótce po rozstaniu z Markiem spotkała go na mieście. Zainteresował się, w jakim jest stanie i czy bardzo rozpacza po swoim chłopaku. Wypili razem kawę na Nowym Świecie i po godzinie rozmawiali tak, jakby się znali całe życie.

– To ile on ma lat? Dwadzieścia dwa? – spytała w końcu Marta, zmęczona nieco maślanym wzrokiem bratanicy.

– Tak, studiuje na trzecim roku i oczywiście najpierw musi skończyć studia. Doszliśmy do wniosku, że w tym czasie ja mogę odbyć praktykę, a potem zobaczymy co dalej. Wiesz, że jego matka poświęciła swoją karierę dla rodziny i miało to katastrofalne skutki.

– Przecież mogła skończyć studia i nie zachodzić w ciążę z wykładowcą – zirytowała się Marta.

– Ach, ciociu. Ty oczywiście stoisz po stronie Karola, prawda? Nie rozumiem zupełnie, dlaczego go unikasz. On nadal o tobie myśli.

– Moja droga... – obruszyła się Marta i już na końcu języka miała zdanie, że Mary nie powinna się wtrącać w sprawy starszych, ale w ostatniej chwili się wycofała.

– Przecież mówię prawdę. Dlaczego w naszej rodzinie nie można mówić szczerze, co się ma na myśli. Wszyscy się maskują.

– Więc mów, nie przerywam.

– Wiem, że on może czasem wyglądać na niższego od ciebie, ale on cię chyba bardzo kocha. Nawet Szymon coś mi o tym wspominał.

– To wkrótce prawda zostanie objawiona na billboardach.

– No, wiesz! Ty jesteś zawsze tak ironicznie nastawiona do wszystkiego.

Marcie nie było do śmiechu. Ta ironia to przecież wieczna samoobrona.

– Czy Szymon opowiadał ci o karierze zawodowej swego ojca?

– Teraz jest w ministerstwie. Nawet wieczorami ciężko pracuje. Bez przerwy coś czyta i przegląda. A wcześniej pracował razem z tobą, prawda?

A jeszcze wcześniej... Szymon mówił, że był w czymś takim podobnym do FBI.

– Nie do końca jednak takie samo, chociaż... – Marta się zawahała – może rzeczywiście wszystko jedno – zgodziła się z Mary wspaniałomyślnie, a ta zauważywszy, że ciotce poprawił się humor, oświadczyła z uśmiechem na ustach:

– Czy to nie byłoby cudownie, gdybyś została moją przybraną teściową?

Marta, o godzinie dziewiętej nadal w koszuli nocnej, próbowała się uporać z bólem głowy wywołanym nadmierną fascynacją greckim winem, gdy do mieszkania wpadł jak wichur Eryk.

– Kochanie, najmocniej przepraszam, ale czy mogłabyś pojechać ze mną do urzędu? Mam tam spotkanie o jedenastej.

Trzymając woreczek z topniejącymi kostkami lodu przy skroni, Marta przywitała go bardzo krzywym uśmiechem. Nie zadzwonił do niej z tego „Londynu”, nie odbierał rozmów i nagle pojawił się po trzech dniach bez żadnej zapowiedzi. To było zupełnie nie w jego stylu.

– To jak? Pojedziesz?

Skinęła głową i sięgnęła po kolejny środek przeciwbólowy.

– Daj mi pół godziny. Postaram się jakoś wygrzebać.

Widziała taką powagę i napięcie na twarzy Eryka, że postanowiła go nie zawieść i mu towarzyszyć. Dzięki Bogu ten stres, w którym się znajdował, spowodowany był zwykłymi sprawami służbowymi, a nie na przykład działaniami Ludki i jej kolegów po fachu.

Ale numer z tej dziewczyny. Marta, szorując się energicznie myjką, wspominała ubiegły wieczór. Nieoczekiwanie dla niej minął on w fantastycznej atmosferze. Piotr nieustannie ujawniał nowe, nieznane jej strony. Podczas gdy przy Michelle, swojej zmarłej żonie, zachowywał się jak dystyngowany dżentelmen, półsłówkami dyskutował na temat muzyki Jana Sebastiana Bacha, architektury Franka Lloyda Wrighta i obrazów Paula Klee, w towarzystwie Ludki pił sporo wina, zaśmiewał się na cały głos i przerywał Marcie, próbując... opowiadać kawały.

– Od jutra idę na dietę – zapowiedziała Ludka, kiedy znokautowani kaloriami rozparli się na kanapie, żeby wypić kawę.

– To chyba lepiej na jakąś gimnastykę – zauważyła Marta i rozpięła guzik od

spodni.

– W życiu! Żeby mi jakieś instruktorki gadały: „Proszę podciągnąć nóżki, wyciągnąć w górę rączki i wciągnąć brzuszek”. Czy ja wyglądam na jakiś „brzuszek”?  
– Ludka poklepała się po swej ukrytej za spódnicą na gumce „kolacji”. – To jest przecież okropne brzuszysko.

Piotr, siedząc po jej prawej stronie, pochwycił rękę pani prokurator i ucałował ją, a potem delikatnie dotknął jej talii.

– Nie masz racji. Jest bardzo śliczny.

Marta niemal nie udławiła się kawą. Tego rodzaju słodkości zupełnie osłabiały jej towarzyską wytrzymałość. Ale takich wypowiedzi Piotra było podczas tej kolacji znacznie więcej. Wydawało się, że zupełnie stracił

zdrowy rozsądek. Ludka była znacznie bardziej opanowana, choć i jej zdarzały się wysoki, jak na przykład wkładanie Piotrowi do ust własnego widelca z jakimś smakowitym kąskiem. Marta miała nadzieję, że pobudzenie zmysłowe koleżanki wpłynie na stępienie jej instynktu prokuratorowskiego i nie uda jej się złapać Roberta. Na szczęście podczas całego wieczoru nawet o nim nie wspomniała.

– Marto! Jesteś już gotowa? Zaparzyłem świeżą kawę – doszedł ją nagle głos zza drzwi łazienki.

O tak, Marta życzyła sobie, aby Eryk pozostał w jej życiu!

Po paru łykach kawy i nałożeniu na siebie „mundurkowego” kostiumu jeszcze z czasów agencyjnych Marta z Erykiem pośpiesznie opuścili mieszkanie, po czym wsiedli do samochodu terenowego.

Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, co takiego się wydarzyło, że tego dnia Borzewski postanowił zabrać ją na spotkanie służbowe. Ostatnio, z obawy o to, co mogłaby usłyszeć, w ogóle nie zadawała mu pytań związanych z jego interesami. Do tej pory tylko raz odwiedziła go w biurze.

Było ono jasne, położone w dogodnym punkcie, gustownie urządzone – zapewne przez tego samego architekta wewnątrz co mieszkanie Eryka – i zdecydowanie zbyt duże dla firmy, która dopiero zaczynała się rozwijać.

Spółka Borzewskiego miała na koncie zaledwie dwie „plomby”, a teraz pracowała nad zespołem domków jednorodzinnych. Eryk miał jednak bardziej ambitny plan, o

którym opowiadał jej teraz w samochodzie. Miał nim być wielokondygnacyjny budynek. Jechali właśnie do urzędu, aby omówić sprawę terenów przeznaczonych do przetargu.

– Myślę jednak, że uda mi się załatwić coś bardziej atrakcyjnego.

– Tak? – Z niepokojem rozejrzała się dokoła, poszukując okiem czarnych teczek zawierających zapewne finansowe wsparcie. – A jak zamierzasz to zrobić?

– Przekonasz się sama. Wydaje mi się, że we mnie nie wierzysz. Nie myślę się, prawda? – Rzucił jej szybkie spojrzenie i Marta musiała zapanować nad mimiką.

– Do tej pory proponowałeś mi pracę, ale nigdy wcześniej nie byłeś wylewny, jeśli chodzi o swoje interesy. Nie mam pojęcia, czym się tak naprawdę zajmujesz – powiedziała z całą szczerością.

Eryk pokręcił głową i uśmiechnął się do swoich myśli.

– Pokażę ci dzisiaj moje inwestycje. Nie będziesz już miała powodów, by się uskarżać. A jak twoja głowa?

– Chyba udało mi się ją posklejać – powiedziała i zła na siebie za podejrzliwość wobec Eryka postanowiła go wynagrodzić pocałunkiem w szyję.

W urzędzie przywitano Borzewskiego w ukłonach, jak dobrze znaną osobę, a Martę dokładnie zlustrowano od stóp do głów.

– Ach, to pani jest tą szwagierką pana Boersa – skojarzył po chwili urzędnik, zachęcając ich do zajęcia miejsc przy stole konferencyjnym. – Pan Borzewski wspominał o pani.

Marta była nieco zdezorientowana. Nigdy nie spotkała się do tej pory z tego typu „rozpoznaniami”. Poznawano ją jako byłą wykładowczynię, kierownika, wreszcie wiceprezesa, ale w roli szwagierki Boersa występowała po raz pierwszy.

– Jestem wielkim entuzjastą jego „herbarii” – padło wyjaśnienie. – Przed jej zażywaniem bez przerwy leczyłem się na żołądek. Minęło jak ręką odjął już po wypiciu pierwszej butelki. To jest niesamowite. Uważam, że pana Boersa zbyt mało ceni się w naszym kraju. Nie wie pani, czy chce budować drugi ośrodek leczniczy?

Marta zaczęła już kręcić głową, gdy Eryk szybko wtrącił się w rozmowę: – Pani Wenta jest moim osobistym doradcą inwestycyjnym.

– Gratuluję. Pan prezes wspominał o pani pracy w agencji – zauważył z

szacunkiem urzędnik i ponownie wrócił do tematu szwagra Marty: – Jeśli pan Boers chciałby mimo wszystko się dalej rozwijać, to mogę go zapewnić, że nie będzie miał żadnych kłopotów z lokalizacją.

– Mam nadzieję, że ja również. – Eryk nie dawał się pominąć w rozmowie.

Urzędnik spojrział na niego nieco zbity z tropu.

– Tak, oczywiście. – Przełożył parę teczek z dokumentami z jednego miejsca w drugie. – Czyli mam przez to rozumieć, że te tereny, które oferujemy do przetargu, nie są interesujące?

– Pewnie są, ale nie dla mnie ani też dla mojego nowego inwestora z Londynu – powiedział z całą stanowczością Eryk. – Pokażę panu, co by mnie bardziej interesowało i gibkim ruchem przemieścił się w stronę planu miasta. –O tutaj! – zaznaczył palcem.

Marta i urzędnik nachylili się nad planem, patrząc, w co wycelował.

– To jest idealne miejsce na trzydziestopiętrowy wieżowiec – wyjaśnił Eryk.

Twarz urzędnika pobladła.

– Ale panie prezesie, to jest teren pod niską zabudowę, to jest przecież przy samej strefie nadmorskiej. – Złapał się za głowę. – Wie pan, jakie się zaczną protesty?!

– No i jak? – pytał Eryk, rozglądając się uszczęśliwiony po okolicy.

Przyjechali tu natychmiast po wyjściu z urzędu. Mimo że Borzewski nie otrzymał w urzędzie żadnych wiążących obietnic, spoglądał na wymarzony teren pod wieżowiec wzrokiem posiadacza.

– To jest to, prawda? – zapytał ponownie, ale w zasadzie odpowiedź

Marty nie była mu do niczego potrzebna.

Jego towarzyszka stała bez słowa i zaciśnięte dłonie wbijała w kieszenie marynarki koloru czekolady. Po prawej stronie widziała starą, nieco zaniedbaną przedwojenną zabudowę, po lewej ośrodek wczasowy.

Gdzieś dalej, za jej plecami, znajdowały się wydmy i wrześniową falą szumiał Bałtyk.

Wieżowiec, choćby najpiękniejszy i najbardziej zgodny z koncepcją Eryka, pasowałby tu jak pięść do nosa. Wyglądałby równie ohydnie jak całe kompleksy

wysokościowców na wybrzeżu Hiszpanii, a jego sięgająca w niebo sylwetka bezpowrotnie zniszczyłaby spokój krajobrazu.

– Dzięki tej budowie wreszcie uporządkuje się otoczenie. Teraz tylko walają się tu śmieci i setki butelek. – Eryk zauważył jednak jej milczenie i przyjął postawę obronną.

– Chyba sensowniej byłoby wysłać tu ekipę sprzątającą, a nie zagospodarowywać teren wieżowcem – odezwała się w końcu Marta.

– Moja droga, chyba jesteś za postępem, prawda? Ile czasu można budować w tym mieście renesansowe kamieniczki?

– Lubię wieżowce, ale chyba nie tutaj.

Borzewski westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Każdy ich przeciwnik wysyła je najchętniej na Księżyc, ale jak ci pokażę koncepcję projektu, to sama uznasz, że nie ma dla niego lepszego miejsca.

– Zasłoni widok na morze wszystkim ludziom z tamtych bloków. – Marta wskazała ręką.

– Stamtąd? Ich niedługo przeniosą gdzie indziej. Te domy są przeznaczone do rozbiórki.

– A tamci? – Pokazała teraz osiedle, gdzie mieszkał Piotr i matka.

– Aha, rozumiem już, dlaczego protestujesz. – Eryk się roześmiał, ale w jego głosie słychać było gorycz. – I tak jest zawsze z tymi przeciwnikami.

Nikt nigdy nie spojrzy na sprawę obiektywnie, kieruje się jedynie własnym interesem. Nie spodziewałem się tego po tobie, Marto.

## ROZDZIAŁ 19

Marta wróciła z zajęć w prywatnej wyższej szkole naładowana pozytywnymi emocjami. Poszło jej znakomicie, tak jakby nigdy nie miała długiej przerwy w nauczaniu. Po ćwiczeniach podchodzili do niej studenci i zadawali mnóstwo dość sensownych pytań. Jej obawy, że okażą się dziećmi bogatych rodziców i zupełnymi ignorantami, okazały się przesadzone.

Widać szkoła dbała o swoją reputację i szybko sobie radziła z takimi, których interesowało wyłącznie płacenie czesnego. Skoro panowała w niej przyjemna atmosfera nauki, Marta powinna z tego skorzystać i zabrać się do pisania pracy habilitacyjnej. Byle tylko znaleźć wystarczającą ilość czasu wśród tych wszystkich ofert pracy, które w ciągu tygodnia się na nią posypały. Ale jednej wśród nich nie było. Propozycji ze strony Eryka.

„Osobisty doradca inwestycyjny” nie rozmawiał z panem prezesem od czasu wycieczki na teren pod przyszły wieżowiec. Marta była przekonana, że się na nią obraził za jej krytyczne uwagi i za całkowity brak wsparcia w zamierzonym przedsięwzięciu.

Również ona nie szukała z nim kontaktu. Była na niego wściekła, że wykorzystał ją, podtykając pod nos schorowanego urzędnika jako szwagierkę Stefana. Co za idiotyczne podchody, robione w sposób nieudolny i nieprzemyślany, złościła się, gdy przypomniała sobie tę wizytę.

Ciekawa tylko była, w jaki sposób miał zamiar sfinansować tę budowę, bo jakoś nie wierzyła do końca w jego inwestorów z Londynu i Sztokholmu.

Podłączyła do prądu laptopa i włączyła internet. W jej skrzynce pocztowej było parę wiadomości, ale żadna z nich od Eryka. I to jeszcze bardziej ją irytowało. To ona powinna być obrażona, a nie on.

Pośród wiadomości był też krótki list od Mary, która już od tygodnia pracowała w swojej nowojorskiej kancelarii. Marta przebiegła oczami wiadomość. Wszystko grało, ale jakim ta praca okupiona była... cierpieniem!

Nie wiem, czy się kiedykolwiek do tego przyzwyczaję. Wydaje mi się, że wyjazd do Polski zabił moje wszystkie zawodowe ambicje. Gdyby nie Skype i możliwość codziennego widywania Szymona, nie wytrzymałabym tu ani chwili.

O rany! Tak nie powinno być. Dziewczyna musi wykorzystać tę szansę zawodową, o której przecież zawsze marzyła, studiując na Columbi. Gdyby nie ten gówniarz Mierzejewski, z pewnością byłaby teraz w innym nastroju!

Tylko że ten „gówniarz”, kiedy pojawił się na lotnisku, by pożegnać jej bratanicę, okazał się ujmująco miłym chłopakiem. Nie było wątpliwości, że jest w niej bardzo zakochany. Kiedy z rozdzierającą rozpaczą całowali się na pożegnanie, Marta musiała odwrócić głowę, bo łzy stawały jej w oczach.

Wraz z listem Mary przysłała dwa zdjęcia zrobione przed samym odlotem. Na jednym z nich stali Marta i Szymon. Miał szczęście, że wyrósł znacznie bardziej od ojca, ale poza tym... tak musiał wyglądać Karol, kiedy był w jego wieku. Wyszukała jego zdjęcie, które dawno temu przeskanowała, i spojrzała na nie dla porównania. Patrzyła na ekran laptopa z rozczuleniem i dopiero po dłuższej chwili wyrwała się z osłupienia.

No trudno, zadzwoni jednak do tego... Eryka. Sięgnęła po słuchawkę i natrafiła na pocztę głosową. Przybierając zupełnie obojętny ton, bez złości, pretensji i urazy, spytała, co u niego, i zakończyła słodko, wysyłając całusy.

Wyjrzała przez okno, za którym robiło się już ciemno i wiatr gonił opadające liście z drzew. Jakie to dziwne, że było jej tu znacznie samotniej niż w Warszawie. Może tam wśród natłoku pracy łatwiej było to znieść. A teraz... Najpierw namącił jej w głowie Karol, teraz życie poprzestawiał

Eryk. Ucieszyła się na dźwięk dzwonka telefonu.

– Dobry wieczór, Marto!

Usłyszała oficjalny ton matki. Skrzywiła się lekko, wiedząc, że może się spodziewać tylko wymówek. Od paru tygodni zupełnie ją zaniedbała, licząc na to, że Teresa z pewnością ją odwiedzi. Nie wspominając już o jej osobistym pupilku, który przecież przez cały wrzesień siedział w domu.

Marta nie mogła darować Marcinowi, że nie pomógł jej w sprawie Jurka.

Ale intencją matki nie było robienie jej wyrzutów.



– Ustaliłam z Tenią, że zrobię przyjęcie urodzinowe w najbliższą sobotę. Marcin wypływa już piętnastego na ten swój krótki rejs i pomyślałam sobie, że urządzimy je wcześniej.

– Doskonały pomysł. A jaki prezent mamie kupić?

– Mnie? Nic. Po co? Do grobu tego nie zabiorę.

– Mamo!

– Co mamo? To moje osiemdziesiąte czwarte urodziny. Jak myślisz, jak długo będę jeszcze żyć? Przyprowadź mojego Eryczka. Nie będę do niego dzwonić, bo mam tylko jego telefon komórkowy.

Jak miała go przyprowadzić, skoro zniknął bez śladu? Oczywiście nie chciała się do tego matce przyznać, spodziewając się niezbyt miłych komentarzy.

– Dobrze – obiecała lekkomyślnie.

– Pozdrów go ode mnie, jak się z nim spotkasz.

Marta miała ukończone czterdzieści dwa lata, ale nigdy w życiu nie przyznałaby się matce do tego, że nie tylko spotyka się z Borzewskim, ale również z nim sypia. Przynajmniej do niedawna. Z matką nie można było rozmawiać o intymnych sprawach. Gdy tylko pojawiała się bardziej swawolna tematyka, matka reagowała jak rasowa purytanka. Sprawy związane z płcią wyjaśniła nastoletniej Marcie dopiero jej starsza siostra.

Matka nigdy nawet nie zająknęła się na ten temat. Jak na lekarkę były to dość dziwne zahamowania. Marta przez długie lata myślała, że przyniósł ją bocian. Marcin, wbrew temu, co mówili mu koledzy na podwórku, wierzył w niego również. Fakt, że przyszyli na świat w rezultacie współżycia rodziców, nie mieścił im się w głowach. W ojca współudział mogliby jeszcze uwierzyć, ale matka...? Według Marty byłaby idealną kandydatką na przeoryszkę, a tymczasem wyszła za mąż – i to dwa razy – i powiła czwórkę dzieci, poczętych niewątpliwie zgodnie z naturą.

I znowu się zamyśliła. Ponownie ze stanu apatii wyrwał ją głos dzwonka. Tym razem był to Eryk i słysząc go, autentycznie się ucieszyła.

– Marta! Bardzo cię przepraszam, że wcześniej nie zadzwoniłem.

Jestem znów w Londynie i załatwiam mnóstwo spraw. Spotykałem się też z chłopcami. Jest mi bardzo głupio, że nie zdążyłem cię zawiadomić.

Obiecuję, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Trafił na moment, w którym chętnie mu wybaczyła i nie robiła wyrzutów. Może wcześniej, albo dzień później, byłoby inaczej, ale w tej chwili Marta pragnęła porozumieć się z Erykiem, przestać czytać fragmenty zeznań Małgorzaty i zestawiać go z jego opisem, chciała po prostu przytulić się do niego i porozmawiać o głupstwach.

– Przylecę dziś późnym samolotem około dziesiątej. Czy mógłbym przyjechać do ciebie?

– Będę na ciebie czekać. – Nagle wszystkie smutki i nostalgiczne uciekły na łeb na szyję.

Może jednak powinna wyjść za niego za męża? Chyba już nie znajdzie innego kandydata do tej roli? Jakże chyba, nie ma mowy, by znalazła. A Eryk... jest naprawdę przystojny.

– Kochanie, mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– Będziesz potrzebowała swojego samochodu przez najbliższych parę dni? Bardzo by mi się przydał.

Euforia nagle jakby wyparowała. Marta przez chwilę siedziała ze słuchawką na kolanach i rozmyślała nad ostatnimi słowami Borzewskiego.

Nie powiedział nawet, do czego potrzebny mu jej samochód, a ona i tak zgodziła się go pożyczyć.

Nie, nie, nie. Znowu zaczynała wymyślać. Skąd to jej się w głowie brało? Nie potrafiła nawet spamiętać, że w lodówce pustki, a Eryk z pewnością chętnie coś przekąsi na kolację. Tylko że polo zostało w garażu, a jej nie chciało się go stamtąd wyciągać. Chwyciła więc za torebkę i poszła zrobić zakupy w Manhattanie.

Dużo nie kupiła ze względu na perspektywę ciężkich siatek, ale udało jej się zmieścić w nich „coś na ząb” i na kolację, i na śniadanie. Takie planowanie krótkoterminowe, od jakiego przez lata się odzwyczaiła, a które, jak się okazuje, ma swoje dobre strony, rozmyślała Marta, skracając w ulicę Matki Polki.

Na dworze było zupełnie ciemno, a wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, aż wydawało się, że pozrywa dachówki z okolicznych domów. Ulica zupełnie

opustoszała, mdłym światłem świeciły ukryte za drzewami latarnie, ale Marta miała wrażenie, że pośród szumu wiatru słyszy za plecami czyjeś kroki. Kolejne zwidy? Instynktownie przyspieszyła, ale osoba znajdująca się z tyłu postanowiła zrobić to samo. Nagle gardło Marty ścisnęło znane uczucie przerażenia. Znow opanowała ją niepewność, czy to, co słyszy, jest prawdą, czy też stała się ofiarą swych nerwów. Na zakręcie wiedziała już, że to nie tylko zjawisko akustyczne. W słabym blasku latarni dostrzegła męską sylwetkę.

W nogi! Jednak oszczędność wbita w głowę przez matkę nie pozwoliła jej rzucić toreb z żywnością w krzaki, więc kurczowo je ściskając, puściła się pędem w stronę swojej kamienicy. Gdzie był klucz od drzwi wejściowych? Marta oddychała z wysiłkiem, a ręka jej dygotała, gdy próbowała wsadzić klucz w zamek, ale drzwi na szczęście natychmiast się otworzyły.

Przez chwilę stała o nie oparta, ciężko dysząc, ale nie z powodu zmęczenia fizycznego – miała bardzo dobrą kondycję – lecz z przerażenia.

Czuła mrowienie skóry na głowie. Chciała płakać z rozpacz. Ten nagły strach udowodnił jasno, że nie jest jeszcze zupełnie zdrowa i być może nigdy już nie będzie.

Zgasiwszy światło na korytarzu, podeszła do okna na pierwszym piętrze i wyjrzała na zewnątrz. Tak jak przypuszczała. Ulica była zupełnie pusta. Ten incydent sprzed chwili był wyłącznie sprawką jej wyobraźni.

Kiedy otwierała drzwi do mieszkania, rozdzwoniła się jej komórka.

– Kochanie, jakiego ja mam pecha. Odwołali mój lot. Podobno z powodu pogody w Gdańsku.

– Wieje bardzo silny wiatr. Eryku... szkoda, że cię tu nie ma – wyszeptała nagle, a w jej oczach pojawiły się łzy. Zosia samosia pękała!

– Marta, ja już myślałem, że ci na mnie nie zależy. Proszę cię, nie płacz. Postaram się mieć wolny cały najbliższy weekend. Tak, oczywiście pójdziemy do twojej mamy na urodziny. Dobrze, że jeszcze nie wyleciałem z Anglii. Może uda mi się kupić jakiś ładny prezent. Ale wiesz, że najbardziej chcę mieć ciebie samą. Lepiej już...?

Stała ze słuchawką w ręku i beczała przez dłuższą chwilę. Potem umyła twarz i wyjrzała przez okno, żeby zobaczyć, czy nadal mocno wieje.

Po przeciwnej stronie ulicy ktoś stał i patrzył w stronę jej okien. Nie był to jednak

Karol Mierzejewski. Tego, niestety, była pewna.

Kiedy parę minut później zadzwonił dzwonek do drzwi, Marta poczuła w piersiach dotkliwy ból. Była tak przerażona, że nie mogła przejść paru kroków. Oddech. Wolno i przez nos, powtarzała sobie, stawiając ostrożnie stopy. Nie ma czego się bać. W domu był domofon, a w drzwiach „judasz” i łańcuch z zasuwą.

Kolejny raz wyszła na idiotkę. Za drzwiami stał jej sąsiad z przeciwka.

– Pani Marto, przepraszam najmocniej, że przeszkadzam. – Emerytowany mecenas był jak zwykle uosobieniem grzeczności.

Marta opuściła łańcuch.

– Nie ma za co.

– Trochę mi niezręcznie, pani Marto. Przed chwilą zadzwonił do mnie z domofonu jeden pan. I mówił, że przyszedł do pani z wizytą.

Serce ponownie przyspieszyło rytm.

– Tak?

– Ja bardzo panią przepraszam, ale spojrzałem na niego przez okno i... postanowiłem się najpierw upewnić, czy pani go zna.

– On jest przy wejściu? – Marta była o krok od paniki.

– Tak, czeka. Jeśli to pani znajomy, to bardzo przepraszam, ale jest tu tak ciemno i kręcą się różne osoby.

– Dziękuję panu serdecznie. Czy może pan chwilę zaczekać, dopóki nie sprawdzę?

Ale gdy zbiegła po schodach i spojrzała przez szybę drzwi wyjściowych, nie miała już żadnych wątpliwości. Skinęła tylko głową mecenasowi na znak, że wszystko jest w porządku, i otworzyła... Jurkowi Więckowi.

Marty wcale nie zdziwiło zachowanie mecenasa. Zapewne postąpiłaby tak samo. Jurek nie przypominał osób, które ją z reguły odwiedzały, i wyglądał znacznie gorzej niż wtedy, kiedy go spotkała na targu. Miał teraz brodę, a na nosie i pod okiem ślady zadrapań. Jego ubranie było bardzo poplamione i wyglądało tak, jakby w nim spał od miesięcy.

– Przepraszam cię, Marto. – Nawet głos nie był już ten sam. Stał się bardzo ochrypły. – Chyba już za późno na odwiedzinę, prawda?

– Coś ty, wchodź! – odparła bez wahania i poprowadziła go do swojego mieszkania

na parterze.

Jurek rozglądał się uważnie.

– Siadaj, zrobię nam coś do picia. – I chyba jedzenia, pomyślała, obserwując jego wychudzoną sylwetkę.

– Nie będę siadał. Zobacz, jaki jestem brudny, a twoje meble... – Głos mu się nagle załamał.

– Meblom nic nie będzie – odpowiedziała natychmiast. Teraz, kiedy minął strach, Marta stała się natychmiast sobą, kobietą energiczną i zdecydowaną.

– Nie, ja postoję – odpowiedział. – Wtedy, na targu, dałaś mi swoją wizytówkę, że gdybym... – Znów przerwał.

Ta cała sytuacja musiała go przerastać. I dlatego Marta powinna kierować tą rozmową.

– Jurku, nie krępuj się. W czym ci pomóc? Ale najpierw usiądź, dobrze?

– Nietrudno odgadnąć, prawda? – zaśmiał się gorzko i przycupnął na samym brzeжку kanapy.

– Nie wyglądasz najlepiej, to fakt – przyznała Marta. –Może weźmiesz najpierw prysznic, trochę się odświeżysz, a potem pogadamy.

– Wiem, że cuchnę.

– Nie będę cię oszukiwać. Ale na szczęście można temu zaradzić.

Czekaj! – Zerwała się z miejsca i szybkim krokiem podeszła do szafy w przedpokoju. Skarpety, bielizna i koszula Eryka, stare spodnie Marcina. – Trzymaj. – Cały pakunek wcisnęła w ręce Jurka, a potem poprowadziła go w stronę łazienki. – Tu jest mydło, tu ręcznik, nie mam męskich przyborów do golenia, ale mam piankę i maszynkę, a prysznic włącza się...

– Wiem, jak działa. Miałem w domu taki sam – powiedział zgaszonym głosem.

Może nie powinna proponować mu wizyty w łazience. Pewnie go upokorzyła. Ale trudno, cuchnął rzeczywiście potwornie. Jego ubranie nadawało się tylko do wyrzucenia.

Marta biegła po kuchni jak żołnierz w trakcie alarmu bojowego.

Makaron, nie – ziemniaki, szybko odmrozić mięso w mikrofalówce, kroić pomidory i cebulę. Ręce wykonywały wyuczone czynności, natomiast mózg

gorączkowo zastanawiał się, jak można by pomóc Jurkowi. Pomóc, a już zapomniałaś, co ci kiedyś zrobił, wydawało jej się, że słyszy głos Ludki.

Przecież przyszedł do ciebie. Nie możesz go zawieść, zagłuszyła ją Teresa.

Kiedy ziemniaki zaczęły się dogotowywać, a mieszkanie wypełnił dźwięk saksofonu Przemka Dyakowskiego, drzwi od łazienki otworzyły się i wyjrzał z nich lśniący czystością Więcek. Na szczęście pozbył się brody, w której wyglądał jak prawdziwy recydywista.

– Obiad? Zrobiłaś dla mnie obiad? A ja myślałem, że mnie nie wpuścisz za próg.

– Oj, głupi jesteś. Powiedz mi tylko, dlaczego za mną szedłeś od Manhattanu i mnie śmiertelnie wystraszyłeś?

– Kiedy?

– Jakieś dwie godziny temu.

Więcek pokręcił głową.

– Nie, mnie wtedy nie było we Wrzeszczu. Przeszedłem na piechotę z Moreny.

– To nie byłeś ty? – zdziwiła się Marta.

–Nie.

Jurek usiadł przy stole, a Marta postawiła przed nim talerz z kotletami schabowymi, ziemniakami i sałatką z pomidorów. Więcek starał się jeść jak najwolniej, ale było widać, że najchętniej wcisnąłby całą zawartość talerza od razu do gardła.

– Jesteś jeszcze głodny? – spytała, gdy przełykał ostatni kęs.

– Trochę tak, ale już dziękuję. Mam kłopoty z żołądkiem. Nic zresztą dziwnego...

Zakończył więc swoją obiadokolację kroplami miętowymi i gorzką herbatą. Marta nie pytała go, jak może mu pomóc, gdyż w zasadzie wszystko było jasne. W pewnym momencie Jurek spojrział na kuchenny zegar. Dochodziła już dziesiąta i wówczas postanowił opowiedzieć Marcie, co się stało.

Jurek Więcek staczał się powoli. Początkowo wyglądało to zupełnie niewinnie. Cztery lata wcześniej przyjechał do Trójmiasta w bardzo złym stanie psychicznym i z chorą ręką po wypadku. Jeden z jego dawnych znajomych zaoferował mu pracę na czarno w swojej nowo otwartej hurtowni. Zarobki były kiepskie, ale mógł za to mieszkać w służbowym mieszkaniu za darmo. Pracował tam niemal przez rok, aż

firma splajtowała, a on został bez wypłaconych trzech miesięcznych pensji. Próbował znaleźć coś innego, ale ze względu na rękę nikt nie był zainteresowany przyjęciem go do pracy. O pożyczaniu pieniędzy nie było mowy.

Na szczęście wiosną znalazł pracę u ogrodnika, a potem wytropił nędzne lokum w domu przeznaczonym do rozbiórki. Wytrzymał tam kolejny rok, dopóki nie zachorował na korzonki. Znowy wylądował na bruku, a dom rozebrali. Potem było mieszkanie na działkach, mycie się śniegiem w zimie, brak jakiegokolwiek pracy, mimo długich godzin wystanych przed pośrednikiem. Wystarczyło, żeby potencjalny pracodawca spojrzał na jego zdeformowaną rękę... Jedynym ukojeniem stało się tanie wino, jeśli można było łączyć na nie pieniądze. Jak pił, było lepiej, inni też się go nie czepiali.

Przez lato udało mu się trochę zaoszczędzić. Wiosną dawny ogrodnik dał mu na sprzedaż kwiaty, potem zaczął zbierać jagody i borówki. Pewnie Marta pamiętała, że znał się dobrze na lesie. Całą młodość w nim spędził.

Dzięki zarobionym pieniądząm chciał godnie przezimować. Kupił nawet farelkę, ciepłe ubranie, kilka kołder. Jednak ten „podwyższony standard” musiał wzbudzić zazdrość jego byłych kompanów od picia, gdyż dwa dni wcześniej, kiedy wrócił do swojego lokum, zastał na miejscu altanki jedynie zgliszcz. W desperacji chciał skorzystać z usług noclegowni, ale żadnych miejsc wolnych nie było.

– Najlepiej byłoby położyć się na torach i ze sobą skończyć.

Marta wiedziała, że jego ostatnie słowa brzmiały szczerze, nie próbował wzbudzić jej współczucia.

– Nie będzie takiej potrzeby, Jurku. Oczywiście, że ci pomogę. Szkoda tylko, że nie zwróciłeś się do mnie wcześniej.

– Ja do ciebie? Marta! Zachowałem się wobec ciebie jak ostatnia szmata i w takiej samej formie do ciebie dzisiaj przyszedłem. Nie powinnaś mnie wpuszczać za próg. Pójdę już.

– Dokąd? Chyba oszalałeś! – wykrzyknęła. – Zostaniesz u mnie, dopóki nie wymyślimy jakiegoś sposobu, jak można ci pomóc. – Zerwała się z fotela. – Chodź, pokażę ci. To nie jest nic dużego, bo i całe mieszkanie nie jest specjalnie wielkie. Taka dawna służbówka.

W przyszłości miała być tam garderoba z deską do prasowania. Teraz w maleńkim pomieszczeniu stały łóżko i stolik nocny. Parę razy nocowała tam Teresa.

– Nie boisz się, Marta? Wpuściłaś do domu ostatniego dziada. Nie boisz się spać ze mną pod jednym dachem?

Ale był przecież jej dawnym narzeczonym marnotrawnym, prawda?

Pochylona nad łóżkiem poprawiała kołdrę i wytrzępywała poduszkę.

Tknięta nagłą myślą wyprostowała się i spojrzała wprost w lekko załamane oczy Jurka.

– Ale ty musisz mi powiedzieć, co takiego się stało! Co takiego zaszło w czasie rejsu, że porzuciłeś mnie wówczas bez słowa. Jesteś mi to winien.

I nagle znów była dwudziestoletnią dziewczyną na Skwerze Kościuszki i znów wstrzymywała łzy.

Eryk nie był zachwycony nowym lokatorem Marty. Co ona najlepszego wyprawiała? Poza tym oddała temu bezdomnemu jego ulubioną koszulę i bieliznę. I co z tego, że wszystko już było wyprane? On już tych łachów nie chciał. I po co było marnować tyle pieniędzy na kupno nowych ubrań dla tego przybłądy. Przecież równie dobrze wystarczyłby lumpeks.

– Musi wyglądać dobrze, skoro ma szybko znaleźć pracę i stanąć na nogi – suchym tonem zauważyła Marta.

– Ale gdzie znajdzie? Z taką uszkodzoną ręką?

– Może w biurze, skoro ty nie chcesz go zatrudnić na budowie. Z pewnością by się do czegoś przydał. Zna dość dobrze angielski. Nauczę go obsługiwać komputer. I mów ciszej, bo może usłyszeć.

– Przecież jesteśmy w garażu!

Eryk skrzywił się z jawnym obrzydzeniem. Nie przypuszczał nawet, że Marta sprawi mu taką niespodziankę. Przyleciał z Londynu, licząc na wypoczynek, a tu nagle ten obcy facet! Po szybkim wypiciu kawy – niemal zadławił się wrzątkiem – zerwał się na równe nogi, mówiąc, że nie ma wiele czasu i najlepiej byłoby, gdyby mógł wziąć samochód Marty jeszcze tego samego dnia.

– Po co nam taka historia, Marto? Wiesz, ile ja mam stresów z tą nową inwestycją!

Marta rozumiała zdziwienie Eryka. Nie rozumiała jednak tego dość agresywnego



tonu, którym się do niej zwracał. Poza tym nie była jego własnością, żeby jej mówił, co ma robić. Powinien zrozumieć, że to jest tylko chwilowa sytuacja. Tak mu przecież tłumaczyła przez telefon, kiedy wczesnym rankiem pod pretekstem kupna świeżych bułek zawiadomiła go o wydarzeniach ostatniej nocy.

Eryk nie przywykł, żeby cokolwiek działo się wbrew jego woli, i próbował na nią naciskać.

– Nie boisz się go zostawiać samego? Jeszcze ci coś podprowadzi.

– Nie robi tego.

– Skąd wiesz?

– Wiem. I kiedyś ci to wytłumaczę, jeśli będziesz chciał mnie wysłuchać. Może dziś wieczorem? U ciebie? – zaproponowała.

– Przecież wiesz, że muszę wyjechać do kontrahenta. – Twarz Eryka była napięta ze zdenerwowania. – A poza tym, lepiej go samego na dłużej nie zostawiaj!

– Dobrze, porozmawiamy, jak wrócisz – odpowiedziała, a on ruszył spod jej domu z piskiem opon.

Marta powstała jeszcze chwilę przed zamkniętą bramą garażu, próbując zebrać myśli. Przede wszystkim jednak powinna porozmawiać z matką.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ci tak zależało, żeby się ze mną dzisiaj spotkać. Przecież przychodzicie pojutrze na moje urodziny, prawda?

A Eryk jest w Polsce?

Emilia Wentowa umyła ręce i zdjęła fartuch, w którym kręciła się po kuchni, i poszła do pokoju, do swoich dorosłych dzieci.

Marta milczała. Chciała porozmawiać z matką, ale bez świadków, do których należał Marcin rozwalony w fotelu i nie wykazujący chęci powrotu do własnego domu. Przynajmniej Piotr, szczęśliwie zamknięty w swoim pokoju i pogrążony w pracy naukowej, nie był żadną przeszkodą.

– Muszę się za chwilę zabrać do waszego ukochanego makowca i tortu orzechowego. Marcinek przyniósł mi mnóstwo łuskanych orzechów. On jeden wie, jak zrobić matce przyjemność.

W tym momencie również wymieniony postanowił się włączyć w rozmowę i skubiąc postawione na stole winogrona, zwrócił się do Marty ostrym tonem: –

Słyszałem od Eryka, że wpuściłaś do domu tego Więcka.

Oj! Zatem opieka nad Borzewskim w dzieciństwie zakończyła się wychowaniem zdrajcy. Już zdążył polecieć na skargę. To nie było fair w stosunku do Marty.

– Więcka? – Matka nagle drgnęła. – Czy to nie twój kolega ze studiów, Marcinku?

– Kiedyś go znałem, to prawda, ale od tego czasu stoczył się na samo dno, a moja siostra, nagle objawiona samarytanka, postanowiła się nim zająć i przyjęła go pod swój dach – zaczął opowiadać Marcin.

Matka, słuchając jego relacji, z wrażenia usiadła na sofce.

– To prawda, Marto?

– Tak, to prawda. Chcę mu pomóc – odpowiedziała, natrafiając na przenikliwe spojrzenie matki.

– Ale dlaczego właśnie ty? Przyjmować u siebie człowieka z marginesu... A co na to Eryk?

– Jest wściekły, a jak mama myśli! – wtrącił się Marcin. –Przychodzi do domu, a tu w jego własnych gaciach siedzi rozwalony lump. Każdy by się chyba zdenerwował, prawda?

Matka przeniosła przenikliwy wzrok na brata Marty.

– Mój drogi, pozwól, że sama z nią porozmawiam.

Widać było, jak bardzo jest wściekły z nakazanego mu odwrotu.

Żachnął się, ale słowo matki było zawsze rozkazem. Z zaciśniętymi szczękami zerwał się z fotela.

– No to idę do domu. Może mama jej wyperswaduje takie głupoty. W takim momencie, kiedy jakiś porządny facet się nią w końcu zainteresował, ona...

– Dosyć! – przerwała matka, a Marta, mimo że przyszła tu przepełniona ogromną urazą do niej, była jej teraz tak wdzięczna, że niemal się popłakała.

W końcu zostały same w pokoju. Patrzyły na siebie w milczeniu. Cisza trwała tak długo, że Marta miała wrażenie, iż zaczęła się zamieniać w kamień. Czy to był ten sam ciężar, który zawsze wyczuwała w stosunkach z matką? Jeśli tak, to teraz zaczynała wszystko lepiej rozumieć.

– Powiedział ci? – spytała w końcu matka i zacisnęła usta. Marta skinęła głową.

– Po dwudziestu dwóch latach. Szkoda, że tak późno.

– Całe szczęście, że zachował się uczciwie – skomentowała matka i nie drgnęła jej nawet powieka. – Dzięki temu nie zmarnował ci życia.

– Nie? Jesteś tego pewna?

– Oczywiście, że tak. Czy myślisz, że przyczyniłabym się do nieszczęścia swojego dziecka?

Ale czy tak nie było? Marta z całych sił zacisnęła dłonie, przypominając sobie, co mówił Jurek Więcek ubiegłej nocy. Nawet nie zmrużyła potem oka.

Dwadzieścia dwa lata wcześniej, na parę dni przed wypłynięciem żaglowca Chrobry w rejs, do Jurka Więcka przyszły dwa listy. Pierwszy napisany był przez siostrę cioteczną Hanię z informacją, że jego matka zachorowała na nowotwór. Uparła się i przysięgła sobie, że jej syn przed wyprawą nie może się o niczym dowiedzieć. Hania miała jednak zupełnie odmienne zdanie i poinformowała o wszystkim kuzyna, zapewniając, że do czasu powrotu Jurka z rejsu zajmie się jego matką. Potem on to powinien zrobić, tym bardziej że należało nakłonić Więckową do leczenia szpitalnego, przed czym się wzbraniała, mówiąc, że nic jej już nie pomoże.

Po lekturze listu Jurek przez dłuższy czas nie wychodził z toalety w akademiku. Było to jedyne miejsce, gdzie mógł przebywać w samotności i bezkarnie... płakać.

Dopiero po pewnym czasie i bez większego zainteresowania spojrział na drugą kopertę. List był od znajomej, Danki, z którą na jednej z imprez zacieśnił nieco towarzyskie kontakty. Takie wygłupy po alkoholu, nic poważnego. Od kiedy spotkał Martę, wszystko w jego życiu się odmieniło.

Nawet nie przypuszczał, że może to się zdarzyć w ułamku sekundy. Mimo smutnej wieści, którą przed chwilą otrzymał, nie mógł się nie uśmiechnąć, myśląc o swojej niezwyklej dziewczynie.

Razem dadzą sobie radę. Ze wszystkim. Ze wszystkim? Nagle litery z listu Danki połączyły się w wyrazy, a te w zdania i wreszcie dotarł do niego sens wiadomości...

To było jak grom z jasnego nieba. Jak obuchem w głowę. Zamknął oczy, pragnąc, aby jakaś niewidzialna siła wymazała te słowa z listu. Żaden cud się jednak nie wydarzył. Danka była z nim w ciąży i już zdążyła powiadomić o tym swoją rodzinę. Miała zamiar przyjechać do Gdyni po niego, gdy wróci z rejsu. Bo przecież jak najszybciej trzeba będzie zaplanować ślub. Najlepiej byłoby, gdyby zadzwonił do nich

jeszcze przed podróżą. Ojciec chciałby z nim porozmawiać.

Ojciec Danki był komendantem milicji w mieście i znany był z tego, że potrafił ostro przyłożyć bez jakiegokolwiek „paragrafowego” uzasadnienia. Z kolei brat dziewczyny był cinkciarzem i handlował ciuchami z zagranicy, pod względem charakteru zaś wdał się w tatusia. A sama Danka? „Nic dobrego z tej dziewczyny”, mawiała matka i prosiła Jurka, by nie szedł do niej na imprezę. No i się doigrał.

Jurek zabrał współlokatorowi prawie pełną paczkę caro, a potem znów siedział w ubikacji, paląc jednego papierosa za drugim i zastanawiając się, co ma robić, by uniknąć wyroku dożywocia. I co z Martą? Mimo iż wolałby podciąć sobie żyły, niż ją skrzywdzić, wiedział, że nie obędzie się bez poinformowania jej o wszystkim. Ale czy może ją w to wszystko wplątać? Z kolei matka była chora na raka, nie może pozwolić jej umrzeć, musi poddać ją najlepszemu leczeniu. Ale skąd weźmie pieniądze na operację? W domu żadnych oszczędności nie było – ojciec zabrał wszystko dawno temu, kiedy od nich odszedł – nie będzie miał z czego płacić alimentów, nie będzie miał jak utrzymać siebie i Marty. Stypendium było niewystarczające, więc jedynym wyjściem będzie przerwanie studiów. Czy było jakieś honorowe wyjście? W jego głowie panował jeden wielki chaos i dlatego postanowił poradzić się swojego przyjaciela, który razem z nim wyruszał w rejs Chrobrym. Marcin odpowiedział mu, żeby wyznał wszystko ich matce. Z pewnością będzie wiedziała, co należy w takiej sytuacji począć.

– A ty napisałaś, że nie pozwolisz mi złamać mi życia. Że jestem zbyt młoda, mam prawo do związku nieobciążonego rodzinnymi zobowiązaniami. Że nie takiego sobie zięcia wymarzyłaś. Osoba, która potrafi się przespać z byle kim, nie jest godna zaufania. I że takie są również moje poglądy, gdyż tak mnie wychowałaś – wyliczała Marta jak w transie.

– Dobrze już. Wiem, co napisałam. I zrobiłabym to jeszcze raz, by ustrzec swoją najmłodszą córkę.

– Nie ustrzegłaś. Mnie to rozstanie zabiło. – Marta zerwała się z fotela, gdyż na siedząco nie była w stanie złapać tchu.

– Co ty pleciesz! Wyszłaś potem za chłopaka z dobrego domu. – Wentowa wyglądałaby na zupełnie opanowaną, gdyby nie różowe plamki, które pojawiły się na

jej twarzy.

– Który okazał się ostatnią szują. Dziwne tylko, że w jego wypadku zmieniałaś poglądy. Uważałaś, że powinnam zaakceptować jego nieślubne dziecko, mimo iż Darek nie miał wcale ochoty i zamiaru dyskutować na ten temat. A dlaczego? To proste. Bo Jurek był marnego pochodzenia według ciebie, prawda? Nie te geny, co potrzeba, prawda? Jednak mimo to, co mu się przydarzyło p r z e d naszym związkiem, on mnie kochał. A ty nie dałaś nam żadnej szansy. Mogłam mu pomóc. Razem byśmy sobie poradzili.

Byłoby ciężko, ale...

– Bzdury pleciesz. To teraz ci się tak wydaje. Wtedy byłaś zbyt młoda.

Przy nim nie skończyłabyś nawet studiów.

– Może tak by było. Ale to byłby mój własny wybór, nie rozumiesz tego? A ty go jeszcze zaszantażowałaś. Załatwiłaś jego matce operację u najlepszego specjalisty, ale postawiłaś warunki. Nie spotka się ze mną i niczego mi nie wyjaśni. Sama też mi niczego nie zdradziłaś. Przecież musiałaś wiedzieć, że cierpię jak potępieniec. Ale ty nic. Nawet ci twarz nie drgnęła, gdy stałaś wtedy koło mnie w Gdyni.

– Marto, a dlaczego mi sama o niczym nie powiedziałaś? Przecież jestem twoją matką. Nie mogłaś mi się zwierzyć ze swojego zmartwienia?

Skąd mogłam wiedzieć, że tak bardzo go kochasz?

– Przecież napisał ci ten list! – Marta niemal krzyczała.

– Tak, o tym, że on cię kocha. Wybacz, ale w żaden sposób nie mogłabym odgadnąć, że ty jego też. – Matka również podniosła głos. – Nigdy tego nie okazałaś nawet gestem.

– Co tu się dzieje? – Szpakowata głowa Piotra wychyliła się zza drzwi.

– Jakieś nieszczęście?

Marta poczuła, że nie wytrzyma dłużej. Matka zawsze z nią wygrywała. Po raz pierwszy Marcie udało się ją dotknąć i potraktować jak równą partnerkę. Ale sprawy, które poruszyła, były dla niej zbyt bolesne, by nad nimi dłużej zapanować. Odwróciła się więc na pięcie i bez słowa wybiegła z mieszkania.

Nie powinna była tu przychodzić. Lepiej było odczekać, przemyśleć wszystko i dokończyć to, co zamierzała powiedzieć. A przecież nawet nie doszła do

najważniejszego: jak postępowanie matki zniszczyło życie Jurka Więcka.

Marta poczuła w ustach gorzkość. Nie chciała jej połykać, wypluła ślinę przy wyjściu z domu. Czy to był smak nienawiści?

## ROZDZIAŁ 20

Marta przyglądała się stojącemu na kuchennej półce talerzykowi i filiżance z delikatnym wzorem w kwiaty. W ogóle nie pasowały do tego miejsca, stwierdziła po raz kolejny. Nie miała jednak wystarczająco dużo samozaparcia, aby je przenieść w inny kąt. Parę lat temu dostała tę porcelanę od matki. Przyjechała z nią z Wilna, w jednej walizce, którą udało jej się stamtąd zabrać. Marta nigdy nie była w stanie pić z tej filiżanki. Miała wrażenie, że ma do czynienia z jakąś relikwią. Dziwne. Kiedy używało się naczyń na co dzień, nie budziły przecież takich uczuć. Wystarczyło jednak odstawić je na parę lat i nagle stawały się obce i martwe. Tylko codzienny kontakt mógł je ożywić. Ale jak się do tego zmusić?

– Masz ochotę się czegoś napić? – Podniosła głos, aby usłyszał ją Jurek ćwiczący na komputerze w swojej „służbówce”.

Marta oddała mu swój stary pecet.

– Dzięki. Zaraz przyjdę.

Nastawiając czajnik, wyjrzała za okno. Co za ponury widok. Deszcz zacina o szyby, a ludzie pospiesznie przemykają do swoich samochodów.

Na szczęście ona siedzi w ciepłe, w domu. Marta Wenta i Jurek Więcek.

Egzotyczna para po latach.

Marta nie poszła na przyjęcie urodzinowe matki. Z rozmysłem zbojkotowała imprezę. Nie dała się przekonać łzawym argumentom swojej siostry, że może to być ostatnia tego typu uroczystość, ani prośbom Piotra, żeby przyszła, skoro na przyjęciu miała być również jej koleżanka Ludka.

Nawet Eryk niczego nie zwojował.

– Któreś z nas musi być odpowiedzialne – apelował do jej sumienia. – nigdy nie zrobiłbym tego własnej matce. Powinnaś tam pójść.

Marta próbowała opowiedzieć mu, jakie są motywy jej postępowania, ale prędko zauważyła, że wcale jej nie słucha.

– Ciekawa jestem, co powiedzą na to, że im chcesz zasłonić widok na morze –

rzuciła jako ostateczny argument, który jak się okazało, był zupełnie nieskuteczny.

– Już nie chcę. Tamto to była klasyczna podpucha. Dostanę inny, jeszcze lepszy teren.

Marta spojrzała na niego ze zdumieniem. Kolejny raz trzymał wszystkie informacje w tajemnicy. Jeśli prowadził grę w sprawie terenu, mógł jej o tym powiedzieć, teraz czuła się wystawiona do wiatru.

Eryk w ostatnich tygodniach był jeszcze bardziej zamknięty w sobie niż przedtem. Czuąc się jednak trochę winna, że narzuciła mu towarzystwo Jurka, parokrotnie sama wyszła z inicjatywą pojechania z nim do Oliwy. Za każdym razem ją zbył. Poza tym nie dał się odstręczyć i poszedł sam na urodziny pani Wentowej, ryzykując wystawienie się na czujny prokuratorski wzrok. Jednak skoro udało mu się wrócić bez policyjnej asysty, a sama Ludka następnego dnia telefonicznie „pobłogosławiła” ich związek, Marta powinna dać sobie spokój z tą swoją podejrzliwością. To przecież choroba!

Możliwe, ale kiedy Eryk zwrócił jej samochód, dokładnie sprawdziła w nim każdy kąt. Chociaż przecież mógł mieć zrobione skrytki. Jak by to sprawdzić? Przydałby jej się pies tropiący. Tylko skąd go miała wziąć?

– Dziękuję za herbatę – powiedział Jurek Więcek i posłodził ciepły płyn trzema łyżeczkami cukru. – Głupio się czuję, że mnie tak we wszystkim obsługujesz.

– Potraktuj to jako wakacje. Kiedy się lepiej poczujesz, zagonię cię do roboty – powiedziała Marta i znudzona wypowiedziami kandydata na prezydenta stolicy, ściszyła dźwięk w telewizorze.

– Już się lepiej czuję – odpowiedział.

Jego okaleczona ręka obejmowała czule kubek z herbatą. Jurek wyglądał znacznie lepiej. Z twarzy stopniowo zniknęła opuchlizna, otarcia na policzkach i szyi niemal się zagoiły. Kiedy na dobre znikną, Marta zabierze go do lekarza. Rozmawiała już o tym z Teresą, postarają się go gruntownie przebadać. Jego poprzedni tryb życia nie należał do najzdrowszych i pewnie pozostawił ślady w całym organizmie. Pragnieniem Marty było dopomóc Jurkowi, by stanął na własnych nogach. Może to płonne nadzieje? Pewnie któregoś dnia po powrocie do domu mogło się okazać, że leży gdzieś w kącie zapity na umór albo że go nie ma, a wraz z nim jej komputerów i kilku nielicznych



cennych przedmiotów, na których jej zależało. Może... Było jej wszystko jedno. Jeśli się pomyliła, to trudno, ale przecież nie mogła zrobić inaczej.

– Ciągłe pada, prawda? – odezwał się Jurek.

– Smutna pogoda – odpowiedziała, tłumiąc ziewanie.

Czy takie byłyby ich rozmowy po dwudziestu dwóch latach małżeństwa? Czy Jurek, będąc jej mężem i żyjąc w innych warunkach, byłby teraz inną osobą? Jej ukochanym, jak wówczas myślała, na zawsze.

Czy też rację miała matka, uważając od samego początku, że do siebie zupełnie nie pasują?

Na myśl o matce ponownie poczuła złość. Ona nie miała do tego najmniejszego prawa! I dlatego Marta nie da się przekonać i za trzy dni nie pójdzie też na lotnisko pożegnać matkę i Piotra, którzy zdecydowali się wrócić do Stanów. Komunikat o tym doniosłym wydarzeniu został przekazany podczas imprezy urodzinowej.

– Ojej, a co na to Ludka? – zdenerwowała się Marta w rozmowie z Teresą, która po raz kolejny próbowała ją namówić do pogodzenia się z matką.

– Z nią najmniejszy kłopot – odpowiedziała jej siostra. – Na święta wybiera się z naszym bratem na Hawaje. Podróżnik się z niego zrobił, kto by pomyślał? Podobno dostał jakąś nagrodę za swój patent. Powiedział tylko, że to niespodziewanie wysoka kwota.

– A kiedy on go wymyślił?

– Chyba podczas siedzenia przed telewizorem – zaśmiała się Teresa. –

Ale na szczęście wszystko z nim w porządku.

– Czyli tylko ja jestem czarną owcą?

– Ależ, Tuniu. Wszyscy cię tak bardzo kochamy... Musisz przyjść choć na lotnisko.

– Tenia, nie. Nie i nie. Nie jestem gotowa, aby się z nią spotkać.

– Że ty zawsze musisz być taka racjonalna i rzeczowa. Ostatnie miesiące wykazały, że wcale taka nie jest, ale chyba nie było sensu tłumaczyć tego przez telefon Teresie.

– Jesteś taka smutna, Marta – powiedział Jurek Więcek i podszedł do zlewu umyć swój kubek po herbacie.

– Ty również nie wydajesz się szczególnie wesoły – zauważyła. – Czy nie

powinieneś jednak skontaktować się ze swoją córką? Mówiłeś przecież, jak bardzo ją kochasz.

–I to jest prawda, ale obawiam się, że jej na mnie już nie zależy – odparł i starannymi ruchami wytarł do sucha kubek.

Jurka Więcka, który przypłynął do Gdyni Chrobrym w lipcu 1984 roku, witała jego kuzynka Hania wraz ze swoimi koleżankami i chłopakiem.

Wszyscy byli podekscytowani widokiem pięknego żaglowca, atmosferą portowego miasta, jak również spotkaniem z młodym opalonym żeglarzem.

Przez chwilę mógł więc zapomnieć o tym, co czekało na niego w jego rodzinnym miasteczku. Ale już wiedział, że nigdy też nie zapomni widoku przestraszonej, pobladłej twarzy, którą zapewne widział po raz ostatni w życiu.

Po powrocie do domu spotkał się ze swoim przyszłym teściem i otwarcie mu się przyznał, że potrzebuje pieniędzy na leczenie matki.

Uściskiem ręki przypieczętował transakcję, w której jego własnym wkładem miało być małżeństwo z Danką. Było mu wszystko jedno. Najważniejsze, że operacja odbyła się trzy dni po jego ślubie i lekarze stawiali optymistyczne diagnozy. Matka, trzymając na chrzcinach swojego pierwszego wnuka, Sebastiana, wydawała się zupełnie zdrowa. Jednak już wkrótce się okazało, że diagnoza jest błędna. Kobieta zaczęła z dnia na dzień marnieć i wymagała stałej opieki. Danka zajęta niemowlęciem odmawiała wizyt u chorej. Nie było rady. Jurek musiał przerwać studia w Gdyni, by zająć się matką.

– To nawet lepiej – pocieszał go szwagier – będziesz pracował u mnie.

O, jak bardzo nienawidził tej pracy! Handel zachodnimi ciuchami stanowił tylko część działalności szwagra, ale interes doskonale się kręcił, bo przecież stał za nim teść milicjant.

Jednak po śmierci matki Jurkowi udało się załatwić pracę na statkach.

Rodzina żony uznała, że jest to najlepszy pomysł, skoro do żadnych interesów się nie nadaje, a „na morzu” zawsze coś jednak zarobi.

Jaka to była ulga zostawić ich wszystkich i znów poczuć w ustach ten słony smak i morską bryzę na skroniach. Małżeństwo Więcków, co nie stanowiło żadnej niespodzianki, było jedną wielką porażką. Żona Jurka, osoba nadzwyczaj

rozrywkowa, kontynuowała swoje zainteresowania również po ślubie. Całe miasto podśmiewywało się z Więcka, że niedługo jego „rogi” przebiją dach domu, w którym mieszkali wraz z teściami. On jednak znosił te uwagi z niezwykłym spokojem, gdyż po raz pierwszy od paru lat czuł, że ma po co żyć. W 1988 roku urodziła mu się córka – Marta.

Z miejsca zakochał się w tej małej dziewczynce i wiedział już, że nigdy nie rozwiedzie się z jej matką.

Mijały lata, rodzina Danki na zmianie stroju jeszcze bardziej się wzbogaciła. Po spółkach polonijnych i joint venture poszli na całego w motoryzację. Żona Jurka nigdy nie pracowała, natomiast nadal utrzymywała bliskie kontakty towarzyskie z najbardziej znamienitymi obywatelami miasta, do których należał udający lakiernika złodziej samochodów. Tym razem kontakt ten zaowocował eksplozją uczuć i przemożnym pragnieniem połączenia cielesnego i biznesowego. Ale Jurek nie chciał dać rozwodu. Na synu mu tak nie zależało – wrodził się całkowicie w rodzinę żony – ale nie wyobrażał sobie braku kontaktu z małą Martą.

Jakiś czas potem dziwnym trafem znaleziono w jego kajucie schowane kartony z papierosami i alkohol. Dostał zwolnienie dyscyplinarne. Z dnia na dzień los zabrał mu kolejną pasję życia. Nie było też może takie dziwne, że po powrocie do domu nikt w mieście nie chciał go zatrudnić, a Danka wystawiła jego walizki za próg.

– Pozwól mi chociaż zobaczyć się z moją córką – błagał na ulicy.

– Twoją córką? Tak myślisz?

Jej śmiech długo brzmiał mu w uszach jak złowieszcze echo.

Tego wieczoru po kilku wypitych w dworcowym barze kolejkach próbował sforsować drzwi do domu. I wówczas go pobili. Widział dokładnie, kim są. Koledzy „narzeczonego” jego żony, koledzy szwagra.

Zostawili go na ulicy nieprzytomnego ze zmasakrowaną prawą ręką.

Podjął wówczas ostatnią próbę. Zgłosił sprawę na policji, chciał wytoczyć sprawę o pobicie. Tylko że nie miał żadnych świadków, natomiast każdy ze sprawców miał żelazne alibi. „Oni o niczym nie wiedzieli, byli zupełnie gdzie indziej, są osoby mogące przysiąc...” I wówczas postanowił wyjechać do Trójmiasta.

Emilia Wentowa siedziała w fotelu z założonymi rękami i obserwowała przez okno

zacinający deszcz. Takie bezczynne siedzenie nie leżało w jej naturze, można by więc pomyśleć, że zaczęła się starzeć. Nie była to jednak prawda. Emilia, choć w tej chwili bardziej Emilka, była bardzo zajęta. W swojej najlepszej granatowej sukience z nieśmiałym dekoltem wirowała po parkiecie, tańcząc polkę. Zafascynowana patrzyła w niebieskie jak niebo oczy swojego partnera, które błyszczały pragnieniem zrobienia choćby drobnego psikusa. Nie zdążył nawet niczego wymyślić. Ot, przy kolejnym obrocie obydwójce wpadli w donicę z cieplarnianą rośliną.

Ależ był huk!

Zaśmiała się cicho, rozbawiona tym przywołanym wspomnieniem, i zakryła pomarszczoną dłonią usta. Czy to możliwe, że to była ta sama dłoń, którą wieki temu podawała do pocałunków tamtemu chłopcu? Na całowaniu ręki to on jednak nie poprzestał. Wszystko doskonale pamiętała. I te ciemne zaułki, i bramy, i pewną marcową noc. Wolała wspominać tamte wojenne czasy niż późniejsze lata, kiedy ten sam mężczyzna zranił ją jeszcze dotkliwiej niż za pierwszym razem.

Ha! Przecież to wszystko było tak niedawno. Zaledwie kilka mrugnięć oka temu. I Wilno, i Warszawa. Choć imiona i nazwiska uciekały, nadal pamiętała twarze. Nie powinna narzekać, miała przecież bogate, pełne emocji i pracy życie, ale i tak najczęściej wspominała te głupstwa. Może dlatego, że dzięki nim łatwiej mogła zapomnieć o rzeczywistych problemach. To takie smutne, że starsi ludzie tak bardzo lubią się wszystkim martwić, pomyślała. Ale prawdę mówiąc, ona nigdy nie należała do lekkoduchów i zawsze była skłonna do zamartwiania się. Sama doskonale wiedziała, dlaczego dała się wciągnąć w te wileńskie tańce. Wszystko po to, by nie myśleć o swojej najmłodszej córce.

Marta nie przysłała na przyjęcie urodzinowe, które z takim pietyzmem przygotowała. Na pożegnanie... Może już na zawsze. Ale tą małą zawsze cechował upór. Może to nie takie dziwne, bo była tym najbardziej podobnym do niej samej dzieckiem. Inne dzieci takie grzeczne, posłuszne...

Od samego początku wiedziała, że wyjdą na ludzi. Spoglądając na córkę, już od najmłodszych lat Emilia miała wrażenie, że ma do czynienia z jeszcze bardziej krnąbrną kopią własnej osoby. Jako matka próbowała walczyć z tą krnąbrnością, wiedząc, że nic dobrego z tego nie wyniknie, jedynie dziewczyna zmarnuje sobie

życie. Daremny jej trud. Było coraz gorzej, aż do jej ostatniego wystąpienia.

Przed oczami Emilii nagle znów zawirowała granatowa sukienka, aż kobieta machnęła ręką, by odegnać to nagle ożywione wspomnienie.

Obraziła się na nią za tego chłopaka. Ale przecież Emilia miała rację.

On nie był dla niej, doskonale o tym wiedziała. I nagle jak przez mgłę przypomniała sobie słowa swojej matki, a potem teściowej Rodziewiczowej:

„On nie jest dla ciebie. Nie jest z naszej sfery”. I one miały rację. Tamten też źle skończył.

Nie dokończyła nawet tej myśli, gdy nagle poczuła, jak jej pomarszczone policzki robią się mokre. Święty Józefie, ona płakała. Mimo iż nikogo nie było w pokoju, czym prędzej starła płynącą łzę. Jeszcze by ktoś mógł pomyśleć, że jest jakąś politowania godną staruszką. Miała swój wiek, to prawda, większość jej rówieśników zesła z tego padołu dawno temu, ale staruszką nie wolno było jej nazwać. Ten gniew, którego przed momentem doświadczyła, sprawił, że nagle odzyskała siły, by podnieść się z fotela i sięgnąć po telefon.

– Terenia? Słucham? Jaki mam głos? Normalny. Nie, nie jestem przeziębiona – zirytowała się lekko na starszą córkę. –A u ciebie jak? No i u twojego męża? Chciałabym cię o coś poprosić....

Po rozmowie Emilia wróciła na fotel nieco uspokojona. Może to, co sobie wymyśliła, jakoś pomoże? Nie chciała zostawiać tej sprawy w zawieszeniu. Po jej śmierci mogło się przecież zupełnie inaczej potoczyć, nie po jej myśli. A tak... może zrozumie ją trochę lepiej. Może ta uparta oślica zrozumie, że kocha ją przecież najbardziej ze wszystkich swoich dzieci.

Emilia uśmiechnęła się blado, a granatowa sukienka zaczęła znów wirować po parkiecie w rytmie skocznej polki. „Trzymaj mnie mocno”, szeptał jej do ucha. Niczego bardziej nie pragnęła. Przymknęła z wdzięcznością oczy.

Gorszego dnia na pogrzeb w K. nie można było sobie wybrać.

Listopadowa szaruga, niekończący się deszcz i ziąb przenikający do szpiku kości. Marta, przestępując z nogi na nogę, usiłowała sobie wmówić, że jest jej ciepło, ale okazywało się to zupełnie nieskuteczne. Spojrzała na Teresę, szukając w niej oparcia, ale siostra tak płakała rześnistymi łzami, że nie zwracała na nikogo uwagi. Marta

zauważyła, że wiele osób przyglądało się jej towarzyszce. Będą mieli wodę na młyn. Wiedziała, że takie plotki krążyły już od dawna. Że też takie rzeczy przychodzą ludziom do głowy!

Jak można było podejrzewać, że Teresa nie jest córką Jana Wenty, tylko chowanego teraz lekarza? To był tylko jej ojciec chrzestny, głupcy, chciało jej się krzyczeć na głos.

– Czy wiesz, jak ta nowina przybiła mamę? – usłyszała głos Teresy zza chusteczki higienicznej. – Zastanawiałam się, czy jej o tym powiedzieć, ale przecież musiałam. Przecież to stryj. Tyle lat ze sobą pracowali.

To on, Józef Wenta, przedstawił swoją koleżankę młodszemu bratu.

Ku zdziwieniu rodziny i znajomych pobrali się już po kilku miesiącach.

Józef nigdy się nie ożenił.

– Mam nadzieję, że ten wieniec, który zamówiłam w jej imieniu, by się jej podobał?

Marta spojrzała na kalie zamoknięte od deszczu i skinęła głową.

– Z pewnością, nie przejmuj się tak wszystkim, Teńka. Teresa wyglądała na skrajnie przemarzną, tylko jej nos błyszczał jak u renifera Rudolfa w noc wigilijną.

– I w dodatku Stefan nie wrócił z Belgii. Jeszcze nie tak dawno mogłam bez problemu mieszkać sama, ale teraz... oj, Tunia, tak bardzo mi ciężko. Cieszę się, że zgodziłaś się przenocować tutaj. Jurek da sobie radę sam?

– Jeśli masz na myśli, czy podczas mojej nieobecności nie wyniesie mi wszystkich mebli, to odpowiedź brzmi nie. Nie sądzę.

– No wiesz. – Twarz siostry poczerwieniała. – Wcale tak nie myślałam. On jest nawet miły... No oczywiście, że wolę Eryka, ale...

– Hm – mruknęła nieco zirytowana Marta i chwytając siostrę pod łokieć, ruszyła za żałobnikami w stronę bramy cmentarnej.

– Ale to chyba dobra wiadomość, że będzie można coś zrobić z jego ręką. Już nigdy nie będzie zupełnie sprawna, ale w porównaniu z tym, co jest...

– Tak, Tenia, to jest bardzo dobra wiadomość. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że udało ci się skłonić tyle osób do pomocy.

Dzięki Teresie Jurek został gruntownie przebadany. Wykryto pewne schorzenia,

zapewne związane z jego dotychczasowym trybem życia, ale wyglądało na to, że będzie mógł – przy pomocy Marty – rozpocząć jego nowy etap.

– I całe szczęście! – ucieszył się Eryk, słysząc te nowiny – Ile czasu będziesz go jeszcze trzymać w domu?

Mimo iż rzeczywiście Jurek nie był tą samą osobą, którą Marta знаła przed ponad dwudziestu laty, nie stanowił dla niej w domu zbyt kłopotliwego towarzystwa. Zawsze dyskretnie się usuwał do swojej „służbówki” albo wychodził na spacer, kiedy miała gości. Sprzątał po sobie, jak umiał, pomagał przy zakupach, a poza tym długie godziny poświęcał rozpracowywaniu komputera. Może to jego zasługa, że Marcie żyło się spokojnie i nikt i nic jej nie prześladowało. Oprócz jej własnych myśli, ale na to nic nie można było poradzić.

– Muszę ci coś pokazać – odezwała się Teresa, kiedy dochodziły już do „doktorówki”, jak nazywano ich dawny rodzinny dom. – Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ale parę dni przed swoim wyjazdem zadzwoniła do mnie mama i poprosiła, abym pozbyła się jej wszystkich starych papierów ze strychu.

– Pozbyła się?

– No tak, zrobiła selekcję, spaliła to, co uznam za niepotrzebne, odłożyła zdjęcia. Na początku strasznie się zdenerwowałam, bo co ona sobie może myśleć, ale wyjaśniła mi, że chce, żeby takie porządki odbyły się jeszcze za jej życia, i gdybym miała wątpliwości, to przecież zawsze mogę ją spytać.

– Jak znam mamę, to wszystko zapewne jest w tych kufrach na strychu dokładnie posortowane i podpisane, więc po co to wszystko? – zdziwiła się Marta.

– Otóż to, ty tak samo zawsze robisz. Ale musiałam zajrzeć do tych rzeczy. Okazało się, że jest tego bardzo niewiele. Ona już wcześniej musiała się z tym uporać, jeszcze przed wyjazdem do Piotra, ale znalazłam coś dziwnego i prawdę mówiąc... – Teresa urwała – wstydziłam się ją o to spytać – zakończyła, rumieniąc się jak nastolatka.

Zdumiewające! I ta postawa Teresy, która jej pytania zbywała jednym słowem: „później”. Tymczasem trzeba było napić się gorącej herbaty, zjeść obiad.

– Dziwne, że nie było stypy – zauważyła Marta, ochoczo parząc sobie usta gorącym płynem. W środku nadal dygotała. – Ci starsi ludzie, którzy byli na

pogrzebie, pewnie się rozchorują.

– Taka była wola stryja.

– Czy ty przypadkiem nie zostałam jego jedyną spadkobierczynią? – zainteresowała się Marta.

– I tu się mylisz – roześmiała się Teresa. – Zapisał wszystko dzieciom Marcina. To zupełnie rozsądne.

– Jola matką dziedziców – zawtórowała jej śmiechem Marta.

Teresa uprzątnęła ze stołu brudne naczynia po obiedzie i wyniosła je do kuchni. Kiedy po chwili wróciła, jej twarz była poważna.

– Jezu, Teńka, przestań mnie straszyć, co takiego masz mi do pokazania?

– No to chodź – oświadczyła uroczyście Teresa i poprowadziła siostrę do pokoju dziennego, a potem otworzyła bieliźniarkę i wyjęła z niej karton.

– Zobacz sama.

Marta, która bardzo nie lubiła, kiedy siostra rozkoszowała się stopniowaniem napięcia, zdecydowanym ruchem otworzyła karton.

Najpierw wypadł lniany woreczek, a z niego z kolei ususzone kwiaty lawendy i granatowy sweter.

– I to takie dziwne? – mruknęła nieco rozczarowana.

Teresa wzruszyła ramionami, Marta sięgnęła więc bardziej w głąb kartonu. Po chwili w jej rękach znalazły się jakieś pożółkłe kartki.

– Listy? O nie, ja nie będę czytać żadnych jej listów. Nic mnie one nie obchodzą. To prywatna własność matki – zbuntowała się Marta i nagle natrafiła na zdjęcie mężczyzny w mundurze wojskowym.

– Ależ to nie jest mąż i bohater Roman Rodziewicz – zauważyła cynicznie. – Ten jest... hm, o wiele przystojniejszy, prawda? – Podniosła głowę w stronę siostry. – I nawet kogoś mi przypomina.

Odwróciła zdjęcie i przeczytała: „Mojej przyszłej żonie. W”.

– No to mateczka miała bujne życie pomiędzy mężami – mruknęła do siebie i mimo zapewnień, że nie będzie czytać żadnych listów, zerknęła do pożółkłych kartek. To nie były jednak zwykłe listy, lecz raczej krótkie notatki, zapewne przekazywane matce własnoręcznie.



Moja Najdroższa i Najpiękniejsza dziewczyno o zapachu jabłek. Wiem, nie pozwalasz mi o tym pisać, ale myślę o Tobie i o nas każdego dnia i każdej chwili. Jestem taki wdzięczny losowi, że dał mi Ciebie kochać po raz drugi. Nie możemy zmarnować tej szansy. Chyba widzisz, Jedyna, że jesteśmy sobie pisani.

Pragnę poczuć na dłoniach Twoje jasne włosy, ssałowywać z Twych ust nocną porą westchnienia, wziąć Cię w ramiona –taką kruchą i bezbronną... Pani doktor, proszę mnie nie dręczyć. Pytanie brzmi: Kiedy znów to nastąpi?

Emilko, ja oszaleję kiedyś z Twojego powodu. Wiem, że jestem porywczy, ale nie tak, jak myślisz. Czy byłem dla Ciebie i Piotrusia niedobry? Kocham go jak własne dziecko. Proszę, nie dręcz mnie więcej.

Usta Marty ułożyły się w duże „O”. Nagle przypomniała sobie rozmowę prowadzoną kiedyś na spacerze, kiedy Piotr upierał się, że pamięta ojca, który się z nim bawił i podrzucał do góry. Ona pomyślała wówczas, że pod wpływem środków psychotropowych brat ma kłopoty z pamięcią, ale to nie była prawda. Piotr musiał pamiętać tamtego...? Nigdzie się nawet nie podpisał. Przebiegła wzrokiem inne kartki. To samo. Brak podpisu. Tylko na zdjęciu ta jedna litera. „W”.

– A teraz zobacz to! – Teresa dokładnie wyreżyserowała tę scenę.

Podziała Marcie kartkę, która tym razem wyglądała jak prawdziwy list.

Mój Najdroższy!

Co ja najlepszego zrobiłam? Jak mogłam pozwolić Ci odejść? Przecież powiedziałeś mi o swoim uczuciu do mnie...

Jak mogłam Ci pozwolić odejść, kiedy nikt od Ciebie nie był ważniejszy. Dobrze wiesz, dlaczego wyszłam za Romka. On był prawym człowiekiem i oddanym przyjacielem, ale... jak ciężko mi się przyznać, ale jago nie kochałam.

Drogi, Kochany, błagam Cię, wróć do mnie. Ta dziewczyna, o której mi mówiłeś, jest przecież bardzo młoda. Z pewnością nie chce rujnować swego życia. Kiedy urodzi dziecko, pewnie będzie chciała wrócić do młodzińskich zabaw. Myślę, że najlepszym rozwiązaniem sprawy byłaby adopcja. Ty i ja zaadoptujemy dziecko, a ja Ci przysięgam, że będę kochała je tak samo jak Ty mojego Piotrusia. To jest najlepsze

rozwiązanie. Tak bardzo żałuję, że pod wpływem złości i nagłego poczucia upokorzenia od razu na to nie wpadłam. Teraz rozumiem sama, ile odwagi miałeś, żeby do mnie przyjść i mi to wyznać..

Kocham Cię i zawsze będę tylko Ciebie kochać. Wróć do mnie.

Twoja na wieki Emilia

Martę dosłownie zamurowało. Siedziała osłupiała z kartką w dłoni i dopiero po dłuższym czasie zrozumiała – ten list nigdy nie został wysłany!

Emilia podjęła inną decyzję.

Wzrok Marty przykuł ponownie woreczek ze swetrem. Tyle lat tutaj przeleżał. Ona swój, robiony Jurkowi, wyrzuciła natychmiast na śmietnik.

Ale... jakie to dziwne. Były takie podobne. Jakby robiła je ta sama ręka.

Tylko kolory inne... I nagle Marta poczuła pod powiekami nagłe pieczenie.

Zdażyła ukryć twarz w granacie wełny i zleżałym zapachu lawendy, zanim z jej oczu popłynęły łzy.

Siedziała tak pochylona, chowając twarz w swetrze dłuższy czas. Nikt jej nie przeszkadzał. Teresa musiała się domyślić, że chce być sama, bo odeszła już o wiele wcześniej. W pewnej chwili zadzwonił telefon komórkowy. Marta wyprostowała się i lewą ręką otarła łzy z policzków.

– Słucham.

– Cześć, tu Ludka. Mam nadzieję, że na mnie się nie obraziłaś?

– No skąd, co ty.

– Mam dla ciebie nowinę. O naszym ulubieńcu, Roberciku.

– Złapałaś go? – Uśmiechnęła się przez łzy.

– Nie, ale sprawa nabrała tempa. Celnicy zatrzymali kobietę po szwedzkiej stronie. Obywatelka szwedzka z towarem. No i ten sam znany scenariusz.

– Bardzo się cieszę – odparła drewnianym głosem Marta. W świetle ostatnich wydarzeń sprawa przemytu narkotyków zeszła w jej myślach na dalszy plan.

– Mam nadzieję, że na tyle, aby mi pomóc w przetłumaczeniu zeznań tej Marii, co? Marta zaniemówiła.

– Jak mówiłaś?

– Maria. Ta kobieta ma na imię Maria.

## ROZDZIAŁ 21

Marta czuła, że od dłuższego czasu Jurek ją obserwuje, ale nie mogła się zmusić do tego, aby podnieść głowę znad ręki, którą zasłaniała sobie twarz. Od czasu telefonu od Ludki zupełnie nie mogła się odnaleźć. Ciągłe wydawało jej się, że powinna coś zrobić, zacząć wyjaśniać, doprowadzić do konfrontacji z Erykiem i... nadal się obawiała. Głównie tego, że gdyby jednak nie miała racji, gdyby się pomyliła, oznaczać to mogło tylko jedno – rozstanie. W związku z tym, mimo iż dawno minęła dziewiąta, siedziała przy kuchennym stole w szlafroku i w stanie maksymalnego rozmemłania, jakie nie przydarzyło jej się od dobrych paru miesięcy.

– Może się jednak połóżysz – w końcu przerwał jej milczenie Jurek – czasem lepiej przespać niedobre dni.

To rzeczywiście mogło być proste. Parę apetycznych piguleczek i słodki sen, ale następnego dnia Marta miała cały dzień ćwiczeń ze studentami i musiała się przecież przygotować. Pokręciła głową. Jurek rozłożył ramiona w bezradnym geście i zajął się komputerem.

Eryk, matka i jej życie, Jurek Więcek – można było jedynie zadać sobie pytanie, dlaczego to wszystko spadło na nią naraz. Dlaczego jej życie nie mogło być tak samo monotonne jak przedtem, kiedy mieszkała i pracowała w Warszawie.

– Marta! – rozmyślenia nad życiem przerwał jej głos Jurka.

– Tak? – Zdecydowanie musi jak najszybciej znaleźć mu jakieś inne lokum.

– Jak się nazywał ten minister, który cię wyrzucił z roboty?

Co za dziwne pytanie!

– Nagórski, a bo co?

– Znowu jakaś afera. Dziennikarze mu się do tyłka dobrali. – Z pokoju obok rozległ się donośny chichot. – No to ma teraz za swoje.

Marta z szybkością błyskawicy znalazła się w służbówce.

– Pokaż, pokaż!

O matko! Z niedowierzaniem przebiegła oczami krótki tekst. Nie, na innych

stronach było o tym więcej. Uff! Jaki ten pecet był powolny.

Jurek zeskoczył z krzesła, zanim zdążyła go zrzucić.

– O Boże! – wymknęło jej się po chwili z pobladłych z emocji warg. – Rzeczywiście to prawda.

Nagle miała przed oczami to, czego domyślała się od dawna, a czego do tej pory nie była w stanie udowodnić. Nawet pewne sformułowania w tekście wyglądały tak, jakby to ona je napisała. Wprost rozpoznawała swoje myśli. Zaraz porówna to z wersją, którą zachowała w laptopie.

Marto, uspokój się! Co to za majaki! Szczegółów w artykule było znacznie więcej i na dodatek doskonale popartych konkretami. To przecież napisali dziennikarze z „Nowin Dnia” dzięki informatorowi z Ministerstwa Gospodarki. Marta poczuła, jak nagle przebiegł ją zimny dreszcz.

Informatorowi!

– Jurek!

– Miałem rację, prawda?

– Błagam cię, biegnij po gazety. Zależy mi głównie na „Nowinach”.

I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą siedziała w zupełnej apatii. Teraz serce gotowe było wyrwać się z piersi, a ręce dygotały, gdy po raz kolejny czytała artykuł:

Minister Radosław Nagórski lubił manipulować prawdą. Korzystne kontrakty, rzekomo zawierane dla państwowego zysku, okazywały się doskonałą okazją dla wzbogacania się przyjaciół ministra. Oni zaś dobrze wiedzieli, jak się mu należy odwdzięczać. Adam Ołumski, były prezes potężnej w latach 90. spółki komputerowej, skomentował pytanie na temat dawnej przyjaźni z Nagórskim w następujący sposób: „Nasza przyjaźń z profesorem miała zawsze zielony kolor”.

„Profesorek”, jak nazywali go najbliżsi, przez lata zebrał wokół siebie grono oddanych mu osób, do których należeli prominentni politycy, prezesi czołowych spółek, przedstawiciele świata kultury i sztuki. Doskonale wykształcony, elokwentny i nader giętki w swoich poglądach potrafił zawsze dobrze obstawiać przyszłą polityczną koniunkturę.

Gdy pojawił się Jurek z gazetami, Marta siedziała już przed włączonym telewizorem, śledząc pasek z najświeższymi wiadomościami.

– W IPN–ie natrafiono na mikrofilmy z teczki Nagórskiego. Podał się teraz do dymisji, łajdak jeden. Jeśli premier jej nie przyjmie...

Przez moment w Marcie odezwał się duch Charlotte Corday.

– Minister od służb specjalnych został wezwany na dywanik.

Cudownie – mruzczała zadowolona, choć w zasadzie wiedziała, że osobiście nic jej to nie da. Czowała jednak słodczy zadośćuczynienia. I ten informator...

Zanim zdążyła rozważyć jakiegokolwiek konsekwencje swego czynu, Marta sięgnęła po telefon komórkowy.

– Nie ma takiego numeru — dowiedziała się po chwili, ale nawet taki komunikat jej nie zraził. Chwyciła swój stary notes i zadzwoniła na numer ministerstwa.

– Nie, ten pan już u nas nie pracuje... Od przeszło miesiąca.

Mogła jeszcze poprosić Maryskę o jego nowy numer, ale euforia nagle z niej opadła. To pewnie znak dla niej, że na to, co działo się na obrzeżach jej myśli, nie ma już co liczyć. Karol Mierzejewski, domniemany informator „Nowin Dnia”, na zawsze zniknął z jej życia.

– Co to za ciemnota! Niczego sensownego nie można w tym kraju gdziekolwiek zbudować!

Na twarz Eryka padało światło lampy. Ubrany w czarny pulower przypominał Marcie postać z holenderskich portretów. Gdyby dorzucić mu białą kryzę, wyglądałby jak z obrazu Fransa Halsy.

– I co ja teraz powiem inwestorom? Jak mogli mi to zrobić?

To ostatnie zabrzmiało bardzo boleśnie. Marta już otwierała usta, aby przynajmniej wyrazić swoje współczucie, gdy nagle Eryk obrócił się na pięcie i bez słowa pożegnania pospiesznie opuścił jej mieszkanie na Batorego.

– Przepraszam, Marto, chciałem wyjść, ale nie zdążyłem. – Ze służbówki wychyliła się głowa Jurka. – Tak szybko wypadł!

– Zdenerwował się – odpowiedziała spokojnym głosem. – Ludność miejscowa się wkurzyła, że chce im pod nosem postawić wieżowiec, i urzędnicy wpadli w lekką panikę.

– I co teraz? – spytał Jurek.

No właśnie! Spotkanie z Erykiem przybrało tak gwałtowną formę, że nie zdążyła

mu niczego powiedzieć ani też o cokolwiek spytać. Nie przypuszczała nawet, że tak to się potoczy, kiedy zadzwoniła do niego dwie godziny wcześniej, zapraszając na kawę i domowe ciasto. To miało być drobne uczczenie upadku Nagórskiego. Teraz przygotowane słodkości z wielką przyjemnością zjadał Jurek.

– Dwie firmy zgodziły się przyjąć mnie na rozmowę –oznajmił z uśmiechem.

– Naprawdę?

– Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Miałbym wówczas coś konkretnego i mógłbym skontaktować się z moją Martunią. Za parę miesięcy skończy osiemnaście lat.

To była doskonała nowina. Jurek zaczął przejawiać własną inicjatywę, zanim zdążyła pomóc mu w czymkolwiek.

– Ależ dziewczyno, jak możesz mówić, że to nie twoja zasługa...

Chociaż w jednej sprawie wszystko toczyło się jak z płatka. Ona również powinna zacząć działać, a nie dać się nieść wydarzeniom. Powinna pójść w ślady „domniemanego informatora”, któremu zarzuciła kiedyś oportunizm.

– Wyjeżdżam na parę godzin – odstawiła pustą filiżankę po kawie.

Musiała odbyć parę pilnych rozmów. Dokąd pojechał Eryk, zastanawiała się, wsiadając do swojego polo. Spojrzała na zegarek.

Dochodziła dopiero dwunasta, więc najprawdopodobniej wrócił do pracy.

Marta nacisnęła na pedał gazu.

Gdy przyjechała do biura Eryka, okazało się, że oprócz sekretarki nie ma w nim nikogo. Na pytanie Marty, kiedy można spodziewać się prezesa, pracownica uśmiechnęła się z lekkim politowaniem i odpowiedziała, że najpierw trzeba się umówić telefonicznie. Również w sprawie kupna mieszkań dział handlowy zaprasza po wcześniejszej zapowiedzi.

Marta przyjrzała się uważnie pozamykanym drzwiom i zaczęła się zastanawiać nad sposobem funkcjonowania firmy Eryka. Ostrożnie, by się nie poślizgnąć, zeszła po marmurowych schodkach i wsiadła do samochodu.

Może Borzewski pojechał na swoją budowę. W zasadzie nigdy tam nie była.

Raz przejeżdżali tylko w pobliżu i ze względu na strój wieczorowy Marta miała jedynie okazję przyjrzeć się osiedlu zza szyby.

Droga do domków jednorodzinnych nie była daleka, z Gdańska do Oliwy powinno się dojechać w piętnaście minut, ale w godzinach szczytu trwało to niemal godzinę. Marta siedziała jak na szpilkach. Czując przez skórę, że coś jest bardzo nie w porządku, próbowała dodzwonić się do Eryka, ale na próżno. Jaki to pech, że przez cały dzień nie była w stanie skontaktować się z osobami, na których jej zależało. Jazda wlokła się okropnie, a jedynym urozmaiceniem było słuchanie radia, które tego dnia bez przerwy emitowało różne wypowiedzi i komentarze na temat nagłej dymisji Nagórskiego. W pewnej chwili któryś z dziennikarzy wygłosił hipotezę, że gdyby nie pomoc anonimowych oficerów służb specjalnych w zdemaskowaniu ministra, Nagórskiemu zapewne nie spadłby włos z głowy.

Marta, słysząc te słowa, nerwowo przełknęła ślinę. W końcu, a trwało to całą wieczność, udało jej się skręcić w Polanki, a potem w ulicę wiodącą do osiedla.

Tym razem nawet się nie zdziwiła, że na budowie nie ma żywej duszy, nawet strażnika. Marta przeszła wzdłuż płotu, zauważając kilka jakby porzuconych w pośpiechu maszyn i brak pracowników. Żaden z domków nie wyglądał na gotowy do oddania, chociaż, jak mówił jej Eryk, otwarcie planowano już dwa miesiące temu. Zatrzymała się, dochodząc do końca płotu, gdyż zauważyła, że przygląda jej się starszy mężczyzna z psem.

– Pani domek? – spytał z życzliwym uśmiechem na twarzy.

– Nie – odpowiedziała i szybko dodała – ale moich krewnych.

Mężczyzna z powagą pokiwał głową. Po uśmiechu nie było ani śladu.

– To mają pecha.

– Tak pan uważa? Trochę się opóźnia.

– Ha! – Aż klepnął się po udach. – Trochę. To tylko pani tak mówi...

Takie to, panie, czasy nastały. Kiedyś byli złodzieje, potem aferzyści, a teraz, panie, ci tam, deweloperzy. Gangsterka, panie, zwykła gangsterka.

Przestali budować dwa miesiące temu. Niby taka przerwa technologiczna.

Pff – parsknął starszy pan – kto im tam uwierzy? A kto to im zgodę wydał na te domy, ja się pytam, no kto?

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Marty. Ludka!

Można się było tego spodziewać, gdyż wszystko stopniowo zaczynało się łączyć w



całość. Marta bez wahania wyłączyła dźwięk w telefonie.

– A dlaczego pan uważa, że coś było nie tak z uzyskaniem tej zgody? – zwróciła się do starszego pana z uśmiechem przylepionym na siłę do twarzy.

– Bo tu jest, panie, blisko strefa ochronna ujęcia wody. Przynajmniej zawsze tak było. Protestowali ludziska, protestowali, ale, panie, czy ktoś się z nimi liczył? A poza tym, niech pani sama spojrzy, jak te domy pasują do reszty?

Faktycznie. Jak pięść do nosa. Na innym terenie tego rodzaju nowoczesne budownictwo mogło się nawet ładnie komponować, ale parę metrów od starych secesyjnych kamienic – wołało o pomstę do nieba.

– Może ładnie zagospodarują dokoła – zauważyła nieśmiało.

Emeryt prychnął tylko i zatrzymując swoją opinię dla siebie, ukłonił się na pożegnanie.

No i co dalej? Może jednak, mimo wszystko, spróbować złapać Eryka w jego oliwskim mieszkaniu. Skoro była tu w pobliżu? Westchnęła, przeczuwając ciężar czekającej ją rozmowy, i ruszyła do samochodu.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że dla niej i dla Eryka nie ma wspólnej przyszłości. Czy mogła jednak powiedzieć mu o tym w tej chwili, kiedy wszystko się na niego waliło?

W kieszeni płaszcza poczuła wibracje komórki. Znowu Ludka!

Widać sprawa była niesłychanie pilna. Marta domyślała się, co to oznacza. Czy zdąży porozmawiać z Erykiem, zanim dopadnie go wymiar sprawiedliwości? A może namówi go, żeby się sam do nich zgłosił, ale czy to złagodzi wymiar kary? Borzewski musiał być od dłuższego czasu zaangażowany w przemysł narkotyków i to właśnie z tego pochodził jego majątek. Marta nigdy nie uwierzyła w historyjki o handlu mieszkaniami w Anglii, na których, jak sam mówił, zrobił spore pieniądze. Ale Eryk przeliczył się w swoich kryminalnych kalkulacjach. Odpowiedzialne zarządzanie firmą to nie to samo co przemysł przy udziale naiwnych kobiet.

Tak, jej samej również. Z pewnością ona też będzie zmuszona zeznawać.

Biedna matka, zupełnie się załamała. Koniecznie, jak najszybciej, Marta powinna z nią porozmawiać. O historii granatowego swetra też.

Tym razem nawet nie zdążyła zebrać myśli, gdy znalazła się przed domem Eryka.

Zadzwoiła przez domofon, nie chcąc korzystać ze swojego kompletu kluczy. Nie miała okazji się przedstawić, kiedy drzwi wejściowe się otworzyły. Powoli, uspokajając oddech, weszła na pierwsze piętro.

– Podejrzywałem, że to ty. – Eryk stał w drzwiach do mieszkania.

– Tak nagle wyjechałeś. – Czuła, że patrzy na nią, ale nie była w stanie spojrzeć mu prosto w oczy.

– Wiedziałem, że będziesz chciała ze mną porozmawiać.

Skinęła głową i weszła do środka. Schludne i pedantycznie urządzone mieszkanie Borzewskiego znajdowało się w stanie chaosu. Meble były poprzestawiane, a na krzesłach leżały różne przedmioty i części męskiej garderoby.

– Wyjeżdżasz? – wyrwało się z poblaskłych warg Marty.

– Nie mam wyboru. Pewnie się wszystkiego już domyśliłeś. To koniec.

Mogła się tego spodziewać, ale kiedy to usłyszała, wpadła w panikę.

– Nie możesz tak uciekać, Eryk. Wiesz chyba, że to nie ma sensu.

Przecież można jeszcze coś zrobić. Zadzwoimy do Ludki.

– Do Ludki? Po co? Co ona może zrobić?

– Ona... – zaczęła Marta – przecież jest prokuratorem. Porozmawiasz z nią, jak postępować.

– To zupełnie bez sensu. Mam samolot za parę godzin.

– Ale, pomyśl, to tylko chwilowa ucieczka. Wcześniej czy później cię zatrzymają. Lepiej byłoby, żebyś się sam zgłosił.

Eryk spuścił głowę, ale po chwili uniósł ją butnie.

– O nie. Jeśli wyjadę teraz, to mam jeszcze cień szansy. Mogę jeszcze coś wyjaśnić, pogadać ze współnikiem. On też ma jakieś możliwości manewru. Jeśli zostanę, to jestem skończony. Nie zaprzeczaj, Marta, doskonale o tym wiesz.

– Nie uda ci się – powiedziała z wymuszonym spokojem, wkładając w słowa całą swoją siłę perswazji. – A co powiedzą kiedyś twoi synowie? Kim był ich ojciec? Kryminalistą, który bał się odpowiedzialności za swoje czyny?

– A co myślisz o mnie ty, Marto? – Eryk uniósł jej podbródek i pochwycił jej rękę.

Zobaczyła, że ma oczy pełne powstrzymywanych łez. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– To samo, prawda? Uważasz, że zadałaś się ze zwykłym kryminalistą.

– Eryk! – wybuchła nagle. – Po co ci moja opinia? Pomyślałeś o tym, ilu ludziom zniszczyłeś życie? A ich rodziny? To przecież dla nich prawdziwa tragedia.

Jak on mógł nie wiedzieć, że handel narkotykami to najohydniejsze przestępstwo. Żerowanie na ludzkich słabościach i demoralizowanie młodocianych. To tych ofiar powinien pytać, co o nim sądzą, jej opinia była tu zupełnie zbędna.

– Tak uważasz? Że zniszczyłem im życie?

– Jak możesz jeszcze mnie o to pytać? – Policzki Marty zaczęły robić się czerwone od gniewu i chciała się uwolnić od mocnego uścisku rąk Eryka.

Takie stracone szanse życiowe. To ten sam pulchny bobas, którego nosiła na rękach, tuląc do siebie, potem obiecujący student budownictwa, początkujący biznesmen... Mógł przecież tak wiele osiągnąć, tak wiele dobrego zrobić dla siebie i innych. Ale on wybrał szybką, przestępczą ścieżkę i teraz też był już na tyle zdemoralizowany, żeby nie pojmować w pełni swoich win.

– Nienawidzisz mnie? – spytał i nagle zwolnił uścisk. Marta mimowolnie rozmasowała nadgarstki.

– Nie, Eryku, to tak nie jest.

– A wyjedziesz ze mną? – To pytanie zupełnie zbiło Martę z tropu.

Czy on naprawdę oszalał, myśląc, że będzie mu towarzyszyć w jego przestępczej ucieczce, a może jeszcze miałyby razem z nim parać się tym brudnym procederem. Tacy Bonnie i Clyde?!

– Chyba żartujesz. Jest mi cię po prostu żal. Żal mi tego, że nie rozumiesz wcale, ile zła wyrządziłeś dokoła. Ja akurat nie jestem twoją ofiarą. Byliśmy ze sobą tych parę miesięcy, przyjemnych miesięcy, nie zaprzeczę, i sprawa dobiegła końca.

Tak jest w związkach międzyludzkich, zwłaszcza tych między mężczyznami i kobietami. – Powiedziała to jednak, ale nie było sensu udawać, że to, co ich łączyło, jest nadal aktualne.

– Rozumiem. Było, minęło. – Zaśmiał się gorzko. – Jak łatwo ci to przychodzi mówić. No, cóż, można się było domyślić, że tak to się potoczy, skoro byłem tym drugim.

– O czym ty mówisz? – wykrztusiła Marta, nie wierząc, że słyszy te słowa.

– O tym facecie, o którym ciągle nie możesz zapomnieć. I nie mówię tu wcale o tym menelu, którego przygarnęłaś.

– Bzdury jakieś! – próbowała się bronić.

– Sama dobrze wiesz, że tak jest. I jeśli mi zarzucasz, że nie chcę się zmierzyć z prawdą, to sama sobie powinnaś postawić ten zarzut. Myślałaś, że jestem ślepy?

– Nie masz racji. Nikogo innego nie ma.

– Ależ jest. W twojej głowie... I na zdjęciu, na pulpicie twojego laptopa.

Eryk odwrócił się do niej plecami.

– Idź już sobie. Wystarczy tych pożegnań.

Marta stała przez chwilę zupełnie zdezorientowana. Nie miała siły nawet oburzyć się na niego, że przeszukiwał jej komputer. Na koniec stwierdziła, że niczego nie wskóra. Nie była w stanie przekonać Eryka do czegokolwiek, tym bardziej iż ją przejrzał. Wyszła bez słowa, nie domykając drzwi, a on nawet nie odprowadził jej wzrokiem.

Gdy dojeżdżała już do skrzyżowania przy Słowackiego, odezwał się jej telefon komórkowy. Automatycznym ruchem nacisnęła na przycisk odbierający rozmowę i usłyszała głos Ludki. Było jej wszystko jedno.

– Gdzie ty się, kobieto, włóczysz? Oszaleć można z tobą. Tak jakbyś się obraziła na mnie, że jedziemy z Piotrem na kolejną wycieczkę.

– No, coś ty, Ludka? Bardzo się z tego cieszę.

– Całe szczęście. Musimy koniecznie się spotkać i pogadać, bo sprawa robi się chyba poważniejsza, niż myślałam. Mam też kilka ciekawostek.

Złapali twojego Robercika.

– Co? – Gwałtownie zahamowała.

– Zatrzymali tego drania. Amant z Pruszcza Gdańskiego, któż by pomyślał!

Z Pruszcza? O Boże! Ludka mówiła jeszcze przez kilka minut, ale Marta niewiele z tego rozumiała. Po dojściu do domu – Jurka na szczęście nie było – wyjęła z szafki butelkę wódki i do pierwszej lepszej szklanki nalała sporą dawkę alkoholu. Wypiła niemal duszkiem. Wstrząs był spory, ale po chwili zrobiło jej się ciepło i przyjemnie. Powinna jak najdłużej utrzymać ten stan.

## ROZDZIAŁ 22

Kiedy zadzwonił telefon, Marta dopiero po dłuższym czasie zorientowała się, co oznacza dźwięk, który dochodził do jej uszu. A tak w ogóle, to gdzie ona jest? Zanim spostrzegła, że leży na swoim łóżku zupełnie ubrana, sygnał ucichł.

Półprzytomna sięgnęła po włącznik lampki nocnej. Godzina? Która godzina? Prawie północ, zaświeciły się wskazówki budzika. Ktoś dzwonił czy jej się tylko przyśniło? Może ze Stanów? Mama! Z pewnością coś się stało mamie. A ona, wyrodna córka, nie zadzwoniła do niej wczoraj, jak zamierzała. Usiadła na łóżku. Jej skronie intensywnie pulsowały gigantycznym bólem głowy. Nie było to takie dziwne. Ile ona wypła tej wódki? Dużo! Zdecydowanie za dużo, by się teraz dobrze czuć. Nawet nie pamiętała, kiedy się dowlokła do sypialni i czy Jurek wrócił już w domu.

Gwałtowny ruch przy wstawaniu sprawił, że zakołowało jej się w głowie. Czując zbliżające się nudności, czym prędzej pobiegła do łazienki.

Przycisnęła spocone czoło do gładkiej powierzchni glazury. Ale się urządziła! A jutro zajęcia. Powinna jak najszybciej doprowadzić się do porządku. Wstała i sięgnęła do szafki po środki przeciwbólowe, jednak znów zawiroowało jej w głowie. Co za koszmar! Chyba zostanę na tej podłodze do samego rana, pomyślała. Ale przecież dzwonił ten telefon, zarejestrowały nieliczne trzeźwe neurony. To nic, z pijackim spokojem odpowiedziały te pozostałe. Jak coś się stało, z pewnością zadzwoni ponownie. Głowa Marty czule przytuliła się do zimnej podłogi.

Kiedy obudziła się ponownie parę godzin później, była cała przemarznięta i dygotała jak w febrze. Podniosła się z podłogi połamana i postanowiła nalać do wanny gorącej wody, ale w tym samym momencie usłyszała w sypialni telefon. Tym razem dzwoniła jej komórka.

– Marta, słucham – rzuciła do słuchawki zdyszonym głosem. Odezwał się Marcin. – Wróciłeś już z rejsu?

– Tak. Słuchaj...

– Coś się stało, prawda?

Odpowiedziała jej cisza.

– Marcin? Jesteś tam?

– Tak, Tuńka, przepraszam, to ja. Proszę cię, nie denerwuj się...

– Marcin! – krzyknęła przerażona.

– Wszystko już jest w porządku, uspokój się. Dzwonię do ciebie ze szpitala. Jest kłopot z Erykiem.

– Z Erykiem? – Tego się nie spodziewała. – Nie z mamą?

– Z mamą? Nie, ona się czuje świetnie. Wczoraj z nią rozmawiałem.

Ale Eryk jest w szpitalu. W akademii, na intensywnej terapii.

– Co? Zawał? Miał zawał? – To było pierwsze, co przyszło jej do głowy.

– Nie, nie zawał. Ale mówią, że wyjdzie z tego. Możesz tu przyjechać?

Myślę, że dobrze by było.

– Oczywiście. Już jadę, tylko się przebiorę – rzuciła szybko do słuchawki, jakby za chwilę głos miał jej odmówić posłuszeństwa.

W łazience pod na przemian gorącym i zimnym prysznicem płakała rześzystymi łzami. To była jej wina, doskonale o tym wiedziała. Dlaczego nie zachowała swoich urojeń dla siebie? Jak w ogóle mogła sobie wmówić, że Eryk jest przemytnikiem narkotyków i na dodatek zrobić mu z tego powodu awanturę? No i zerwała z nim, kiedy miał problemy zawodowe. Z pewnością podkopało to jego zdrowie. Marcin mówił, że nie był to zawał, więc co...? Wylew?

Nałożyła na siebie ciepłe ubranie, płaszcz i buty, sięgnęła po kluczyki i torebkę. Nie, nie mogła przecież jechać samochodem, nadal odczuwała zawroty głowy. Ledwie trzymała się prosto na wysokich obcasach.

Zadzwoiła po taksówkę, która prawie natychmiast pojawiła się pod jej oknem. Pospiesznie napisała kartkę do Jurka, żeby się nie zdziwił, kiedy rano się okaże, że w środku nocy zniknęła.

Marcin po odebraniu jej SMS-a czekał na nią w środku budynku przy samym wejściu. Mimo iż w ostatnich miesiącach stosunki między rodzeństwem były dość napięte, przywitał ją mocnym uściskiem.

– Co się stało, powiedz natychmiast! – zażądała Marta, czując, że znów zaczyna dygotać od środka. Zimno rozchodziło się jej po całym ciele.

Za chwilę chyba zemdleje.

– Eryk... – Marcin spuścił głowę – zażył trochę za dużo środków uspokajających.

– Co? – Marta musiała oprzeć się o ścianę. – Co ty mówisz?

– Zadzwoił do mnie wieczorem i dość dziwnie ze mną rozmawiał.

Mówił, że odeszłaś od niego. Nawet nie zakończył rozmowy. Wydawało mi się, że nagle odszedł od słuchawki. Zadzwoiłem do ciebie, ale nie odpowiadałaś, potem do niego i cisza, więc w końcu się zdenerwowałem i postanowiłem pojechać zobaczyć, co się dzieje. I chyba zdążyłem w samą porę. Dobrze, że drzwi były niedomknięte.

Nedomknięte? No tak, to ona ich nie zatrzasnęła. Chciała bezszelestnie zniknąć z jego mieszkania.

– Boże drogi, ja się z nim dzisiaj pokłóciłam. Z mamą też i ona wyjechała, a ja się z nią nie pożegnałam. A Eryk przeze mnie...

– Uspokój się, Marto. Przestań się od razu o wszystko obwiniać.

– Przepraszam, nie panuję już nad niczym. Co jest z Erykiem?

Odzyskał przytomność?

– Jeszcze nie, ale zrobili mu płukanie żołądka. Myślę, że powinien szybko dojść do siebie, bo jednak prędko się u niego zjawiłem.

Marta odetchnęła z ulgą i przepełniona wdzięcznością dla brata przycisnęła się do niego z całych sił.

– Tak bardzo ci dziękuję, braciszku. Uratowałeś moje sumienie. Ja nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

Wzrok Marcina oddalił się, jakby się nad czymś głęboko zamyślił.

– Cieszę się, że ja też do czegoś się czasem przydam. To może skreślisz mnie już ze swojej czarnej listy, co?

– Głupi jesteś jak but. Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą też. – Marcin ręką poczochnął Marcie włosy.

– Czy mogłabym do niego wejść?

– Chodź, spytamy. – Pociągnął ją za rękę.

Lekarz po krótkim namyśle nie pozwolił im jeszcze spotkać się z Erykiem. Kazał wrócić rano, gdyż nic złego się nie dzieje.

Marta spojrzała na zegarek. Była druga w nocy.

– I tak nie zasnę.

– To pojedźmy do mnie i poczekajmy parę godzin. Jola wyjechała z Maćkiem do swoich rodziców – dodał na wszelki wypadek, po raz kolejny dając dowód na to, że doskonale się orientuje, jaka jest opinia Marty na temat jego żony.

Jak przyjemnie było być wożoną. Samochód Marcina błyskawicznie się nagrzał, a Marta, mimo zapewnień, że jest w pełni formy, natychmiast zasnęła. Obudziła się po kilkunastu minutach, gdy brat zahamował przed swoim domem na Przymorzu.

– Czyś ty się, siostrzo, wczoraj nie urzęnęła? Mam takie niejasne wrażenie.

– Cicho. Nie wiesz, że alkohol jest złem wcielonym i panny Wentówny odzegnują się od niego jak od samych diabelskich zakusów?

– Jasne, jasne – odpowiedział, sięgając do kieszeni po klucz do domu.

– Ale jak mi dasz dużo kawy, to będę twoją dozgonną dłużniczką.

W domu panowała cisza. Asia z Bartkiem chrapali gdzieś na górze.

Nie chcąc ich budzić, rodzeństwo poszło prosto do kuchni i usiadło przy stole naprzeciwko siebie.

– Nie chce mi się wierzyć, że Eryk mógłby popełnić samobójstwo – oznajmiła Marta. Starając się nie patrzeć na szpetne ozdoby kuchenne wetknięte w każdy kąt przez zapobiegliwą Jolę, wpatrywała się w parę wydobywającą się z elektrycznego czajnika.

– Mnie też nie. Wydaje mi się, że po prostu przedawkował lekarstwa.

– A wiesz, że on miał samolot po południu? Jednak nie pojechał na lotnisko?

– Może się rozmyślił. Przestań się tym gryźć, Tuńka. Z pewnością ci wszystko wyjaśni. Może już za parę godzin, kiedy się z nim spotkasz.

Marta spuściła głowę i przez moment zastanawiała się nad czymś.

– Ty coś wiesz, prawda? Dlatego pojechałeś do niego. Podejrzewałeś, że może zrobić coś drastycznego.

– Wiem pewnie tyle co i ty. Chyba wiedziałaś albo chociaż domyślałaś się, w jakiej jest sytuacji.

Marta przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

– Miał kłopoty z lokalizacją wieżowca i opóźnienia w oddaniu domów.

– Oj, Marta. – Marcin pokręcił głową z niedowierzaniem. – On od kilku miesięcy



próbował skomplikowanej zonglerki. Zaczął te inwestycje, nie mógł ich sfinansować, próbował czegoś szukać na gwałt, ale nic z tego nie wyszło. Firma straciła płynność. On nie ma nawet za co skończyć tego rozgrzebanego osiedla. Na koniec nie wyszło mu z tym wieżowcem, który miał go uratować, i to go musiało dobić.

Marta chciała coś powiedzieć. Kilka razy otwierała usta, ale łapała samo powietrze. Teraz wszystko było jasne. To dlatego Eryk zachowywał się w tak dziwny i niepokojący sposób. Ona oczywiście o niczym nie wiedziała i niczego się nawet nie domyślała. Gdyby wykorzystwała choć parę procent swojej inteligencji, żeby mu pomóc, pewnie by nie doszło do nieszczęścia. Ale ona wolała wyobrazić sobie, że Eryk zajmuje się naciąganiem kobiet i przemytem narkotyków. Marcin nie miał racji. To ona dobiła Eryka. Świadomość uczynienia zła, choćby nieświadomie, była dla niej w tym momencie nie do zniesienia. Z jej oczu zaczęły spływać ogromne łzy.

– Zawsze podejrzewałam – wyjąkała – że on jest słabej konstrukcji psychicznej i w momencie zagrożenia pęknie. Ale ja myślałam... och, to nieważne.

Marcin popatrzył na siostrę przez dłuższą chwilę bez słowa. Potem odszedł od stołu dolać sobie kawy. Odwrócony plecami, odezwał się w końcu do Marty:

– Ty tak uważasz, bo sama jesteś wyjątkowo silna.

Marta chciała natychmiast coś powiedzieć, ale Marcin wyciągnął w jej stronę rękę, jakby chcąc powstrzymać jej słowa.

– Tak, dobrze wiem o twoim załamaniu nerwowym, ale to był tylko drobny incydent. Po tej historii z Darkiem pozbierałaś się bardzo szybko.

Można nawet powiedzieć, że ona cię wzmocniła. W parę miesięcy przeprowadziłaś się do Warszawy, zrobiłaś karierę... To samo teraz.

Porażka, ale za chwilę odbicie się i ponowne stanięcie mocno na nogach.

Przypominasz mi matkę. Obie doskonale wiecie, co znaczy przetrwać.

Marta ze zdumieniem słuchała brata. Nigdy by go nie podejrzewała o umiejętność przeprowadzania analizy psychologicznej.

– Jesteśmy bliźniakami. To znaczy, że ty też to masz.

Marcin potrząsnął głową.

– Nie, ja jestem taki sam jak Eryk. Jak myślisz, dlaczego do tej pory nie zostałem kapitanem statku?

- Nigdy ci na tym nie zależało, prawda?
- Nie zależało tylko dlatego, że wiedziałam zawsze, że się do tego nie nadaję. Nie masz nawet pojęcia, Marta, jak ja nienawidzę tego całego pływania – wybuchnął.
- Nie rozumiem, ale ja już w ogóle nic nie rozumiem. Przecież zawsze marzyłeś o pójściu w ślady ojca. Nikt cię nigdy nie namawiał.
- Tak, tak. Przygody i bycie bohaterem, tylko że tak bardzo szybko okazało się, że na bohatera ja się w ogóle nie nadaję. Chcesz, siostra, wiedzieć, dlaczego? Bo nie mam odwagi.
- Nieprawda!
- Też mi się to wydawało niemożliwe. Przecież przez tyle młodych lat planowałem, że będę dokonywać bohaterskich czynów.

Marcin nie przypuszczał jednak, że jego marzenia się spełnią i to szybciej, niż mógł sobie wyobrazić. Rejs Chrobrym miał na zawsze zmienić jego obraz samego siebie. Ten, który ukazał się jego oczom, nie spodobał mu się. Do tego stopnia, że brzydził się nim do dzisiejszego dnia.

– Na początku było wszystko świetnie i bezproblemowo. W regatach osiągnęliśmy dobre wyniki i była nadzieja na nagrodę. Kolejnym etapem był rejon Bermudów.

Oczywiście nie było młodego żeglarza, który nie rozmawiałby na ten temat lub nie krył pewnej fascynacji tym osławionym akwenem. Tu pojawiały się tajemnicze złote kule, białe mgły, wariowały kompasy, nie mówiąc o tym, że w złowieszczych wodach znikwały statki i całe eskadry samolotowe. Wszyscy się tymi historiami ekscytowali i zapamiętywano je chętnie, by opowiadać je w gronie bliskich.

Tymczasem jeszcze Chrobry mknął przed siebie, chwytając w żagle podmuchy passatów. Jednak na wieść o tym, że gdzieś w pobliżu utworzył się huragan Alicia, wszystkim zaczyna szybciej krążyć krew. Komunikat, że kieruje się na zachód, trochę uspokaja. Nie na długo jednak. Wiatr niespodziewanie zmienia kierunek i naciera z impetem na uczestniczące w regatach żaglowce: Chrobrego i hiszpańską Alhambrę.

Bark Alhambry usiłuje uciec przed żywiołem. Kapitan rozkazuje rozstawić na rejach sztormowe żagle. Ale jest za późno. Uderza huragan, zrywa żagle, targa takielunkiem. Walka nie trwa długo. Alhambra przechyla się na prawą stronę. Główny impet huraganu omija Chrobrego, ale żaglowiec odbiera wołanie o pomoc od

Hiszpanów. Zaczyna się akcja ratunkowa. W stronę Alhambry kierują się inne uczestniczące w regatach jednostki, a do łodzi mającej ratować rozbitków trafiają Marcin i Jurek.

– Oni byli tak blisko nas, to wprost niewiarygodne, że nam się nic nie stało.

Blisko, a jednak nie do końca. Tym, co dzieliło ich od hiszpańskich kolegów, było wzburzone morze.

– Czułem, jak ogarnia mnie paraliż.

Czy to tak się ma skończyć, pomyślał tylko, widząc, jak nad szalupą zamyka się kapsuła z fal. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby wypadli za burtę, nie pomogą żadne kamizelki ratunkowe. Na dodatek był to rejon, w którym pojawiały się rekiny.

– Nie byłem w stanie się ruszyć. Byliśmy jednak w środku żywiołu i tylko Jurek potrafił się w nim znaleźć.

Wolno, walcząc z falami, zbliżyli do Alhambry. Widzieli, że przechył był tak duży, iż nie zdołano nawet spuścić wszystkich szalup. I wówczas na ich oczach Alhambra przewróciła się na burtę. Reje pogrzyżyły się w wodzie.

Marcin zadarł głowę i zobaczył, że kilku marynarzy trzyma się kurczowo relingu. Chciał do nich krzyczeć, by skakali, ale nie był w stanie wykrztusić słowa. To Jurek krzyczał, dawał sygnały, dowodził ich całym przerażonym zespołem. Potem sam ściągał rozbitków, a kiedy jeden z nich puścił uchwyt, złapał go z całej siły za rękę. Był jednak zbyt zmęczony, aby sam wciągnąć go na pokład.

– Marcin! – krzyknął błagalnie do przyjaciela. – Pomóż, nie dam rady.

Młody Wenta patrzył na tę scenę, która przecież nie była filmowym kadrem, i nagle dostrzegł, jak za plecami Jurka wznosi się osławiona biała mgła. To jednak koniec, załkał. Pochylił głowę jak na szafocie, czekając na nadchodzącą śmierć.

– Cholera jasna! – wrzasnął Jurek i nadludzką siłą wciągnął na pokład podtopionego Hiszpana. Natychmiast przystąpił do reanimacji.

Podczas gdy Jurek własnoręcznie uratował trzy osoby, Marcin wymiotował za burtę ze strachu.

– Tak, Jurek Więcek jest cholernym bohaterem. Uratował tego chłopaka. Ja mu w tym nic nie pomogłem. A on, choć doskonale wiedział, jak bardzo stchórzyłem, nigdy się o tym nie zająknął nawet. Cały czas był przy mnie i mnie osłaniał. A potem zawsze

mówił, kiedy wychwalali nasze „bohaterstwo”: „Marcin ze mną”. To było nie do zniesienia. Za każdym razem, kiedy to słyszałem, nienawidziłem go. Rozumiesz, Marta? Ja powinienem mieć to pływanie we krwi, drugie pokolenie, dobre geny...

Nawet nie przypuszczał, że to jedno wydarzenie będzie go prześladować przez całe życie. Nawet decyzja o małżeństwie była jego konsekwencją. Wiedział, że Jola jest mu bezgranicznie oddana, to on stanowił dla niej najwyższą wyrocznię i fakt ten nie będzie przez nią nigdy kwestionowany.

– To ja powiedziałem Jurkowi, żeby zwrócił się do mamy, jak wyszła ta sprawa z tą niechcianą ciążą. To ja później powiedziałem mu, że ty nigdy nie zgodzisz się wyjść za niego w takiej sytuacji. Zrobiłem to z premedytacją, Marta. Nie chciałem, żeby się z tobą ożenił. Myślałem tylko o tym, że nie zniosę jego stałej obecności w naszej rodzinie. Tego stałego przypominania jednej godziny życia, w której zrozumiałem prawdę o sobie.

Jestem tchórzem, Tunia, zwyczajnym tchórzem.

## ROZDZIAŁ 23

Okolo piątej nad ranem Marcin, wyczerpany nocą i swoją długo powstrzymywaną spowiedzią, usnął na kanapie w pokoju dziennym. Marta siedziała obok, przyglądając się uśpionemu bratu, ale nie czuła się senna.

Rozmyślała intensywnie o wydarzeniach ostatniego dnia. W końcu wstała i na czubkach palców opuściła dom brata. Na piechotę udała się do najbliższego kościoła na poranną mszę. Uczestniczyła w niej zaledwie garstka starszych kobiet, które dokładnie zlustrowały jej postać, a zwłaszcza elegancki płaszcz z kaszmiru. Kiedy nabożeństwo doszło do fragmentu wyznania winy, z oczu Marty zaczęły lecieć łzy. Płakała bezgłośnie niemal do końca mszy, a potem przed samym wyjściem wyciągnęła z torebki chusteczkę i otarła twarz. Nadal była roztrzęsiona, ale czuła się odrobinę lepiej. Podeszła do przystanku „dwunastki” i wsiadła do wypełnionego dojeżdżającymi do pracy tramwaju. Po drodze zadzwoniła do szkoły i odwołała zajęcia ze studentami, a po półgodzinie ponownie znalazła się przed Akademią Medyczną.

– Borzewski? Jest już na oddziale – skierowała ją pielęgniarka, której przedstawiła się jako narzeczona Eryka.

Kiedy weszła do sali, w której leżał, w pierwszej chwili nie poznała go. Dopiero gdy obrócił głowę w jej stronę – był przytomny – mogła zobaczyć, że ten mężczyzna o białej jak płótno twarzy, podłączony do różnych kroplówek, to Eryk. I nagle nie był już Erykiem Borzewskim, którego ponownie spotkała. Nie był już jej partnerem i kochankiem, w którego ramionach przeżyła tyle ekscytacji. To był znowu Eryczek sprzed lat, jej wychowanek, którego miała przecież chronić.

– Kochanie! – powiedziała do niego swym najłagodniejszym i najczulszym tonem i dotknęła jego wolnej od kroplówki ręki.

– Marta. Tak mi głupio – usłyszała zmieniony, ochrypły głos.

– Nie mów nic. – Gładziła tę rękę, a łzy ponownie przedzierały się spod bariery powiek.

– Muszę ci to powiedzieć. Ja naprawdę nie chciałem się zabić. Po prostu łykałem te prochy, żeby się uspokoić. Początkowo nic się nie działo...

– Wiem, że tak było. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Gdybym tylko porozmawiała z tobą normalnie...

– Ale ja nie chciałem ci wcześniej niczego mówić, rozumiesz?

Chciałem, żebyś myślała, że jestem taki super. Miałaś się przy mnie czuć bezpieczna. – Zamilkł na chwilę i przyciągnął dłoń Marty do ust. – Dziękuję ci, że mi uświadomiłaś pewne sprawy.

– Eryk, za co ty mi dziękujesz? To, co ci wczoraj powiedziałam, było niedopuszczalne.

– Nie, nie. Miałaś rację. Nie wolno uciekać i trzeba ponosić odpowiedzialność. I to, co powiedziałaś mi o moich synach... i że to jest przestępstwo. To prawda. Myślałem o tych oszukanych ludziach.

Marta najchętniej zatkałaby sobie uszy, ale to też byłaby ucieczka.

Przełknęła więc ślinę i pogłaskała Eryka po policzkach, na których zaczął się pojawiać zarost. Nabrała pełne płuca powietrza.

– Proszę cię teraz, żebyś o tym nie mówił. Ja ci coś powiem – zaczęła.

– Dokładnie nie wiem, jak wyglądają twoje sprawy, ale wiem, że mogę ci pomóc. Zawrzemy ugody z dłużnikami, pomogę ci załatwić nowe kredytowanie, z Ludką też możemy porozmawiać, żeby wszystko załatwić zgodnie z prawem.

– Ja nie mam nawet tyle, żeby wypłacić ci pensję.

– Będziesz miał, gdy ci postawię interes na nogi. A wtedy, oj, Eryku, wtedy to mi zapłacisz! Bo nawet nie przypuszczasz, jaka ja jestem w tym dobra – zaśmiała się cicho, trochę może zbyt histerycznie, ale na ustach Borzewskiego pojawił się cień uśmiechu.

– Ja wiem, że ty jesteś najlepsza. Dlatego tak bardzo chciałem, żebyś była ze mną. Byłaś zawsze moim najpiękniejszym i najradośniejszym wspomnieniem.

– I myślałaś, że jeśli mnie spotkasz ponownie, te lata szczęśliwości wrócą? – spytała.

– Oj, Marta, nie jestem ani tak głupi, ani naiwny. Poza tym ja cię cały czas kocham. W tym akurat byłem całkowicie szczery. Nie, nie mów nic. Za dużo już tych słów.

Marta siedziała przy Eryku i nadal gładziła jego rękę. Myślała sobie, że to, co się zdarzyło, jest kolejnym dowodem ironii losu i dziwnego poczucia humoru tych, którzy wszystkim rządzą i nad wszystkim panują.

Była z Erykiem przez dobrych parę miesięcy i dopiero teraz poczuła z nim prawdziwą bliskość. Dopiero teraz wiedziała, że mogłaby go prawdziwie pokochać. Na to jednak było zbyt późno. Rozminęli się mimo wszystko.

Powinna zatem skoncentrować myśli na tym, co mu obiecała.

Zadośćuczynienie za przewiny? Może. Ale również autentyczna chęć pomocy.

Wyszła z sali po godzinie, kiedy Eryka zabrano na badania. Obiecała mu, że wkrótce do niego wróci. Odchodząc, w pielęgniarskiej dyżurce usłyszała głos byłego premiera. Zajrzała do środka i zobaczyła, że głos dochodzi z małego radia na parapecie. Nie udało mu się wygrać samorządowych wyborów, pomyślała. Został na lodzie, ale... Już się swoinim zajmą, Marcie wydawało się, że docierają do niej słowa matki, i nagle poczuła dotkliwą za nią tęsknotę. Muszę do niej pojechać, zrozumiała.

Jurek Więcek miał przed sobą porozkładane różne kolorowe, opasłe tomiska i zaglądał do nich w stanie narastającej paniki. A jak się nie uda? A dlaczego miałyby się nie udać, odpowiadał drugi wewnętrzny głos, ten bardziej optymistyczny, którego nie słyszał od kilku lat i który zupełnie niedawno zaczął się znów odzywać. Początkowo rzadko, nieśmiało, ale akurat dzisiaj popisywał się tupetem.

Bo, prawdę mówiąc, był to niezwykle dobry dzień, a w zasadzie nadzwyczajny i pełen cudów. Zaczęło się od wizyty w hurtowni. Po krótkiej rozmowie i zdecydowanym postawieniu przez Jurka warunków – szkoła Marty – kierownik go przyjął. Jego warunki finansowe! On był w stanie stawiać warunki! Na samą myśl o tym w jego oczach pojawiały się łzy szczęścia. I co lepsze, obiecano mu, że po okresie próbnym może awansować. Miał szczęście, że przez tych parę miesięcy nie odchodził od komputera. Ta wiedza bardzo mu się przydała, zwłaszcza kiedy kierownikowi zawiesił się sprzęt, a Jurek już po chwili go zresetował. To chyba przesądziło o jego zatrudnieniu. Nikt nie mógłby przypuszczać, że jeszcze niedawno stał pod dworcem jak ostatni dziad. Wprawdzie nie zebrał, ale pewnie to byłby kolejny etap – to albo torowisko. Chyba jednak to ostatnie. A teraz...

Mimo iż nie było to zbyt męskie, spojrzął w wiszące w pokoju lustro.

Doskonale odbijało cały blat kuchenny i jego.

Mimowolnie wyprostował plecy, cofnął do tyłu łopatkę. Koszula i sztruksowe spodnie świetnie na niego pasowały, mimo iż w tej chwili przysłonięte były fartuchem. W tym ubraniu nie przyniosłby wstydu żadnej z Mart swego życia. Nawet jego ręka wyglądała na mniej zdeformowaną.

Podczas rozmowy z kierownikiem przysłonił ją skórzaną rękawiczką. Potarł gładko wygolone policzki. Tak też znacznie lepiej, mimo iż wyraźnie widać, jak bardzo się postarzał przez ostatnie lata.

Nagle zadzwonił dzwonek przy kuchence i Jurek od razu przypomniał sobie, czym w tej chwili powinien się zajmować. Przygotowaniem uroczystej kolacji dla Marty! Takiej ze świecami i serwetkami. Ale oczywiście nigdy chyba nie będzie w stanie odwdziżyć się za wszystko, co dla niego zrobiła. Ale powinien choć spróbować. Przede wszystkim pragnął, aby w końcu przestała być taka smutna i apatyczna.

Ciekawe, czy mógłby mieć u niej jeszcze jakieś szanse? Może? Teraz, kiedy odeszła od Borzewskiego, z pewnością będzie potrzebowała kogoś, kto ją pocieszy i o nią zadba. Ona, podobnie jak on, tyle lat była sama. W końcu może się do niego przekona. Kropla drąży skałę, już on się o to postara.

Sos do makaronu był chyba smaczny, stwierdził, oblizując łyżkę.

Oczywiście ten obiad nie będzie zbyt wykwintny, ale to dopiero początek.

Komputer opanował, to gotowanie chyba też nie jest zbyt skomplikowane?

Kiedy odkładał łyżkę na talerz, usłyszał dzwonek u drzwi. Marta! Ale czemu nie używa klucza? Jurek błyskawicznie zdarł z siebie fartuch i rzucił się do drzwi wejściowych.

Mógł wyrzeć najpierw przez „judasza”. Wówczas w ogóle by się nie fatygował.

Na korytarzu stał szatyn średniego wzrostu w sportowej zimowej kurtce.

– Przepraszam bardzo. Powinienem zadzwonić najpierw przez domofon – powiedział i wyraźnie się stropił.

Dopiero w tym momencie Jurek go rozpoznał. Dobrze przyjrzał się tej twarzy ukrytej na pulpicie laptopa Marty. Na zdjęciu miał jednak czerwone oczy, a tu, proszę, szare.

– Wpuścił mnie jeden z domowników – dokończył nieco zgaszonym tonem, a



Jurek wykorzystał tę chwilę, aby wyprostować przed nim w całości swoje metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– A pan w jakiej sprawie? – Spojrzał na niego z góry. Przybysz przedstawił się zmieszany i powiedział: – Ja do Marty Wenty. Pan jest jej lokatorem?

– Nie, ja tu mieszkam. Marta zresztą też. – Jurek uśmiechnąłby się szeroko, gdyby nie fakt, że robił to rzadko, z powodów, no, dentystycznych.

– Aha, rozumiem. – Mężczyzna spuścił głowę, ale zaraz znów ją podniósł. Desperat jakiś. – Rozumiem, że Marty nie ma. A kiedy będzie?

– Marta? – Jurek zawiesił głos i poczuł, jak zaczyna mu walić serce.

Cała jego przyszłość zależała od tej odpowiedzi. Jak powie, że za chwilę wróci, to wiadomo, co będzie. Ale przecież mógłby mu przekazać bardzo smutną wiadomość, że właśnie tego ranka Marta wyleciała do Ameryki do matki. Na czas nieokreślony! Jego własne marzenia mogłyby się wówczas ziścić. To była wielka życiowa szansa.

– Marta? – powtórzył Jurek. – Przykra historia, ale...

Po dokładnym wysprzątaniu oliwskiego mieszkania należącego do Eryka poczuła się znacznie lepiej. Kiedy tu weszła, żeby zabrać dla niego parę rzeczy do szpitala, stwierdziła, że panuje tu nieopisany bałagan, i postanowiła wrócić, żeby zrobić porządek. Teraz wszystko lśniło, a porozrzucone rzeczy poukładane były w kostkę i schowane do szafek.

Podlała też wszystkie rośliny. Jak Eryk wróci za parę dni, będzie z pewnością zadowolony. Było jednak wiele rzeczy, które nas łączyły, pomyślała.

Oboje byli okropnymi pedantami.

Mimo zmęczenia po nieprzespanej nocy Marta fizycznie czuła się dobrze. Od pewnego czasu przestała też płakać i się zadręczać. W zasadzie wszystko już sobie przemyślała, stwierdziła, przekręcając klucz w drzwiach.

Czeka ją bardzo wiele pracy. Jak obiecała, zajmie się interesami Eryka i z pewnością doprowadzi je do takiej kondycji, że nikt nie będzie miał im nic do zarzucenia. Ale najpierw zadzwoni do mamy i powie jej, że przyjedzie do niej na święta. Nie powinna ich spędzać sama, skoro Piotr i Ludka postanowili w tym czasie wyjechać. Na Emily nigdy nie można było liczyć, a Maryśka zbiera każdy grosz na bilet do Warszawy. To może być dobry pomysł. Takie święta tylko we dwie. Już za

niecały miesiąc, przypomniała sobie.

Tymczasem był jeszcze bardzo ponury listopad. Zaczął padać deszcz, a jedna z wycieraczek w polo stale się zacinała. Całe szczęście, że rano wróciłam do domu po samochód, pomyślała Marta, patrząc na okutanych w płaszcze pieszych, uchylających się od bryzgów wzniecanych przez wjeżdżające w kałuże pojazdy.

Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, powtarzała na głos. Rano uspokajała Eryka, a teraz te słowa miały rozproszyć ogarniającą ją melancholię. Te smutki wkrótce znikną, kiedy zabierze się do pracy, kiedy będzie myślała o innych, a nie o sobie. Znajdzie Jurkowi kwaterę. Umówi go na spotkanie z córką. Z pewnością mała mu wybaczy.

A Marcin? Z nim też musi się trochę częściej widywać. Może wybiorą się razem na koncert Moździerza? Tak, muzyka bardzo pomaga w życiu. Ale nawet ta refleksja nie zmieniła faktu, że melancholia ściskająca jej piersi zaczęła stopniowo zamieniać się w tak przejmujący smutek, aż chciało jej się krzyczeć. Ale z nim też sobie da radę. To z pewnością ze zmęczenia.

Zażyje pigułkę, postanowiła Marta i zaparkowała przed domem. Nie miała siły wprowadzać wozu do garażu.

Po wejściu do mieszkania przywitały ją upojne aromaty przypraw, a kiedy powiesiła płaszczyk w szafie i przyszła do kuchni, zobaczyła odświeżnie zastawiony stół. Jurek odwrócił się od kuchenki i uśmiechnął na powitanie.

– Mam nadzieję, że jesteś głodna.

– Jurek, ty przygotowałeś sam kolację! – W głosie Marty pojawiło się zdumienie.

– Z pomocą twoich książek kucharskich. Mam nadzieję, że da się zjeść.

Marta nie chciała psuć mu przyjemności, mówiąc, że nie będzie w stanie nic przełknąć, i usiadła posłusznie przy stole. Nagle zauważyła coś dziwnego.

– Trzy nakrycia?

– No, tak, moja droga. Mamy dzisiaj gościa – odpowiedział, próbując nie patrzeć jej w oczy.

– Gościa? – Natychmiast wstała od stołu.

Rozejrzała się zdziwiona dokoła i dopiero w tej chwili zwróciła uwagę na dochodzącą z jej pokoju muzykę. Zrobiła kilka kroków w tamtą stronę, a melodia

zaczęła rozbrzmiewać coraz bardziej donośnie. Niemal z każdą jej nutą zaczął się również zmieniać wyraz twarzy Marty. Zaledwie parę sekund, a już jej oczy zdążyły rozbłysnąć od nagłego zrozumienia. Na ustach pojawił się początek uśmiechu.

Sarah Brightman śpiewała *The last man in my life*, a Marta z całego serca była przekonana, że to prawda. Czym prędzej zrzuciła z nóg buty na wysokim obcasie. Nie będą jej już potrzebne.

Copyright © 2011 by Hanna Cygler

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2014

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: Romain Baillon / MILLENIUM IMAGES, UK

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Dobre geny, wyd. I, dodruk, Poznań 2011)

ISBN 978-83-7818-272-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)